

HARLEQUIN®

Romans
Historyczny

JULIET LANDON

Wspomnienia kochanki

NR 71 07/11 INDEKS 239083 CENA 11,99 zł VNA 1,89063E SPRAWIL 01/17/11 LC BR

JULIET
LANDON

Wspomnienia kochanki

305



Juliet Landon



Wspomnienia kochanki

Prolog

York, kwiecień 1802

Dystans dzielący centrum Yorku od toru wyścigowego w Knavesmire nie przekraczał dwóch mil i jeszcze kilka miesięcy temu szlachetnie urodzony Linas Monkton z przyjemnością pokonałby go konno. Ostatnio jednak kaszłał, pocił się i z trudem oddychał, więc jego młoda kochanka, panna Helene Follet, uparła się, by pojechali powozem. Gdyby nie choroba Linasa, sama chętnie dosiadłaby w ten weekend swojej czarnej klaczy.

- Jestem pewna, że dziś będzie padać - powiedziała, obserwując drzewa gnące się na wietrze. - Nie mam ochoty zmoknąć, patrząc, jak ścigają się konie twojego brata. A jeśli się wypogodzi, lord Winterson na pewno chętnie pożyczy nam konie, żebyśmy mogli się przejechać. Zapakowałeś swój syrop na kaszel?

- Zakładam, że Nairn się tym zajął. Bardzo ładnie dziś wyglądasz, moja droga.

Komplementy Linasa rzadko wykraczały poza „ładnie” albo „elegancko” i nigdy nie było w nich czułości, ale uśmiechnęła się do niego i podziękowała. Strój, który miała na sobie, w całości wykonała własnoręcznie, łącznie z haftem z koralików zdobiącym przód sukni, z naszywaną falbankami szmizetką zasłaniającą dekolt i wykonanym według najnowszego paryskiego fasonu czepkiem z szaro-niebieskiego jedwabiu.

W taki zimny kwietniowy dzień Linas powinien siedzieć w domu, otulony w ciepłe koce. Dziś jednak w Yorku zaczynał się sezon wyścigów konnych i nie było siły, która powstrzymałaby go od udziału w takim wydarzeniu.

Brat Linasa, Burl, mieszkał w posiadłości Abbots Mere niedaleko toru wyścigowego. Zaprosił ich do siebie na cały tydzień, ale Helene sprzeciwiła się tak długiemu pobytowi. Tłumaczyła to stanem zdrowia Linasa, a on nie nalegał, wyczuwając między kochankami pewne napięcie. Stanęło na tym, że przyjadą tylko na weekend.

Helene wcale nie miała ochoty na tę wizytę. Lubiła wyścigi i konie, lecz bez entuzjazmu myślała o tłumie byłych, obecnych i przyszłych kochanek lorda Wintersona,

które spotka w Abbots Mere.

Linas i jego brat bliźniak różnili się pod wieloma względami. Linas był słaby i chorowity, ale usiłował naśladować brata, biorąc sobie kochankę i próbując udowodnić, że jest w świetnej formie fizycznej. Bardzo się starał. Mimo to Helene widziała, że z roku na rok robił się coraz słabszy. Za to lord Winterson wprost tryskał zdrowiem. Był nie tylko silny i mocno zbudowany, ale też przystojny, inteligentny i jeśli tylko chciał, potrafił być naprawdę uroczy. Czasem bywał jednak nieznośnie wyniosły, dumny i autorytatywny, a tych, którzy mu się narazili, potrafił podobno tak zmyślać i upokorzyć, że wstydzili się pokazać w towarzystwie nawet przez pół roku.

Linas nie znajdował przyjemności w traktowaniu innych z góry i jeżeli czasem zachowywał się wyniośle, to tylko w stosunku do służby. Na co dzień był łagodny i uprzejmy i tym właśnie ujął Helene. Wprawdzie obiecała sobie, że nigdy nie zwiąże się z mężczyzną dla pieniędzy, lecz w wieku siedemnastu lat została kochanką, towarzyszką i pielęgniarką Linasa Monktona. Od tamtej pory minęły dwa lata i choć bardzo chciała urodzić mu dziecko, zanim będzie za późno, nie zachodziła w ciążę.

Niewykluczone, że już było za późno, bo Linas od dwóch miesięcy nie odwiedzał jej sypialni, twierdząc, że wysiłek fizyczny nasila jego napady kaszlu. Nazajutrz przypadały jej dziewiętnaste urodziny. Miała nadzieję, że Linas przyjdzie do jej łóżka, choćby tylko po to, żeby ją przytulić i przy niej poleżeć.

Helene wiedziała, że w Abbots Mere czeka ich ciepłe przyjęcie. Lord Winterson kochał swojego brata i ją także traktował uprzejmie. Podczas takich wizyt Linas uczestniczył w męskich rozrywkach na równi z innymi dżentelmenami, Helene podejrzewała jednak, że brat dyskretnie pilnował, żeby się nie przemęczał. Odwiedzając ich w Stonegate, dbał, by jego wizyty nie przeciągały się i nie wyczerpywały Linasa. Nigdy też nie robił uwag na temat zastawionego lekami stolika znajdującego się przy fotelu brata.

Helene troszczyła się o Linasa najlepiej jak umiała, starając się go przy tym nie rozpieszczać. Mimo to nie mogła pozbyć się wrażenia, że w oczach lorda Wintersona jest tylko dziewczyną dążącą do awansu społecznego, która szuka bogatego opiekuna

skłonnego jej wymościć gniazdko kaczym puchem. Gdyby zadał sobie trud, mógłby odkryć, że naprawdę nazywa się Helene Follethorpe i pochodzi z Bridlington, leżącego na wybrzeżu zaledwie trzydzieści mil stąd, gdzie jej ojciec był przez lata burmistrzem. Gdyby nie kłopoty, w jakie wplątał się Leonard Follethorpe, Helene nadal żyłaby wygodnie i bezpiecznie w rodzinnym domu i nie musiałaby się sprzedawać, by pomóc tym członkom rodziny, którzy jej pozostali. Pięć lat temu pomyślała, żeby zostać kochanką bogatego dżentelmena, nie przyszedłby jej do głowy, ale pracując jako pomoc w zakładzie krawieckim, nie była w stanie zarobić tyle, by nakarmić rodzinę. W końcu zdecydowała się zmienić zajęcie.

Czuła się urażona skrywaną pogardą, jaką żywił do niej lord Winterson. Był wobec niej uprzejmy, ale taki chłodny, jakby była pięćdziesięcioletnią wdową, a nie piękną, dziewiętnastoletnią dziewczyną o czarnych włosach. Nigdy nie dał jej okazji, aby mogła mu okazać siostrzaną przyjaźń i nie starał się nawiązać z nią cieplejszych stosunków, choćby ze względu na brata. Myśląc o tym, patrzyła, jak pan na Abbots Mere zmierza w ich kierunku wielkimi krokami w towarzystwie trzech wielkich myśliwskich psów. Spojrzał na nią obojętnie, jakby była gospodynią albo pielęgniarzką Linasa, i zbyt późno wyciągnął rękę, by pomóc jej wysiąść z powozu.

- Witam w Abbots Mere, panno Follet - powiedział sztywno i bez przekonania.

Helene musiała przyjąć wyciągniętą dłoń. Starła się nie zwracać uwagi na bijące w oczy różnice między braćmi. Patrząc na pełne gracji ruchy Burla, na jego szerokie bary i muskularne, silne nogi, zbesztła się w myśli za porównywanie go z Linasem.

Nawet przed sobą nie chciała przyznać, że wolałaby takiego kochanka jak lord Winterson. Bracia uścisnęli się i ruszyli w stronę domu. Helene uśmiechnęła się z wysiłkiem. Poczekała, aż jej serce przestanie bić jak oszalałe, po czym skupiła się na tym, co powinna zrobić, by uprzyjemnić czas Linasowi.

Zobaczyła, jak jej kochanek bezwiednie gładzi łeb jednego z psów. Wiedziała, że jest szczęśliwy, przebywając w miejscu, w którym się urodził i wychował. Astma nie pozwalała mu trzymać zwierząt we własnym domu, ale odwiedzając brata, zawsze

biegł do stajni, nie zważając na ataki kataru i swędzącą wysypkę, którą te wizyty wywoływały. Perspektywa spędzenia nocy w swoim dawnym pokoju w Abbots Mere rozjaśniła jego twarz radosnym uśmiechem. Tak samo jak obecność Somertona, starego kamerdynera.

- Miło cię znowu widzieć, Somerton. - Linas uśmiechnął się i ujął Helene za rękę.

- Ja też się cieszę, proszę pana. Od świtu szykujemy się do pana wizyty. Lord Burl kazał nam wyczyścić nawet obroże psów. Witam panią, panno Helene. - Kamerdyner skłonił przed nią głowę.

- Dzień dobry, panie Somerton.

Być może słowa starego kamerdynera uświadomiły Wintersonowi, że jako gospodarz nie zachował się najlepiej, bo nagle odwrócił się do Helene i podał jej ramię, a potem w trójkę wkroczyli do holu. Znowu wróciły wspomnienia. Przypomniała sobie, jak tańczyła z Burlem w sali balowej Assembly Rooms, tuż przedtem, zanim po raz pierwszy zobaczyła Linasa. Pamiętała strach w jego oczach. Linas bał się, że ona, podobnie jak inne kobiety, też wybierze Burla.

Ale Helene nie przepadała za mężczyznami o reputacji pożeraczy damskich serc, a poza tym nie mogła sobie pozwolić na to, żeby się zakochać. Szukała kogoś, kto zwiąże się z nią na dłużej, co nie znaczyło, że jej zainteresowanie Linasem nie było szczere. Troszczyła się o niego najlepiej, jak umiała i z czasem zaczęła go darzyć prawdziwym uczuciem.

Towarzystwo zaproszone na weekend do Abbots Mere było dokładnie takie, jakie spodziewała się tu zastać. Hałaśliwe, dobroduszne, rozplotkowane i nastawione na flirt. Jako kochanka Linasa nie musiała się obawiać natrętnych zalotów, ale nawet ten status nie do końca ją zabezpieczał przed męskimi umizgami. Natomiast kobiety, wiedząc, że nie stanowi dla nich konkurencji, Ignęły do niej, szukając jej przyjaźni i rady nie tylko w kwestiach mody, lecz także w najbardziej osobistych sprawach. Mimo to Helene nie przepadała za tymi ludźmi i nigdy z własnej woli nie zdecydowałaby się spędzić z nimi weekendu. Zastanawiała się, dlaczego lord Winterson tak gustował w

takich znajomościach, i uznała, że zapewne lubił obserwować, jak walczono o jego względy.

Winterson musiał wiedzieć, że zanim związała się z jego bratem, pracowała w zakładzie krawieckim. Ani on, ani Linas nie mieli jednak pojęcia, że wcześniej, jako córka burmistrza, otrzymała odpowiednie wychowanie. Być może zastanawiali się, skąd bierze się jej elegancja i wyjątkowy, niepowtarzalny styl, i jak to się stało, że szwaczka posługuje się językiem osoby wykształconej i do tego zna francuski, ale nigdy o to nie pytali. Albo byli zbyt dobrze wychowani, albo ich to nie obchodziło.

Natomiast właścicielka zakładu krawieckiego szybko zorientowała się, jaki skarb wpadł jej w ręce i wykorzystała atuty dziewczyny. Przeniosła ją z pracowni do sklepu, gdzie jej zadaniem było prezentowanie sukni klientkom i doradzanie im przy wyborze fasonu i dodatków. Kiedy zaś Helene wybierała się na tańce, wypożyczała jej suknie z pracowni, traktując to jako swoistą reklamę i zarazem część wynagrodzenia. W ciągu tych lat Helene intensywnie uczyła się zawodu i prowadzenia interesu. Od tamtej pory sama projektowała i szyła wszystkie swoje stroje włącznie z nakryciami głowy.

Wiedza na temat mody i strojów czyniła ją osobą popularną wśród gości w Abbots Mere. Do czasu, kiedy w towarzystwie pojawiała się lady Veronique Slatterly, zazdrosna o każdą damę cieszącą się jej zdaniem zbyt dużym zainteresowaniem panów, ze szczególnym uwzględnieniem gospodarza. W przypadku Helene jej zazdrość była wręcz chorobliwa. Lady Slatterly marzyła, by wejść do rodziny lorda Wintersona, nie była jednak pewna, czy jej się to uda. Dlatego zazdrościła Helene, która w jej oczach niemal już do tej rodziny należała i miała potężne wpływy, choć naprawdę jedyną osobą, na którą mogła ona wywierać jakiś wpływ, był Linas. Lady Slatterly podczas kolacji bez przerwy czyniła na jej temat uszczypliwe i niemiłe uwagi, co w końcu zdegustowało Linasa.

- Droga Veronique. Poczęstuj się, proszę. Może choć na chwilę zamilknie - mruknął, podając damie srebrną paterę ze słodyczami.

- Co to takiego? - Lady Slatterly wzięła od niego paterę.

- Coś słodkiego. Postaw to przy sobie, wyraźnie tego potrzebujesz.

Lady Slatterly spojrzała na Linasa ze złością, ale do końca wieczoru nie powiedziała już słowa na temat Helene.

Helene nie przejmowałaaby się złośliwościami lady Slatterly, gdyby nie to, że czuła się niepewnie, nie wiedząc, jak ma się zachowywać wobec brata Linasa. Lord Winterson traktował ją obojętnie, jakby nie dostrzegając tego, że ona szczerze troszczy się o jego brata. Zupełnie jakby uważał, że robi to bardziej dla siebie niż dla Linasa. Nie oczekiwała wyrazów wdzięczności ani podziękowań, lecz nie podobała się jej bezceremonialność, jaką okazywali jej obaj bracia. Linas był dobrym człowiekiem, odnosiła jednak wrażenie, że uważał jej poświęcenie za coś, co mu się w pełni należy w zamian za to, co jej dawał. Miała dom, służbę, konia i dość pieniędzy, by opłacać rachunki, ale wiedziała, że jeśli nie zostaną poczynione odpowiednie ustalenia, to wszystko może kiedyś zniknąć. Niestety Linas starannie unikał rozmów na temat przyszłości, jakby nie chciał zrozumieć, jak ważne było dla niej uregulowanie pewnych spraw.

Gdyby jej stosunki z lordem Wintersonem były bardziej serdeczne, mogłaby poruszyć z nim ten temat, jednak jego chłód wykluczał taką rozmowę. Był jeszcze Medworth, młodszy brat bliźniaków, mieszkający na obrzeżach Yorku, ale jako wikary i ojciec rodziny był człowiekiem bardzo zapracowanym. Na pewno z ulgą przyjął do wiadomości fakt, że jego brat ma dobrą opiekę, niemniej tak był zajęty własnymi sprawami, że nie miał czasu, aby dodatkowo zajmować się jeszcze problemami panny Follet.

Helene starała się robić wszystko, by Linas przyjemnie spędził pierwszy dzień wyścigów, podczas którego Winterson wystawiał dwa swoje konie. Dzień rozpoczął się wczesnym śniadaniem, a ponieważ nie zanosilo się na deszcz, Helene i Linas pojechali konno, tak jak cała reszta gości. Poprzedniego wieczoru Linas pożegnał towarzystwo wcześniej niż inni i zasnął, zanim Helene zdążyła mu życzyć dobrej nocy. Od lokaja dowiedziała się, że pan nie wypił nawet swojego wieczornego porto, co nie wróżyło dobrze, czekał ich bowiem długi i męczący dzień.

Rano nikt nie wspomniał o jej urodzinach, ale nie była tym zaskoczona. Uznała, że teraz, kiedy wszyscy są zajęci wyścigami i mówi się wyłącznie o zwycięskich koniach i ich hodowcach, nie wypada o tym przypominać. Konie Wintersona odniosły sukces i Linas całkiem zapomniał o jej urodzinach. Zastanawiała się, czy mu nie przypomnieć, doszła jednak do wniosku, że wzbudzi w nim tylko poczucie winy i nic dobrego z tego nie wyniknie. Milczała więc, rozczarowana i smutna, i te uczucia musiały być chwilami widoczne w jej pięknych, wyrazistych oczach. Tego dnia pragnęła być ze swoją rodziną i cieszyć się ich miłością, zamiast walczyć o utrzymanie pozycji, która jej nie zachwycała i o której kiedyś, zanim straciła niewinność, myślałaby z pogardą.

Obejrzała się i sprawdziła, czy Linas wygodnie siedzi na specjalnie dla niego wybranym spokojnym koniu, a potem westchnęła i popatrzyła na świeżo pomalowaną na biało trybunę, na której tłoczyli się ludzie. Niespodziewanie podjechał do niej konno Winterson i zasłonił jej sobą Linasa. Helene spuściła wzrok, zastanawiając się, czy zostać, czy odjechać.

- Proszę zostać - powiedział, jakby wyczuł jej wahanie. - Przez cały dzień nie zamieniliśmy ani słowa.

- Pan i ja? A co takiego mogłabym panu powiedzieć poza złożeniem gratulacji?

- Pani się złości - stwierdził, a jego głęboki głos zabrzmiał przeproszająco.

- Nie złoścę się. Ale nie powinniśmy być widywani razem. To mogłoby wyglądać dziwnie, nie uważa pan? O, już ktoś na nas patrzy.

- O co pani chodzi, panno Follet? Widzę, że pani się złości. Na mnie? Na Linasa? Czy mój brat flirtował z inną kobietą?

- Nie wiem, co robił. Czy to ważne?

Wierzchowiec Wintersona nagle zaczął się denerwować. Helene patrzyła, jak mężczyzna cierpliwie uspokaja wielką bestię. Miała wrażenie, że kontrola nad zwierzęciem sprawia mu przyjemność. Przyglądała się jego ciemnym, zbyt długim włosom i beznamietnej twarzy o rysach zaskakująco regularnych jak na mężczyznę.

Wyraźnie zastanawiał się nad jej słowami.

- Zgaduję, że chodzi raczej o to, czego nie zrobił. Zapomniał o pani urodzinach? Na pewno strzelał na oślep. Nie zdążyła ukryć zaskoczenia, więc nie było sensu zaprzeczać.

- Nie zapomniał. On po prostu...

- Zapomniał. Ale on nigdy nie pamięta o takich okazjach. Także w rodzinie.

Mam mu przypomnieć?

- Nie! Proszę, nie.

- Woli pani zrobić to sama, gdy wrócicie do domu? Czy też wcale pani o tym nie wspomni?

- To wyłącznie moja sprawa. Proszę nie poruszać więcej tego tematu.

- Jeśli tak pani sobie życzy... będę posłuszny. Ale nie ma pani racji, mówiąc, że to tylko jej sprawa. Jest pani moim gościem i nie jest pani zadowolona. A to już moja sprawa. Chciałbym to naprawić. Co mogę zrobić?

- Proszę nic nie robić. Pańska gościnność jest bez zarzutu, wystarczy mi, że Linas dobrze się bawi - odparła, słysząc, że nie zabrzmiało to zbyt szczerze.

Nie liczyła, że Winterson jej uwierzy.

- To bardzo szlachetne, ale obawiam się, że jestem zbyt cyniczny, by uwierzyć, że zadowolenie mojego brata jest jedynym, czego pani pragnie. Nie wierzę, jest pani młodą kobietą. Nigdy nie wybiega pani myślami w przód, kiedy będzie pani mogła pragnąć czegoś więcej?

Helene poczuła dławiącą tęsknotę, która sprawiała, że nocami płakała w poduszkę. Zanim zdołała się opanować, jej oczy wypełniły łzy, zdradzając jej prawdziwe uczucia. Dlaczego właśnie on musiał być świadkiem jej słabości? Do tej chwili prawie nigdy z nią nie rozmawiał.

Chciała odjechać, dokądkolwiek, byle dalej od niego, ale Winterson chwycił jej konia za uzdę i pociągnął go za sobą z dala od toru. Kiedy się zatrzymali, konie zgodnie opuściły głowy i zaczęły skubać trawę. Stali plecami do zgromadzonych wokół toru gości i oboje milczeli.

- Już w porządku - szepnęła. - Proszę mi wybaczyć. Nie chciałam pana wprowadzić

w zakłopotanie.

- Nie czuję się zakłopotany. Często mówię bez ogródek i jak widać, trafiłem na bolące miejsce. Martwię się, ale nie jestem zakłopotany.

- Nie rozmawiajmy już o tym, proszę.

- Oczywiście. Możemy wracać?

- Tak.

Oddając jej wodze, rzucił okiem na widoczne pod strojem do jazdy konnej krągłości, na prostą linię jej pleców i długą szyję. Czarne, błyszczące włosy miała zwinęte w węzeł osłonięty złotą siatką, a spod suto przybranego piórami kapelusza patrzyły na niego ogromne, pełne wyrzutu oczy ocienione długimi rzęsami. W takich oczach mężczyzna mógłby utonąć - pomyślał, zerkając na pełne usta i brzoskwiniową cerę. Wiedział, że postępująca choroba Linasa nie pozwalała mu już odwiedzać jej sypialni i że to był główny powód jej nieszczęścia.

Dołączyli do pozostałych, jadąc razem bok w bok, co nie umknęło uwagi lady Slatterly i doprowadziło ją niemal do szału.

- Gdzie się oboje podziewaliście? - zapytała, patrząc zimno na Helene.

- Lady Slatterly, nie odpowiadam na takie pytania, odkąd skończyłem czternaście lat, i nie zamierzam tego zmieniać. Nie widzę też powodów, dla których panna Follet miałaby się przed panią tłumaczyć - oznajmił Winterson.

Po takim afroncie twarz lady Slatterly pokryła się rumieńcem. Ostro szarpnęła wodze i odjechała. Helene widziała ją tego popołudnia jeszcze kilka razy, ale zawsze z daleka.

Zastanawiała się, co łączy Wintersona z lady Slatterly. Zupełnie nieoczekiwanie wyjaśnił jej to Linas.

- Mój brat nie ma oficjalnej kochanki - oznajmił, gdy wracali do Abbots Mere. - Veronique uważa, że mogłaby nią zostać. Ale żeby cokolwiek u niego wskórać, musiałaby powściągnąć język i być bardzo ostrożna. Burl nie znosi kobiet, które próbują go kontrolować. Nawet naszej matce nie udawało się tego dokonać.

Lord i lady Stillingfleete nigdy specjalnie nie kontrolowali swoich synów. Jakiś czas temu opuścili Abbots Mere i przenieśli się do Harrogate, skąd mieli blisko do leczniczych źródeł. Rodzinną posiadłość przekazali w godne zaufania ręce Wintersona i wpadali z wizytą, kiedy zapragnęli zmiany scenerii.

Reprimenda Wintersona przyniosła rezultaty i następnego wieczoru lady Slat-terly przestała demonstrować swoją zazdrość o Helene. Winterson także zaczął ją traktować inaczej, choć może nie zauważył tego nikt poza nią samą. Starał się, żeby była zadowolona, włączał się też do rozmowy, kiedy ona coś mówiła.

Linas opuścił swoją popołudniową drzemkę i przy kolacji widać było, jak bardzo jest zmęczony. Pił więcej niż zwykle. Po jego głosie słyszała, że jest już pijany. Nie chciała mu jednak zwracać uwagi w tak licznym towarzystwie i z rozpaczą patrzyła, jak wciąż napełniają mu kieliszek.

Winterson też zerkał na brata z troską. Było już późno, ale goście nadal grali w karty i rozmawiali, siedząc grupkami na kanapach i na porozkładanych na podłodze poduszkach. Widząc, że młody lokaj zbliża się do Linasa z tacą pełnych kieliszków, dał mu znak, ale za późno. Linas niepewnie chwycił kieliszek i wylał jego zawartość na spodnie i dywan.

Helene podeszła do niego, chcąc dyskretnie pomóc, ale Winterson był szybszy. Chwycił brata pod pachy i postawił go na nogi, nie zwracając uwagi na jego protesty.

- Chodź, dosyć na jeden dzień.

- Proszę zostać z gośćmi. Ja go zaprowadzę na górę - szepnęła Helene.

- Zajmę się nim. Posłałem po Nairna. Proszę nam zostawić Linasa.

Po tym zapewnieniu poczuła się spokojniejsza. Nie miała ochoty przebywać dłużej w towarzystwie, ale alternatywa była jeszcze mniej pociągająca. Uznała więc, że przekazanie Linasa w ręce brata nie jest aż takim poświęceniem.

Po ich wyjściu Helene spędziła z gośćmi jeszcze godzinę, udając, że nic się nie stało, i przekonała wszystkich z wyjątkiem jednej osoby. Winterson wrócił i próbował zabawić zebranych grą w szarady, ale panie zaczęły się już rozchodzić do swoich pokoi, wciąż chichocząc i flirtując. Helene z ulgą pomyślała, że jutro będą już z Linasem

w Yorku. Zostawi go w przestronnym, cichym Stonegate, a sama wróci do swojego domu na Blake Street. Tak naprawdę dom nie był jej. Należał do Linasa i choć starała się o tym nie myśleć, wiedziała, że po jego śmierci będzie się musiała wyprowadzić.

Gdyby urodziła Linasowi potomka, jej przyszłość wyglądałaby inaczej. Na to jednak chyba nie było szans. Już jakiś czas temu doszli do wniosku, że jedno z nich musi być bezpłodne. Helene wolała myśleć, że to wina Linasa, ale kiedy przypomniła sobie pytanie Wintersona o jej przyszłość, zrozumiała, że to nieważne, kto jest winny. Nie mieli dziecka, a jej perspektywy malowały się w ciemnych barwach.

Pogrążona w myślach, prawie nie zauważyła, kiedy pokojówka ją rozebrała i odłożyła do szkatułki skromną biżuterię, którą dostała od Linasa. Nigdy nie obsypywał jej prezentami, ale dzisiaj miała urodziny, a on nawet nie złożył jej życzeń. Pomyślała, że ich związek najwyraźniej zmierza ku końcowi.

Może powinna odejść pierwsza, nie czekając, aż on ją zostawi? A co potem? Szukać kolejnego kochanka? Wędrować z rąk do rąk, aż w końcu... no właśnie, jak długo miałyby tak żyć? Czy Winterson traktuje ją tak chłodno, bo przeczuwa, że Linas chce ją zostawić?

Postanowiła nie zaglądać do pokoju kochanka. Czowała się winna, ale wiedziała, że ta wizyta tylko pogorszy jej humor. Była pewna, że jego brat i lokaj zrobili co trzeba i że Linas chrapie pod stertą kołder i koców przy szczelnie zamkniętych oknach. Odór potu i zapach lekarstw nie nastrajały romantycznie. To nie było miejsce dla kochanków.

Przez chwilę patrzyła, jak strugi deszczu spływają po szybie, a potem gwałtownie zaciągnęła zasłony, by nie widzieć swojego zniekształconego odbicia. Gdy wślizgnęła się między chłodne prześcieradła, poczuła mrowienie na skórze i szybko poszukała nogami ogrzanego przez grzałkę miejsca. Pokojówka zdmuchnęła świecę i wyszła, życząc jej dobrej nocy.

Od wielu tygodni Linas nie dzielił z nią łóża, więc kiedy na w pół śpiąca poczuła, że ugiął się obok niej materac, ucieszyła się. Musiała zasnąć, bo za oknem szalała burza. Może wiatr go zbudził, a może przypomniał sobie o jej urodzinach? Poczuła cięż-

zar jego dłoni na swoim biodrze i mocniej wtuliła się w ciepłe, męskie ciało. Pomyślała, że on zaraz zaśnie.

Sposób, w jaki jej zmysły pamiętały Linasa, był najlepszym dowodem długich tygodni abstynencji. Nie czuła woni lekarstw, tylko świeży zapach wrzosowiska i mdrzewiowego lasu po deszczu. Jego ramię, zwykle ciężkie i bezwładne, wydawało się jej muskularne, a kiedy się poruszało, muskało ją włosami, wywołując przyjemne mrowienie na skórze.

Ospale próbowała przywołać wspomnienia wspólnych nocy. Chwilami miała wrażenie, że chyba rozpoznaje jego dotyk, ale nawet leżąc do niego plecami, nie umiała tego pogodzić z pulsującym twardym członkiem przyciśniętym do jej pośladków. Czy to był tylko sen? Czy była aż tak rozzalona i spragniona miłości, że musiała o niej śnić? Sięgnęła po jego dłoń, by sprawdzić, czy ma na palcu sygnet, którego nigdy nie zdejmował, ale nie zdążyła, bo on chwycił ją za nadgarstek.

Coś było nie tak. Zaniepokojona, odwróciła się do niego przodem i zanim zrozumiała, co się dzieje, on już na niej leżał. Linas nigdy nie poruszał się tak szybko, a poza tym ciągły kaszel i problemy z oddychaniem zmuszały go do częstych od-poczynków. Mężczyzna objął ją, a kiedy się nad nią pochylił, jego gęste włosy musnęły jej twarz. Pocałował ją. Ale nie były to niepewne i ostrożne pocałunki, od jakich zawsze zaczynał Linas. Ten mężczyzna był pewny siebie. Wiedział, jak sprawić kobiecie przyjemność i spowodować, by przestała się opierać. Dopiero po dłuższej chwili zaczęła podejrzewać, że to nie Linas ją całuje. Musiała to sprawdzić.

Próbując go odepchnąć, starała się rozpoznać, kim jest, choć umysł podpowiadał, że lepiej byłoby nie wiedzieć. Walczyła bez słowa, bojąc się, że oskarżenia i zaprzeczenia zniszczą ten cudowny sen. Zrozumiała, że nie wygra, i w końcu przestała się nawet opierać jego pocałunkom. Delikatnie dotknęła jego twarzy, wodząc palcami po czole i policzkach. Kiedy dotknęła jego ust, pocałował jej palce i ten czuły gest do reszty ją rozbroił. Wplotła palce w jego włosy, a potem przesunęła dłonie niżej, na muskularne ramiona.

Pomyślała, że pomylił pokoje, ale z drugiej strony wiedział chyba, jak rozłoko-

wani byli jego goście. Była to jedyna rozsądna myśl, jaka tej nocy zdołała się przedostać do jej głowy. Długo tłumione pożądanie i przeświadczenie, że ostatni rok z Linasem był zmarnowany, uciszyły wszelkie wątpliwości i obawy. Przestała myśleć i skupiła się na doznaniach, jakie wywoływały jego pieszczoty. Wiedziała, że ta noc będzie miała konsekwencje, ale w tej chwili z perwersyjną przyjemnością przyłączyła się do jego gry. Zamierzała przyjąć wszystko, co on zechce jej dać. Był to jedyny prezent, jaki dostanie na urodziny.

Helene nie wiedziała, jakie powody nim kierowały, i nie zamierzała go o to pytać. Zdawała sobie sprawę, że ta noc się nie powtórzy. Nigdy. Postanowił ją wykorzystać, a ona wykorzystwała jego. Udawała, że wszystko dzieje się wbrew jej woli, ale wiedziała, że to nieprawda i że jej opór był zupełnie nieprzekonujący.

Napawała się każdą spędzoną z nim chwilą. Był wspaniałym kochankiem i Helene pierwszy raz w życiu przeżyła prawdziwą rozkosz. Przez cały czas ich znajomości nigdy nie starał się zdobyć jej względów, więc szeptanie teraz słodkich słówek byłoby fałszywe. Kochali się w milczeniu i tylko z doświadczenia wiedziała, że było mu z nią dobrze. Okazał się troskliwym kochankiem i nie spieszył się. Wielokrotnie doprowadzał ją do stanu ekstazy, a jej zachwyty sprawiały mu wyraźną przyjemność. Każdy raz był inny i każdy równie wspaniały, a jego energia i zapał były wprost fenomenalne.

Kochali się do samego świtu, bo jej świeżo rozbudzona namiętność była nienasycona. Ale kiedy przez szparę w zasłonach zaczęło się sączyć szare światło dnia, mężczyzna zniknął tak samo cicho, jak się pojawił. Myślał, że ona śpi. Pozwoliła mu odejść, czuła, że ich czas minął. Wiedziała, że ta noc na zawsze odmieni jej życie i dopóki będzie z Linasem, będzie ją dręczyć poczucie winy. Uznała jednak, że było warto. Mimo to miała nadzieję, że Linas się o tym nie dowie. Bo chociaż nie był całkiem bez winy, to jednak jej nie zdradzał. Teraz najtrudniej będzie jej udawać, że nic się nie wydarzyło.

Po dwóch miesiącach Helene odkryła, że jest w ciąży. Powiedziała Linasowi o dziecku, spodziewając się, że to zakończy ich związek i że z dnia na dzień straci dach

nad głową. A jednak nic takiego się nie stało. Linas uznał dziecko za swoje, choć musiał wiedzieć, że nie jest jego, i spokojnie przyjmował gratulacje przyjaciół i rodziny. Nie zadawał żadnych pytań i nie chciał słuchać tłumaczeń. W tej sytuacji Helene uznała, że jego męska duma jest dla niego ważniejsza niż prawda, a kiedy urodziła syna, Linas cieszył się tak samo jak ona. W końcu doczekał się potomka, którego tak pragnął.

Dziecko dodało Linasowi sił. Żył jeszcze przez trzy lata, będąc przy malcu, gdy ten uczył się chodzić i mówić, i kiedy zaczynał poznawać świat. Jego stan pogarszał się jednak z dnia na dzień i w końcu zabrano go do rodzinnego Abbots Mere, gdzie zakończył życie. Stało się to wkrótce po trzecich urodzinach synka.

Od czasu pamiętnej nocy Helene podejrzewała, że obaj bracia sprytnie ją wykorzystali. Teraz była tego pewna.

RS

Rozdział pierwszy

York, styczeń 1806

Droga z pracowni zakładu krawieckiego „Follet i Sanders” do domu Linasa zajmowała mi zazwyczaj kilka minut. Ale dzisiaj od rana padał śnieg, a ja włożyłam eleganckie, obszywane futrem trzewiczki, zupełnie nienadające się do zimowych spacerów. Zanim doszłam do rogu Blake Street i Stonegate, miałam przemoczone i skostniałe stopy i ledwo trzymałam się na nogach, bo buty ślizgały się na przyprószonym śniegiem lodzie. Mocniej otuliłam ramiona szalem, mówiąc sobie, że niejedną śnieżycę już przeżyłam i że jestem twardą dziewczyną z północy, ale to nie ułatwiało poruszania się po śliskim chodniku.

Schody prowadzące do drzwi domu Linasa były pokryte śniegiem i gdybym spojrzała na wycieraczkę, zauważyłabym, że niedawno ktoś tam wszedł. Byłam jednak zmarznięta, kaptur opadał mi na oczy i patrzyłam głównie pod nogi. Weszłam do holu, wnosząc na obuwiu śnieg. Zobaczyłam mokrą podłogę i męskie nogi w zimowych butach, ale dopiero kiedy zdjęłam kaptur, ujrzałam całą postać. Przede mną stał pan Brierley, prawnik Linasa. Przypuszczam, że miał takie samo prawo przebywać w tym domu jak ja.

Spojrzałam na jego mokre od śniegu okulary i na zaczesany w poprzek czoła kosmyk siwiejących włosów. Mężczyzna próbował się uśmiechnąć, ale w tym lodowatym wnętrzu nie bardzo mu to wyszło. Za życia Linasa w domu zawsze było gorąco, teraz jednak panował przejmujący chłód. Linasowi było to już obojętne. Od wczoraj leżał w grobie, który dzisiaj przykrył puszysty biały dywan.

- Nie spodziewałam się tu pana tak szybko, panie Brierley. Myślałam, że nie zjawi się pan przed upływem kilku tygodni, a w każdym razie kilku dni.

Otrząsnęłam śnieg z pelisy i spojrzałam na stolik w holu. Zobaczyłam dwie futrzane czapki, dwie pary rękawiczek, laskę i znajomą szpicrutę i zrozumiałam, że sprawdziły się moje najgorsze obawy. Nie byłam jeszcze gotowa na takie spotkanie i

nie przypuszczałam, że może dojść do niego tak szybko. Pogrzeb Linasa był zaledwie wczoraj... Musiałam stąd jak najszybciej wyjść, zanim brat Linasa się zjawi. W obecnym stanie ducha mogłam się z nim tylko pokłócić.

Prawnik oczekiwał zapewne, że jako kochanka jego klienta będę bardziej przytulna. Kochanki na ogół na coś liczyły. Moje przywitanie przekonało go jednak, że nie jest tutaj mile widziany.

- Rzeczywiście... przyznaję, że prawnicy nie słyną z pośpiesznego działania, ale lord Winterson prosił, żebym się tu dzisiaj z nim spotkał i...

- Rozejrzył się po domu? To zrozumiałe, panie Brierley. Mam pana zostawić samego? Będzie pan robił inwentaryzację? - zapytałam oskarżycielskim tonem, zerkając na oprawiony w czarną skórę notes, który trzymał pod pachą.

- Nie... Nie będę robił inwentaryzacji. Lord Winterson chce załatwić pewne pilne sprawy, zanim przyjdą mrozy i śnieg. Może pani przyszła tu z tych samych powodów?

- Dla mnie pogoda nie ma znaczenia. Przychodzę tu codziennie. W takiej chwili ktoś musi pokierować służbą - odparłam, bo uznałam, że miał prawo o to pytać.

- Jestem tu właśnie po to, żeby znaleźć im nowe miejsca pracy. Mam tu kilka adresów... - Prawnik Zabębnił palcami w skórzany notes. - Będą potrzebowali referencji, które pan Monkton dla nich przygotował.

Linasa pewnie omówił z prawnikiem i bratem przyszłość wszystkich swoich pracowników. Mam nadzieję, że moją też. Szkoda, że nie zdobył się na to, by porozmawiać o tym ze mną osobiście. Oszczędziłby mi obaw i niepewności, czy sobie poradzę po jego śmierci. Liczyłam się z tym, że mogę zostać zdana tylko na siebie, i poczyniłam pewne kroki. Byłoby mi jednak lżej na sercu, gdybym wiedziała, że zatroszczył się o przyszłość moją i Jamiego tak samo, jak o przyszłość swoich pozostałych domowników. Wielokrotnie próbowałam z nim rozmawiać na ten temat, ale w końcu doszłam do wniosku, że to bezcelowe. Linas irytował się, kasłał i nigdy nie powiedział nic konkretnego, więc przestałam.

- Oczywiście. W takim razie już pana pożegnam. Życzę miłego dnia.

Miałam skostniałe stopy i lodowate dłonie, a mroczny hol robił przygnębiające wrażenie. Nie chciałam spotkać brata Linasa ani dziś, ani nigdy. Podniosłam ręce, by założyć kaptur i poczułam, jak lodowata woda z mokrego futra wciekła mi do rękawów.

- Lord Winterson na pewno chciałby, aby była pani obecna jutro podczas odczytania ostatniej woli i testamentu jego brata.

- Nie przypuszczam - mruknęłam. - W takich chwilach rodzina zmarłego nie chce widzieć jego kochanki. Pójdę już. Do widzenia.

Moje słowa zagłuszyły ciche kroki mężczyzny, z którym spotkania miałam nadzieję uniknąć. Dostrzegłam go jednak kątem oka.

Od chwili, gdy ujrzałam go po raz pierwszy, minęło prawie sześć lat, a mimo to nadal nie umiałam zapanować nad emocjami, jakie budził we mnie jego widok. Od tamtej pamiętnej wizyty w Abbots Mere nie było dnia, bym nie wspominała naszej nocy albo nie czuła się skrzywdzona. Obaj z Linasem oszukali mnie i wykorzystali. Zamierzałam mu okazać swój gniew. Nie mogłam go demonstrować przed Linasem, bo nie miałam śmiałości kąsać ręki karmiącej moje dziecko i mnie. Nigdy jednak nie wybaczę Wintersonowi i nie spojrzę na niego łaskawym okiem.

Na pogrzebie Linasa było dużo ludzi. Staralam się omijać wzrokiem jego brata, a jeśli już na niego zerkalam, to dyskretnie. Teraz mogłam otwarcie patrzeć mu w twarz i ze zdziwieniem zobaczyłam podkrążone, smutne oczy i zaciśnięte usta.

Winterson stał oparty o framugę, ze zwieszonymi ramionami, i widać było, jak bardzo jest zmęczony. Spod peleryny narzuconej na płaszcz do jazdy konnej wystawała czarna kamizelka ze złotymi guzikami i łańcuszek od zegarka. Miał jak zawsze nie-nagannie zawiązany fular i za długie włosy, aż proszące się o strzyżenie,

Zrobiło mi się wstyd, że rozpaczając po utracie kochanka, nie pomyślałam o tym, jak bardzo musiał cierpieć jego brat, który był przy nim do samego końca. Nie mogłam mieć żalu, że nie dopuszczono mnie na dłużej do łoża śmierci Linasa. Winterson wysłał po mnie powóz, żebym mogła być przy ukochanym w jego ostatnich chwilach. Wtedy właśnie po raz pierwszy i być może ostatni miałam wrażenie, że na-

sza trójka jest sobie naprawdę bliska, że umiemy zapomnieć o łączących nas skomplikowanych związkach i obdarzyć się wzajemnie czułością i współczuciem. Tuż przed śmiercią Linasa Winterson pozwolił mi z nim zostać sam na sam, co było tym bardziej niezwykle, że jego rodzice też czekali, by zobaczyć syna. Byłam mu za to bardzo wdzięczna. Wracając z pogrzebu, miałam wrażenie, że gdyby nie mały Jamie, nie miałabym już po co żyć. Smutna ceremonia rozstroiła mnie i napełniła smutkiem, nie pozwalając zasnąć w nocy. Byłam zmęczona i to odbijało się na moim zachowaniu.

- Może mi pani poświęcić chwilę, panno Follet?

- Obiecałam synowi, że zaraz wrócę.

- Proszę tylko o chwilę... - Winterson podszedł do mnie z wyciągniętą ręką, jakby był pewien, że mu nie odmówię.

Nie zdejmując kaptura, niechętnie minęłam obu panów i weszłam do gabinetu. W ciągu ostatniego roku było to schronienie Linasa, zawsze ciepłe i przytulne, pełne porozkładanych książek i gazet. Teraz panował tu nieskazitelny porządek i chłód, co przypominało mi przygnębiającą stratę i napawało smutkiem. Podkreśliłam płomień lampy stojącej na biurku Linasa i podeszłam do białego marmurowego kominka, starając trzymać się możliwie daleko od Wintersona.

- Słucham, o czym chce pan ze mną rozmawiać? - zapytałam, otulając się mocniej szalem.

- Panno Follet... Helene... Brierley i ja... - Westchnął ciężko, jakby też nie mógł znieść pustki w tym pokoju. - Jutro miało się tu odbyć odczytanie testamentu Linasa, ale obawiam się, że pogoda może pokrzyżować nasze plany. Jeżeli nadal będzie padać, osoby, które powinny być obecne przy odczytaniu, mogą nie zdołać dojechać albo potem wrócić do domu. W tej sytuacji postanowiłem poczekać, aż sytuacja się poprawi. Mówiąc wprost, nie wiem, jak pani stoi z pieniędzmi. Rachunki Linasa są w tej chwili zamrożone. Zastanawiałem się, czy nie potrzebuje pani w związku z tym pożyczki. Do chwili gdy dowiemy się, jakie dyspozycje zostawił co do pani osoby mój brat.

- Cóż za troska. Gdybym tu pana przypadkiem nie spotkała, pewnie nadal by się

pan nad tym zastanawiał.

- To nie był przypadek. Wiedziałem, że codziennie pani tu przychodzi. Trudno tak nagle zmienić przyzwyczajenia. Byłem na Blake Street, ale pani już wyszła. Przyjechałem więc tutaj, by na panią poczekać i spotkać się z Brierleyem.

- Był pan na Blake Street? Widział pan... Jamiego?

- Tak - odparł, unosząc brew, zaskoczony moim tonem. - Jest jakiś powód, dla którego nie powinienem był tego robić? Mały urósł w ciągu ostatnich tygodni.

- Powinam wracać do domu. Jamie tęskni za ojcem.

Nie zastanowiłam się, co mówię, i wetknęłam patyk w gniazdo os. W pokoju zapanowała cisza, przerywana tylko głośnym tykaniem zegara.

- Może to najlepsza pora, by przypomnieć pani, że jego ojciec żyje i właśnie się z nim spotkał, do czego tak usilnie starała się pani przez te wszystkie lata nie dopuścić. Dopóki Linas żył, milczałem, ale teraz oboje musimy pogodzić się z tym, jak jest naprawdę, i zrobić to, co leży w interesie dziecka. Nie zdziwi pani zapewne fakt, że brat uczynił mnie prawnym opiekunem chłopca?

- To pewnie jedyna rzecz, która mnie nie zdziwi. Wiem, że opiekunem dziecka musi być mężczyzna. Wybór rodzzonego brata wydaje się dość oczywisty. Ale to nie zmienia faktu, że jestem matką Jamiego i że to ja będę decydować, gdzie chłopiec będzie mieszkał i co będzie robił. I z kim.

- Właśnie dlatego chcę, by pani była obecna przy odczytaniu ostatniej woli Linasa.

- Rozumiem, że zna pan szczegóły, które mnie dotyczą.

- Tak. To chyba naturalne. Linas był moim bratem, rozmawiał ze mną o takich sprawach.

- O, tak... Rozmawialiście o tym cztery lata temu, prawda? I to ze szczegółami. Linas chciał mieć potomka. Spełnił pan jego marzenie, a ja dałam się nabrać jak żałobna idiotka spragniona urodzinowego prezentu. Ale zapłaciłam za to.

- Ma pani Jamiego. A przecież nie tylko Linas pragnął dziecka... Proszę nie zaprzeczać.

- W dzisiejszych czasach kobieta chciałaby mieć coś do powiedzenia na temat tego, kto ma być ojcem jej dziecka. Nawet kochance należałoby chyba uczciwie powiedzieć, jak się sprawy mają.

- Proszę się zastanowić - rzucił ostro. - Gdyby pani wiedziała, nie byłoby Jamiego... Nie mam racji?

- To prawda. Nie byłoby go - przyznałam. Nie miałam siły klócić się z nim na ten temat. Westchnęłam i przymknęłam powieki, przyciskając dłoń do czoła. - To nie ma sensu. Za wcześnie na wzajemne oskarżenia. Albo za późno. Jestem zmęczona. Pora wracać do domu.

Uspokajałam się powoli. Winterson patrzył na mnie bez słowa.

- Wiem, że czekają mnie zmiany. Miałam czas, żeby się do tego przygotować. Obojętne, co mnie spotka. Dziękuję za propozycję pożyczki. Na razie damy sobie radę. Chcę podziękować, że pod koniec pozwolił mi pan zostać samej z Linasem. To był szlachetny gest. Jestem panu wdzięczna... - Ostatnie słowo uwięzło mi w gardle.

- W pełni pani na to zasłużyła. Dzięki pani troskliwej opiece żył dłużej, niż przewidywali lekarze.

- Myślę, że większa w tym zasługa Jamiego.

- To też. Jamie był wspaniałym prezentem. Linas był bardzo szczęśliwym człowiekiem. Często mi to powtarzał.

- Naprawdę? - zapytałam smutno.

- Nigdy pani tego nie powiedział?

- Nie. Nawet w ostatnich dniach. Może za bardzo cierpiał, by pamiętać o takich sprawach. A może uważał, że to ja jestem szczęśliwa. Nie wiem. Teraz to i tak już nieważne, prawda? Nie przyjdę na odczytanie jego testamentu. Uważam, że moja obecność byłaby nie na miejscu. Nie należę do rodziny i nie oczekuję niczego dla siebie. To była moja praca. Wypełniałam swoje obowiązki najlepiej, jak umiałam. Zależy mi tylko na tym, żeby Jamie nie cierpiał.

- To nie była praca, panno Follet. Była pani partnerką mojego brata. Kiedy Linas dowiedział się, że zostało mu tylko kilka lat życia, zdecydował, że nie będzie się żenił,

i rodzina przyznała mu rację.

- Mało romantyczne podejście do losu. Ale za to bardzo praktyczne. Kochanka na kilka lat wypada dużo taniej niż żona. Linas wolał mieć syna z nieślubnego łoża, który zgodnie z prawem może po nim dziedziczyć, niż zostawić wdowę, która ponownie wyjdzie za mąż i wniesie drugiemu mężowi w posagu to, co dostała po pierwszym. Proszę nie mówić, że nie pracowałam dla pańskiego brata, bo to nieprawda. Nie powinnam teraz tutaj z panem siedzieć po to, by usłyszeć, że moja kura znosząca złote jaja znikła, zostawiając mi jedynie nieślubnego syna. Zapewniam, że będę bronić mojego skarbu i nie pozwolę, by dostał się w obce ręce. Mój syn jest dziedzicem Monktonów, ale jest także moim jedynym dziedzictwem. Jamie jest mój.

Nie powinnam była tego wszystkiego mówić, w każdym razie nie wtedy, kiedy wszystko we mnie kipiało, gdy Linas dopiero co odszedł i oboje z Wintersonem byliśmy wykończeni i mieliśmy nerwy w strzępach. Byłam jednak bardzo rozżalona, a tłumiona latami gorycz i uraza domagały się ujścia. Zamiast rozsądnie milczeć, wybuchłam. Należało winić za to swój porywczy charakter, ale to byłoby zbyt łatwe. Nie mogłam cofnąć swoich słów, siedziałam więc w milczeniu, czekając na jego odpowiedź, która zamknie mi usta na długie miesiące. Zasłużyłam na to.

- Chłopiec jest także mój - powiedział spokojnie Winterson. - Linas uczynił mnie jego prawnym opiekunem. Radzę, niech się pani do tego przyzwyczaja. Czy to się pani podoba, czy nie.

- Nie podoba mi się.

- Ale Jamiemu się spodoba. Chłopiec rośnie i będzie potrzebował ojca, który go wprowadzi w męski świat. Nie wystarczą mu spacerzy z opiekunką.

- Jamie jest małym dzieckiem. Nie potrzebuje nikogo poza matką.

- Poczekajmy do otwarcia testamentu Linasa. Wtedy będziemy wiedzieli, jakie są naprawdę potrzeby Jamiego, dobrze? Teraz oboje jesteśmy zmęczeni. Pora, żeby pani wróciła już do domu. Chodźmy. Ja też muszę dojechać do Abbots Mere, zanim śnieg zasypie drogi.

- A co ze służbą? Przyjechał pan, żeby...

- Brierley się tym zajmie. Mieszka na Petergate. To uczciwy człowiek, można mu zaufać.

- Wierzę, że dobrze zadba o pana interesy.

- I o interesy Jamiego. Widzi pani w tym coś złego?

To pytanie znów mnie rozzłościło i sama nie wiem, co we mnie wstąpiło. Może chciałam go sprowokować, żeby przestał być tak strasznie uprzejmy i dobrze wychowany i okazał wreszcie jakieś emocje. A może miałam po prostu gorszy dzień?

- Nie widziałabym, gdyby miał pozostać przy mnie. Ale tak się nie stanie, prawda?

Staliśmy przy drzwiach. Winterson trzymał rękę na klamce i już miał ją nacisnąć, kiedy moja zjadliwa uwaga sprowokowała go do działania. Błyskawicznym ruchem chwycił mnie za ramiona i przycisnął do drzwi. Pochylił się i spojrzał mi w twarz. Złość, jaką ujrzałam w moich oczach, była niczym w porównaniu z jego wściekłością.

- Przestań, kobieto! - warknął. - Wydaje ci się, że tylko ty ucierpiałaś? Myślisz, że jesteś najbardziej pokrzywdzona? Tak myślisz? To nieprawda. Linas był moim bratem. Byłaś z nim przez ostatnie sześć lat, a ja przez trzydzieści. Ty i ja... zrobiliśmy to, czego od nas chciał. Jeśli nie miałaś w tej sprawie wiele do powiedzenia, to wiedz, że ja też nie byłem w lepszej sytuacji. Złócisz się, bo uczyniłem to dla brata, a ty myślałaś, że robię to dla ciebie, prawda? Naprawdę uważasz, że mam zwyczaj zakradać się nocą do łóżek swoich gości?

Najchętniej odparłabym, że moim zdaniem wykazałam w tym dużą wprawę, ale powstrzymałam się. Patrząc na niego, dostrzegłam białe nitki połyskujące w ciemnych gęstych włosach, dwie nowe zmarszczki biegnące od nosa do ust i opuchnięte powieki. Jakby płakał.

- Przepraszam - szepnęłam. - Mam zszarpane nerwy. Oboje potrzebujemy odpoczynku.

Winterson patrzył na mnie ze smutkiem w oczach, ale nie powiedział nic więcej. Puścił mnie i naciągnął mi kaptur na głowę. Nie robiłam sobie nadziei, że tym tro-

skliwym gestem wyróżnił mnie jakoś spośród innych kobiet. Pewnie zrobiłby to dla każdej swojej znajomej, a one, być może tak samo jak ja, również straciłyby na chwilę głowę.

- Proszę się uspokoić. Niech pani wraca do domu i ogrzeje się. Chodźmy.

Na zewnątrz szalała zamieć. W bladym świetle latarni widać było kłęby śniegu miotane gwałtownymi porywami wiatru. Z wąskiej alejki prowadzącej na tyły domu Linasa wyłonił się stajenny Wintersona. Siedział na koniu, trzymając wodze wierzchowca swojego pana. Winterson ujął mnie pod ramię i ruszył w stronę mojego domu. Stajenny jechał za nami.

- Mogę iść sama. Dam sobie radę - krzyknęłam, ale nie zareagował i dalej razem przedzieraliśmy się przez zamieć.

W końcu dotarliśmy na miejsce i mogłam mu podziękować za odprowadzenie.

- Proszę nie wychodzić z domu, dopóki nie przestanie padać. Skontaktuję się z panią najszybciej, jak to będzie możliwe. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę się zwrócić do Brierleya. On pani pomoże.

Skinęłam głową, a potem stałam, patrząc, jak Winterson lekko wskakuje na siodło i znika w śnieżycy. Po drugiej stronie Blake Street znajdował się zakład krawiecki znany jako „Follet i Sanders - Krawiectwo Miarowe, Kapelusze, Tkaniny.” W oknach zakładu było już ciemno. Dziewczęta skończyły dziś wcześniej, by bezpiecznie dotrzeć do domu, ale byłam pewna, że Prue Sanders trzyma się na zapleczu nad sukniami zamówionymi na noworoczne bale. W tym roku było wyjątkowo zimno, kazałam więc bez przerwy palić w pokojach, gdzie pracowały szwaczki. Nie chciałam, by marzły, choć wbrew moim niedawnym zapewnieniom był to luksus, na który tak naprawdę nie było mnie stać. Nie wyobrażałam sobie jednak, żebym mogła przyjąć od Wintersona pieniądze. Obie z Prue będziemy musiały zadowolić się tym, co same zarobimy.

Dzisiejszego wieczoru myśli kłębiły mi się w głowie. Zawsze starałam się, by moje spotkania z bratem Linasa były jak najkrótsze. Dzisiaj pierwszy raz rozmawialiśmy o tym, że to on jest ojcem Jamiego, że nie zamierza rezygnować z widywania chłopca, i o moich odczuciach z tym związanych. Dopóki Linas żył, nikt nie poruszał

tego tematu. Myślałam, że Winterson tak samo jak jego brat będzie unikał niewygodnych tematów. Może dlatego dzisiejsza rozmowa tak mną wstrząsnęła i wytrąciła mnie z równowagi.

Wczoraj pogrzebaliśmy Linasa, a Winterson od razu na drugi dzień wyciąga nasz wstydlivy sekret na światło dzienne. Miał rację, byłam zła. Ale nie dlatego, że tamtej nocy źle odczytałam jego motywy. Byłam zła na siebie za to, że tak chętnie mu się wtedy oddałam, i to wielokrotnie. Wiedział, że zrobiłam to z prawdziwą przyjemnością i dlatego moja duma była urażona. Wystarczyło, byśmy znaleźli się w jednym łóżku, a wzajemna niechęć szybko poszła w zapomnienie. Co mógł o mnie po tym wszystkim myśleć? Że jestem łatwa, płytka, niełojalna?

Nie miał pojęcia, że od tamtej pory żyłam wspomnieniami tej jedynej wspólnej nocy. Nie był pewien, jaki był mój stosunek do niego przed pamiętnym wydarzeniem, dlatego koniecznie musiałam go przekonać, że nigdy nie darzyłam go sympatią. Trzymanie go z dala od Jamiego było częścią mojej strategii, ale teraz Linas mi to utrudnił.

Rozdział drugi

Pogoda sprzyjała moim planom. Śnieg zasypał drogi i ruch z miasta i do miasta praktycznie zamarł. Dopiero po tygodniu szlaki zostały odśnieżone na tyle, że znowu można było dojechać na przedmieścia. Ze wszystkich stron dochodziły informacje o zasypanych chatach, uwięzionych w zaspach dyliżansach pocztowych z podróżnymi i o dzieciach, które utonęły, gdy nagle zarwał się pod nimi lód na zamrzniętym stawie. Śnieg ciągle padał. Gałęzie drzew łamały się pod jego ciężarem, a pola skrywał coraz grubszy biały dywan. Farmerzy tracili całe stada owiec, temperatura spadała i wszystko, co było zbyt stare, słabe i biedne, by się ogrzać, ginęło. Termometr w holu Linasa wskazywał niewiele ponad zero stopni, a kilka dni później temperatura w Yorku spadła do dwudziestu stopni mrozu. Nie pamiętam, żeby kiedyś było tak zimno.

Mimo mrozu codziennie odwiedzałam Stonegate. Sprawdzałam, jak daje sobie radę ta część służby, która jeszcze została. Wędrując po pustych pokojach, starałam się wchłonąć resztki przenikającej je atmosfery. Czułam, że powinnam być wdzięczna losowi, iż oszczędził Linasowi dalszych cierpień.

Trudno mi było patrzeć, jak umierał, wiedząc, że już nic nie może mu pomóc. Winterson nie chciał, by choroba Linasa denerwowała Jamiego, zasugerował więc, że zabierze brata do Abbots Mere.

Było to rozsądne posunięcie, które pozwoliło mi spędzać więcej czasu z synem i powoli wprowadzać w nasze życie zmiany, przygotowując się do tego, co miało wkrótce nastąpić. Zaczęłam się bardziej angażować w pracę zakładu krawieckiego, pojechałam do Manchesteru po tkaniny i spędziłam kilka dni z rodziną, nie musząc się wreszcie tłumaczyć z nieobecności w mieście.

Mimo to po odejściu Linasa miałam poczucie pustki. Od lat nie byliśmy już kochankami, ale nadal czuliśmy potrzebę przebywania ze sobą. Łączyła nas silna więź duchowa i emocjonalna, choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Linas nie umiał mówić o miłości. Wszelkie próby poruszania tego tematu wyraźnie go krępowały, oboje jednak wiedzieliśmy, że jesteśmy sobie potrzebni. Szczególnie odkąd pojawił się Jamie.

Nie próbowałam tego zrywać, wiedząc, jak niewiele życia mu zostało. Gdybym nie miała dziecka, może postąpiłabym inaczej, ale będąc odpowiedzialna za wychowanie małego Monktona, nie mogłam ryzykować.

Rzeka Ouse, którą pływały łodzie zaopatrujące składy Yorku, zamarzła i można było po niej przejść na drugi brzeg. Łyżwiarze byli zachwyceni. Ja także z tego korzystałam, zabierając synka razem z nianią na łyżwy. Muszę przyznać, że zaskoczyła mnie odwaga i upór małego.

Dopóki żył Linas, wszyscy porównywali Jamiego do niego. Ale w wieku trzech lat można już było zauważyć, że chłopiec jest silnie zbudowany, odważny i uparty. Do tego miał czarne oczy i gęste kręcone włosy. Dobrze wiedziałam, po kim. Na szczęście byłam brunetką, dzięki czemu ciemne oczy dziecka nikogo nie raziły. Przypuszczam, że obaj bracia brali to pod uwagę. Bardzo rozsądnie z ich strony.

W zakładzie krawieckim pracowało dziewięć szwaczek. Podczas mrozów dziewczęta wcale nie spieszyły się do domów, wołały siedzieć w pracowni, gdzie przynajmniej było ciepło. Pamiętałam, że mając czternaście lat, byłam w takiej samej sytuacji jak one. Prue przygarnęła mnie wtedy i karmiła. Sprytna i oszczędna, typowa kobieta z Yorkshire, zmuszała mnie do ciężkiej harówki, ale nie miałam do niej o to żalu. Tak samo jak szwaczki nie miały żalu do mnie, że szybciej niż one wspinam się po drabinie społecznej, choć niektóre z nich pracowały w zakładzie dłużej niż ja. Starłam się zrobić dla nich to samo, co Prue uczyniła kiedyś dla mnie. Dzisiaj Prue Sanders i ja byłyśmy współniczkami, a nasz zakład rozrósł się na tyle, że zajęłyśmy dom sąsiadujący z Assembly Rooms, w którego salach urządzano miejskie bale. Trudno sobie wymarzyć lepszą sytuację.

Mój własny dom znajdował się nieco dalej, po przeciwnej stronie ulicy, co było bardzo wygodne, szczególnie podczas tych kilku wyjątkowo zimnych tygodni, kiedy wydawało się, że krew zamarza nam w żyłach. Zapasy ziemniaków zmarzły na kość. Dostęp do ryb odcięty był przez lód. Młynarze nie mogli dojechać z mąką do miasta, a i do młynów docierali tylko nieliczni, przez co ceny chleba mocno wzrosły. W tej sytuacji ludzie musieli wcześniej niż zwykle sięgnąć po zapasy. Na stołach pojawiła się

suszona i marynowana żywność, a zwierzęta trzeba było karmić drogocennym sianem.

Pod tym względem miałam się lepiej niż inni, bo z chwilą gdy przekopano wąską dróżkę pozwalającą na komunikację z Abbots Mere, pod drzwiami mojego domu zjawili się ludzie z dwoma obładowanymi kucykami. Na polecenie swojego pana przywieźli nam potężne zapasy żywności. Worki mąki, płatków owsianych i kaszy jęczmiennej, kurczaki i gęsi, bażanty, kuropatwy, króliki i zające. Cały kosz jabłek, gruszek i śliwek, a także masło, sery, jaja i na wpół zamrożnięte mleko. Do tego jeszcze połowę jagnięcia, szynki i pstraży w lodzie. Kucharka z niedowierzaniem patrzyła na to bogactwo, a ja zrozumiałam, że jest to odpowiedź Wintersona na moją odmowę pożyczki. Ze względu na dobro nas wszystkich przyjął dar.

Poczęstowałam posłańców piwem i ciastem z owocami, ale nie dowiedziałam się nic więcej poza tym, że lord Winterson przesyła pozdrowienia i prosi, by go zawiadomić, kiedy będziemy potrzebować więcej żywności. Dodali też, że ich pan niemal codziennie poluje.

- Jak można polować w tak głębokim śniegu - zdziwiłam się. - Przecież koń nie da rady przejechać.

- Lord Winterson chodzi polować na piechotę, proszę pani.

- Mamo, czy ja mógłbym też polować ze stryjkiem Burlem? - Jamie zaczął podskakiwać z podniecenia.

- Nic z tego, mały, mogliby cię pomylić z królikiem - odparł jeden z posłańców, zakładając na głowę kaptur.

- Naprawdę? - Jamie był wyraźnie przestraszony.

- Nie, kochanie. Twoje uszy są o wiele za krótkie, żeby można cię pomylić z królikiem - uspokoiliam synka, biorąc go na rękę. - Ale śnieg jest teraz bardzo głęboki. Widzę, że znów zaczyna padać. Podziękujemy więc panom i nie będziemy ich dłużej zatrzymywać.

Przesłałam przez posłańców podziękowania dla „stryjka Burla”, zastanawiając się nad ironią sytuacji, w której on, zasypany śniegiem na wsi, ma lepszy dostęp do żywności niż ja w mieście. Przypomniałam sobie jednak, że Linas chwalił brata za

rewolucyjne zmiany w sposobie prowadzenia gospodarstwa. Odkąd Winterson przejął Abbots Mere, majątek zaczął dawać takie plony, jakich nigdy wcześniej tam nie widziano.

Martwiłam się o swoją rodzinę, która mieszkała kilka mil za miastem i teraz była całkiem odcięta od świata i od źródeł zaopatrzenia. Może trochę przesadziłam, bo nie tyle byli odcięci, co raczej ukrywali się przed ludźmi, mieszkając w opuszczonej wiosce leżącej między Yorkiem a naszym rodzinnym Bridlington.

Prue Sanders była kobietą spostrzegawczą i bystrą, ale nigdy nie pytała mnie o moich bliskich. Wiedziała, że gdy przyjdzie pora, sama jej o nich opowiem. Zrobiłam to, kiedy urodziłam Jamiego i kiedy stworzyliśmy spółkę, dwukrotnie powiększając zakład. Zrozumiałam, że nadszedł czas, aby Prue zrozumiała, dlaczego dziewczyna taka jak ja musiała szukać pracy w mieście jako zwykła szwaczka.

Prue nie należała do osób okazujących zdziwienie. Miałam wrażenie, że częściowo sama odgadła moją historię. W tych niepewnych wojennych czasach ludzkie losy często dziwnie się zmieniały. Kiedy się przyznałam, że mój ojciec był burmistrzem Bridlington, pokiwała głową i dalej spokojnie upinała szpilkami suknię.

- Był bogaty? - zapytała, nie podnosząc głowy znad pracy.

- Był kupcem. Miał statek. Pełnił też funkcję poborcy podatkowego.

- Aha... - mruknęła takim tonem, jakby poborca podatkowy musiał być automatycznie zamieszany w jakieś nielegalne interesy. - Był przemytnikiem, tak?

Prue miała rację. Całe północne wybrzeże zajmowało się tak zwanym wolnym handlem. Niewielu ludzi mogło sobie pozwolić na to, żeby nie brać w tym udziału, w taki czy inny sposób. Jedni tylko inwestowali pieniądze w zakup towarów we Francji lub Flandrii, inni czuwali na wybrzeżu, zaangażowani w system ostrzegania, a jeszcze inni przewozili i ukrywali towar. Nowa francuska arystokracja dyktowała modę w całej Europie i wszystko, co francuskie, cieszyło się w Anglii ogromnym popytem. Nasz rząd nałożył jednak na towary importowane tak ogromne cła, że dla większości ludzi przestały być one dostępne. Przemysł był formą protestu przeciwko takiej polityce państwa.

- Tak. Został przyłapany. Doniósł na niego jakiś „przyjaciel”.

- Nie on pierwszy i nie ostatni - mruknęła Prue. - Wysokie nagrody kuszą różnych drani.

- Ojca wydał kontroler celny w zamian za połowę wartości przemycanego towaru i dodatkowe pięćset funtów. Wcześniej prosił go o moją rękę, ale ojciec odmówił. To była zemsta.

- Chciałaś za niego wyjść?

- Co ty, Prue? Miałam czternaście lat, o on ponad trzydzieści.

- Twój ojciec został aresztowany, choć miejscowy sąd nie uznałby go za winnego. Oni nigdy nikogo nie skazują - oznajmiła beznamiętnie Prue.

- Mój ojciec użył broni.

Prue przerwała pracę i spojrzała na mnie.

- Och... to już poważna sprawa. Za to grozi szubienica. I przepadek mienia. Zsyłka na roboty. To dlatego musiałaś szukać pracy?

Przed oczami stanął mi tamten okropny dzień, kiedy ojca wywleczono z domu i zabrano do więzienia w Yorku.

- Tak, mniej więcej... Ojciec miał przyjaciela w Brid. Ten wykradł go i przewiózł do Foss Beck Common. Reszta rodziny dołączyła do niego, lecz ojciec wkrótce zmarł.

- Foss Beck? Zawsze myślałam, że...

- Wiem. Przepraszam, że cię oszukiwałam, ale to nie jest historia, którą można się chwalić. Poza tym łatwiej nazwać domem Brid niż jakąś opuszczoną wioskę. Linas o niczym nie wiedział. Nikt nie wie.

- Moja mała! - Prue usiadła na krześle i przerwała pracę, co było rzadkim widokiem. - Biedactwo. Straciłaś ojca? I dom?

- Ojciec nie przyznał się, że jest ranny. A przecież zaledwie kilka tygodni wcześniej stać go było na najlepszą opiekę medyczną w kraju. Jego śmierć była dla matki takim szokiem, że nigdy nie doszła do siebie. Od tamtej pory los rodziny spoczywa na barkach moich braci i moich. Oprócz mamy i braci mieszka tam jeszcze nasz kuzyn z

Francji i kilkoro dawnej służby. Przyjaciele z Brid dostarczyli nam jedzenie, pościel i narzędzia. Dali nam nawet kury i kozy. Jakoś sobie radzimy.

- Nie wiedziałam, że któryś z tamtejszych domów nadaje się do zamieszkania.

- Przed wiekami zaraza wybiła mieszkańców wioski. Stary kamienny dwór jest częściowo zrujnowany, ale to, co zostało, udało się nam jakoś przystosować do zamieszkania.

- Nie ma szans, żebyście mogli wrócić do Brid?

- Kiedy uciekliśmy z domu, moi bracia mieli dziewięć i jedenaście lat. Ja miałam czternaście. Dostatecznie dużo, by zostać oskarżoną o współudział w zbrodniach ojca. Nie możemy ryzykować powrotu. Nawet po tylu latach.

- Przyjechałaś więc w poszukiwaniu pracy do Yorku...

- Ciągle jeszcze wyglądałam dosyć przyzwoicie, a szycie było jednym ze sposobów, w jaki mogłam zarobić na życie. Musiałaś dostrzec we mnie coś, co mogłaś wykorzystać.

- Miałaś talent i co miesiąc przywoziłaś piękne tkaniny. Nigdy nie pytałam, skąd je bierzesz, i nadal nie zamierzam pytać. Jeśli się czegoś nie wie, nie można tego powiedzieć, prawda? I nie trzeba kłamać.

Nasz francuski kuzyn Pierre działał jako pośrednik, a ja nie pytałam, skąd ma towar. Wszystkie tkaniny i dodatki, jakie przynosił, trafiały prosto do naszego zakładu krawieckiego, który w tamtym czasie, jako jedyny w mieście, nie tylko szył, ale również sprzedawał tkaniny i projekty. Zarobek na muślinie i koronkach był dobry, dzięki czemu, mimo mojej niewielkiej pensji, mogłam pomagać rodzinie, zaopatrując ją w pieniądze i różne najpotrzebniejsze rzeczy. Gdyby nie Pierre i jego francuskie kontakty, wszyscy pewnie pomarliibyśmy z głodu. Prue musiała zdawać sobie sprawę, z jakiego źródła pochodzą tkaniny, a przypuszczam, że klientki też się tego domyślały. Dla mnie jednak ważne było, by zarobić na utrzymanie rodziny.

- Byłaś dla mnie darem niebios. Nie tylko ze względu na dostęp do francuskich materiałów, choć nie przeczę, że to bardzo pomogło. Szybko dostrzegłam, że masz głowę do interesów, Helene, a poza tym jesteś piękna, masz swój styl, no i znasz fran-

cuski. Wiem, że nie było ci lekko. Tylko nie jestem pewna, co powiedziałaaby twoja mama, wiedząc, jak ciężko pracowałaś. Czy ona wie?

- O tym, że musiałam się sprzedać?

Prue mruknęła twierdząco.

- Wszyscy wiedzą. Musiałam to zrobić, Prue. Nie miałam wyboru.

- Wiem. Musiałaś szybciej dorosnąć. Ale nie stałaś się przez to zgorzkniała, prawda?

- Jestem zgorzkniała, Prue.

- To przestań. Żałując tego, co stracone, marnujesz tylko czas. Co się stało, już się nie odstanie. Masz mężczyznę, dziecko i udział w zakładzie. Jesteś młoda i piękna, a do tego wykazujesz więcej rozumu niż kobiety w twoim wieku. Masz też obowiązki. Jak każdy. Takie czy inne. Ale nic nie trwa wiecznie, Helene. Wszystko się zmienia, uwierz mi.

- Wierzę - szepnęłam.

Wiedziałam, że nadchodzą zmiany, ale byłam gotowa na wszystko, byle tylko mój syn nie musiał przeżyć takiego upadku i poniżenia jak ja. Nie spodziewałam się jednak, że już wkrótce nie będę miała żadnego wpływu na jego przyszłość. Nie potrafiłam też w pełni docenić rady Prue w sprawie goryczy, jaką przepełniło mnie ciężkie życie.

Postawiłam Jamiego na podłodze, ujęłam jego małą rączkę i zaprowadziłam go z powrotem do ciepłej kuchni, gdzie kucharka z radością rozkładała zapasy żywności. Mały spojrzał w pełne wyrzutu oczy zająca i pogładził jego delikatne futerko.

- Przykro mi, zajączku - powiedział cicho.

Pokazałam mu wzorek na piórach bażanta i jego piękny ogon, który zamierzałam zabrać do zakładu, by dziewczęta mogły wykorzystać długie pióra do przybrania kapeluszy.

- Chcę zobaczyć stryjka Burla - powiedział smutno Jamie.

- Widziałeś go w zeszłym tygodniu. Teraz nie możemy go odwiedzić. Śnieg jest za głęboki. Nasze konie nie byłyby zadowolone, gdyby musiały wyjść ze stajni.

- A może odwiedzimy babcię Damzell?

- Wkrótce do niej pojedziemy.

Babcia Damzell to była moja mama. Jamie nie widział jej od miesiąca i prawdę mówiąc, bałam się go tam zabrać. Chłopiec coraz więcej i chętniej mówił, obawiałam się więc, że powie coś niewłaściwego w obecności lorda Wintersona, który był miejscowym sędzią pokoju.

- Babcia na pewno też by chciała zajęcia i bażanta, prawda?

- Na pewno - odparłam, bo pomyślałam dokładnie o tym samym.

Pani Neape, nasza kucharka, nie zamierzała jednak rozstawać się z zapasami i miała już gotową odpowiedź.

- Nie martw się, młodzieńcze. Zamrozimy zajęcia i bażanta, w piwnicy poleżą nawet kilka tygodni. Kiedy mróz zelżeje, pojedziesz do babci Damzell do Bridlington i zawieziesz je w prezencie.

Wszyscy nasi domownicy byli przekonani, że moja rodzina mieszka na wybrzeżu, czterdzieści mil od Yorku. Foss Beck znajdowało się o połowę bliżej. Jediną osobą, którą tam zabrałam, była pani Goode, opiekunka Jamiego. Ona także była kiedyś czyjąś kochanką, dlatego miałam pewność, że nie zdradzi mojego sekretu.

- Pojedziemy do babci, jak tylko śnieg stopnieje - obiecałam. - Jak myślisz, co jej zawieziemy?

- Jaja. Babcia lubi kacze jaja.

Wożenie jajek do mamy byłoby jak wożenie drzewa do lasu. Większy problem mieli z chlebem.

- Jak pani będzie się wybierać, upiekę pieróg z mięsem - oświadczyła pani Neape.

Byłam jednak pewna, że nie przyjdzie jej do głowy, żeby przygotować kilka bochenków chleba.

Pogoda opóźniła odczytanie ostatniej woli Linasa o prawie trzy tygodnie, a nawet wtedy nie wszyscy członkowie rodziny zdolali dotrzeć do Yorku. Drogi w wielu miejscach ciągle były nieprzejezdne. Powiedział mi o tym pan Brierley, kiedy przy-

szedł poinformować mnie o części testamentu dotyczącej mojej osoby. Miał nadzieję, że nie jestem urażona taką formą, bo nie tylko ja miałam poznać wolę zmarłego za jego pośrednictwem.

Nie interesowałam się, czy Linas miał swoje pieniądze, czy też był na utrzymaniu zamożnego ojca, jak to często bywa. Młodszy synowie zawsze byli w gorszej sytuacji niż pierworodni, którzy dziedziczyli tytuł i majątek. Nawet w przypadku bliźniaków któryś był pierwszy. Choć Linas był tym drugim, nie wyobrażałam sobie, by rodzina nie dbała o jego potrzeby. Posiadanie kochanki było zapewne największą ekstrawagancją w jego życiu, ale w porównaniu z kochankami innych dżentelmenów nie kosztowała go wcale tak dużo. Po urodzeniu Jamiego weszłam do spółki z Prue i teraz mogłam sobie pogratulować przezorności, bo pan Brierley nie miał dla mnie dobrych wieści.

Przyznam, że w pierwszej chwili nie wierzyłam własnym uszom.

Linas chciał, bym została na Blake Street, co przyjąłam z ulgą, choć nie byłam tym specjalnie zaskoczona. Pan Brierley zapewnił, że mogę tu mieszkać tak długo, jak zechcę. Ale kiedy siedział z pochyloną głową, przekładając leżące na stole dokumenty, zrozumiałam, że szuka słów, by w miarę łagodnie przekazać mi pozostałe informacje.

- Jeśli chodzi o zapis pieniężny... pan Monkton zostawił pani trzysta pięćdziesiąt funtów rocznie, płatnych do końca pani życia.

- I...?

- To wszystko.

- Tylko tyle? Trzysta pięćdziesiąt funtów rocznie? - Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Takie było jego życzenie. - Prawnik pokazał palcem stosowny zapis na jednym z dokumentów.

- Jak mam się utrzymać za trzysta pięćdziesiąt funtów rocznie? Nie zostawił żadnych pieniędzy dla syna?

- Oczywiście, że zostawił. Na nazwisko panicza Jamesa Fredericka Linasa

Monktona został założony duży fundusz powierniczy, którym zarządzać będzie jedyny opiekun chłopca, lord Burl Winterson z Abbots Mere...

- Wiem, gdzie mieszka Winterson. Chcę usłyszeć, co Linas zostawił dla syna do czasu, gdy chłopiec osiągnie pełnoletność. Nie zdołam wychować dziecka za trzysta pięćdziesiąt funtów rocznie, panie Brierley.

- Nikt tego od pani nie oczekuje, panno Follet, jeśli mogę tak powiedzieć. Pieniądze z funduszu powierniczego, którym będzie zarządzał lord Winterson, mają służyć zaspokajaniu potrzeb pani syna w każdej chwili jego życia. Dotyczy to kosztów utrzymania, ubrania, edukacji itp. Aby otrzymać pieniądze, wystarczy, że zwróci się pani do opiekuna syna...

- To śmieszne! - krzyknęłam, zrywając się z krzesła. - Chce pan powiedzieć, że mogę żądać pieniędzy na jedzenie, świece i opał dla syna, ale nie dla siebie, na jego ubrania, opiekunkę, stajennego.

- Nie przypuszczam, żeby miało dojść do takiej sytuacji. Jestem pewien, że lord Winterson zadba, by miała pani wszystko, czego będzie potrzebował James. Ustalcie jakąś kwotę, którą będzie pani wypłacał miesięcznie albo tygodniowo... Jednak pan Monkton wyraźnie sobie życzył, by jego brat decydował o wszystkim, co dotyczy wychowania chłopca. Mam zapewnienie lorda Wintersona, że zamierza być dla małego jak ojciec. Może być pani spokojna, wiedząc, że dobro Jamesa tak bardzo leży na sercu jego opiekunowi.

Stojąc przy oknie, myślałam o potwornym skapstwie Linasa. Czułam, że po sześciu latach oddania zasługuję na więcej. Żałowałam, że moje życie nie potoczyło się inaczej.

- Dom trzeba będzie sprzedać, a ja poszukam sobie męża - powiedziałam, zaciskając dłonie. - To będzie najlepsze rozwiązanie dla Jamiego i dla mnie. Co z tego, że mogę tu mieszkać, skoro na utrzymanie domu wydam każdy zarobiony grosz?

Pan Brierley odchrząknął i znów zaczął przekładać dokumenty na stole.

- Pan Monkton dodał klauzulę na wypadek, gdyby pani chciała wyjść za mąż. Chwileczkę, zaraz znajdę... O, proszę. „Jeżeli panna Follet zdecyduje się w przyszło-

ści wyjść za mąż, mój syn James Frederick Linas Monkton zamieszka na stałe w domu swojego opiekuna w Abbots Mere". I dalej...

- Dziękuję, panie Brierley. Domyślam się, co jest dalej. Mówiąc w skrócie, jeśli wyjdę za mąż, stracę syna.

- Dokładnie tak. A poza tym straci pani także prawo do korzystania z tego domu.

- Co takiego?

Prawnik zacisnął usta i pokiwał głową.

- Rozumie pani, o co chodziło panu Monktonowi, prawda?

O tak, świetnie to rozumiałam i przestałam się dziwić, że nie chciał ze mną o tym rozmawiać. Usiadłam na kanapie, czując, że kręci mi się w głowie. Nie dość, że zdecydował, z kim i kiedy mam zająć w ciążę, żeby urodzić mu dziecko, którego sam nie mógł mi dać, to w dodatku tak pokierował wszystkim, że jeśli nie będę posłuszna jego woli, stracę je. A do tego wszystkiego Winterson zamierza wychowywać chłopca jak prawdziwy ojciec.

- Takie ingerowanie w moje prywatne sprawy jest nieetyczne - powiedziałam. - To nie fair.

- Uważa pani, że dla chłopca będzie lepiej, jeśli jego opiekunem zostanie ojczym, całkiem obcy człowiek, a nie ktoś, kogo mały zna i lubi? Jestem pewien, że pan Monkton, dyktując ten zapis, miał na myśli wyłącznie dobro syna.

Nie chciałam zgadywać, jakie były pobudki Linasa, kiedy postanowił wtrącać się w moje życie nawet po swojej śmierci. Rozumiałam, że Jamie był mu drogi, ale jak mógł oczekiwać, że w każdej sprawie dotyczącej chłopca będę się osobiście kontaktować z jego bratem, który nie miał pojęcia o wychowaniu dzieci? Czułam się urażona, że nie ufał mi na tyle, by zostawić wychowanie syna w moich rękach i zapewnić mi dostęp do pieniędzy na pokrycie jego potrzeb. Prowadziłam własny interes, zajmowałam się domem i trzyletnim dzieckiem, a do tego opiekowałam się chorym człowiekiem w dzień i w nocy. Czy ktoś, kto podołał temu wszystkiemu, nie był godny, by powierzyć mu fundusz powierniczy chłopca? Najwidoczniej nie. Czasem zastanawiałam się, czy Linas w ogóle o mnie myślał. Teraz znałam odpowiedź.

- Nie zostawię tego w ten sposób. To się nie uda.

- Panno Follet, nie można zakwestionować testamentu tylko dlatego, że czymś zdaniem jego postanowienia będzie trudno wprowadzić w życie. Nie ma tu nic, czego nie można zorganizować i ustalić. Być może czuje się pani zawiedziona i rozczarowana, ale warunki, jakie stawia pan Monkton, wcale nie są wyjątkowe. Pan Monkton nie twierdzi, że nie wolno pani wyjść za mąż, on tylko nie chce, aby jego potomka wychowywał obcy mężczyzna.

- Uważa pan, że to w porządku i że ja na coś takiego pozwolę?

- Pani wybaczy, ale tego nie skomentuję. Mogę powiedzieć tylko tyle, że pan Monkton miał na uwadze przede wszystkim dobro Jamesa.

- Nie potrafię tego zrozumieć. Wydaje się, że trudno o lepszy sposób na szczęśliwe dzieciństwo niż szczęśliwa matka. Nie uważa pan? Oczywiście, wiem, że pieniądze nie dają szczęścia, ale czym mam zapłacić służbie, za co kupić opał i skąd wziąć pieniądze, by zapewnić Jamiemu taki standard życia, do jakiego przywykł? Nie wspominając już o moich własnych potrzebach. W tej sytuacji będę zmuszona przeprowadzić się do mniejszego domu. Nie widzę innej rady. Dziękuję, że pan przyszedł - powiedziałam, wyciągając do niego rękę. - Spotkam się z lordem Wintersonem. Może uda się nam ustalić jakieś bardziej realne zasady. Nawet ktoś taki jak on powinien zrozumieć, że warunki Linasa są dla mnie nie do przyjęcia. Życzę panu miłego dnia.

Brierley uściśnął mi dłoń i zebrał dokumenty ze stołu.

- Większa część służby pana Monktona dostała już odprawę i przeniosła się do nowych pracodawców. Został jeszcze kamerdyner i trzy osoby pełniące wyższe funkcje, ale tylko do piątku. Potem dom zostanie zamknięty i przekazany nowemu administratorowi. Jeśli zostały tam jakieś pani rzeczy, proszę sporządzić listę. Trzeba je zabrać przed zamknięciem domu. I jeszcze klucz do Stonegate ... mogę prosić o jego zwrot?

Wyjęłam klucz z szuflady sekretarzyka i oddałam prawnikowi. W Stonegate zostało kilka moich drobiazgow. Para miniaturowych portretów z kamei, srebrne pudełeczko na tabletki, którego kiedyś używał Linas, pudełko z przyborami do haftu, grze-

bienie i szczotki do włosów z kości słoniowej i zestaw do manicure. Były to jednak rzeczy osobiste i nie zamierzałam sporządzać ich listy.

W nocy nie mogłam zasnąć. Przewracając się z boku na bok, uprzytomniłam sobie, że prawnik nie dał mi tytułu własności mojego domu ani nie poprosił o podpisanie dokumentów, które czyniłyby mnie jego nową właścicielką. Muszę pamiętać, by przypomnieć mu o tym przy następnym spotkaniu.

Rozdział trzeci

Czy to możliwe, że źle zrozumiałam słowa prawnika? Może nie słuchałam go dość uważnie? Czy naprawdę powiedział, że dom przy Blake Street będzie mój? Kiedy w złości oświadczyłam, że będę go musiała sprzedać i wynająć inny, mniejszy, nie zareagował. Raz już straciłam wygodny dom i wiedziałam, że sytuacja takich kobiet jak ja jest zmienna i niepewna, a jednak trudno mi było uwierzyć, żeby Linas chciał skazać na to nie tylko mnie, ale i Jamiego.

Mój dom przy Blake Street był podobny do tego, w którym dorastałam. Drewniane meble połyskiwały satyną, a aksamitne i jedwabne draperie i zasłony były utrzymane w pastelowych kolorach. Na podłogach leżały wełniane dywany z Axminster i dobrane do nich perskie kobierce. Ściany mojej sypialni pokrywała tapeta w ptaki i drzewa, a rzeźbione łóżko z baldachimem wyszło spod ręki mistrza George'a Reynoldsona z Yorku. Miałam lojalną służbę, opłacaną przez Linasa, powozik oraz dwa konie, które stały w jego stajni. Czy po zamknięciu Stonegate nadal będę mogła używać koni? Powinnam była zapytać o to prawnika, ale dość złych wieści na jeden dzień.

Następnego ranka zajrzałam do zakładu, gdzie zastałam Prue szczękającą z zimna zębami.

- Jest tu tak samo zimno jak na zewnątrz. W ten sposób nie skusimy ani jednej klientki.

Prue ucałowała mnie w oba policzki i spojrzała na mój czarny strój. Ta drobna

jasnowłosa kobieta w średnim wieku, typowa mieszkanka Yorku, twarda w interesach, pracowita i z poczuciem humoru, umiała znaleźć coś zabawnego nawet w najbardziej beznadziejnej sytuacji.

- Masz rację, moja droga. Ale za to futrzane mufki i wełniane rękawiczki sprzedają się jak świeże bułeczki. W tej sytuacji nie chcemy chyba, żeby klientkom zrobiło się nagle zbyt gorąco, prawda?

- A futrzane kaptury i czapki?

- Nawet obszywane futrem chusteczki do nosa - odparła z kamienną twarzą Prue.

- Nie wierzę!

- I słusznie - przyznała. - Chodź i sama zobacz.

- Tu też jest chłodno - stwierdziłam, wchodząc do pracowni, gdzie przy dębowych stołach pełnych materiałów, nici, nożyc, poduszek na szpilki i ścinków koronki siedziały kobiety zajęte szyciem. Uniosły głowy i uśmiechnęły się do mnie. Wszystkie były okutane w wełniane szale i miały na rękach rękawiczki bez palców. Spojrzałam na zasypane śniegiem okna, na których mróz wymalował piękne wzory.

- W tym tygodniu nie będzie węgla. Z trudem wiążemy koniec z końcem. Nie stać nas dłużej na to, żeby palić przez całą noc. Zresztą pompa zamarzała - oznajmiła Prue.

- Każę przynieść węgla z domu i poproszę kucharkę, żeby ugotowała wam zupy.

- Wiesz, że to wszystko podniesie koszty - mruknęła Prue, ale dziewczęta uśmiechnęły się przebiegle. Wiedziały, że Prue nie pozwoli im głodować.

Przeszliśmy do elegancko urządzonej części sklepowej, w której demonstrowałam suknie naszym najlepszym klientkom. Tutaj nazywano mnie Madame Helene z powodu mojego francuskiego akcentu. Bez względu na wojnę z Francją, angielskie kobiety nie mogły żyć bez francuskiej mody, francuskich tkanin i dodatków. Kupowały je w naszym sklepie, nie zadając żadnych pytań.

Powtórzyłam Prue, co usłyszałam od prawnika. Wysłuchiwała mnie spokojnie i kazała mi udać się do domu Linasa po swoje rzeczy.

- Idź od razu. Jeśli będziesz zwlekać do piątku, w końcu będzie za późno. Nie potrzebujesz klucza. Wejdiesz kuchennymi drzwiami.

- Myślisz, że warto się fatygować?

- Oczywiście. Służba cię wpuści.

Prue ujęła mnie pod ramię i wprowadziła do sali, gdzie klientki oglądały materiały. Przywitała się z nimi, po czym otworzyła przede mną drzwi i niemal wypchnęła mnie na zaśnieżoną ulicę.

Przeszłam na tyły domu i bez trudu dostałam się do kuchni Stonegate, gdzie przy ogniu siedział kamerdyner, kucharka i stajenny. Mój widok zaskoczył ich, ale nie okazywali mi wrogości. Wyjaśniłam cel swojej wizyty i zostałam grzecznie poprowadzona kuchennymi schodami do holu.

- Potrzebuje pani jakiejś pomocy czy woli pani zostać sama? - zapytał kamerdyner.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, czy wolno mi tu przebywać. Pan Brierley kazał mi sporządzić listę moich osobistych rzeczy, ale... sam pan rozumie.

- Oczywiście. Jestem pewien, że pan Monkton także by zrozumiał. Proszę położyć swoje rzeczy na łóżku w pani pokoju. Osobiście je spakuję i dopilnuję, żeby po południu trafiły na Blake Street. W ten sposób nie będzie pani musiała ich stąd zabierać.

Podziękowałam mu i zostałam sama. Poczułam się tak samo dziwnie jak wtedy, gdy w wieku siedemnastu lat znalazłam się tu po raz pierwszy, zaczynając nowy rozdział życia.

W pokoju Linasa nie było już lekarstw. Nawet ich zapach zdążył się ulotnić. W szufladzie nocnego stolika przy jego łóżku leżało moje srebrne pudełeczko na tabletki. Była to jedna z niewielu rzeczy, jakie ocalałam z domu rodziców, a mimo to wahałam się, czy powinnam je zabrać. Usiadłam na łóżku, tak jak to czyniłam setki razy, kiedy rozmawialiśmy, kiedy go pocieszałam czy patrzyłam, jak śpi. Kochany Linas.

Siedziałam pogrążona we wspomnieniach i nagle pojawienie się Wintersona całkiem mnie zaskoczyło.

- Panna Follet - powiedział miękko.

- To pan! Dobrze, że pana widzę. Zamierzałam odwiedzić pana dzisiaj w Abbots Mere, ale oszczędził mi pan drogi.

- Chciała pani jechać w taką pogodę? To nierozsądne. Czy coś się stało?

- Wie pan zapewne, że rozmawiałam już z prawnikiem Linasa.

- I?

- Są rzeczy, które musimy przedyskutować - oznajmiłam, zerkając na otwartą szufladę nocnego stolika. - Prawnik prosił, żebym sporządziła listę swoich osobistych rzeczy, ale ja nie robię takich list. Zbyt wiele w życiu straciłam.

- Nie mam do pani o to żalu. Treddle powiedział mi, że pani jest na górze. Co znajduje się w tej szufladzie?

- Srebrne pudełko na tabletki. Należało do mojego ojca...

- Proszę je zabrać - powiedział, a kiedy nie drgnęłam, wyjął je z szuflady i wcisnął mi do ręki. - Proszę. Jest tu jeszcze coś, co należy do pani?

- Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym je zabrała?

- Dlaczego? Moja służba przyjeżdża tutaj w przyszłym tygodniu. Nikt z nich nie wie, co do pani należało.

- Pana służba...?

Winterson spojrzał na mnie z namysłem, jakby zastanawiał się, co odpowiedzieć. Poczułam, że za chwilę usłyszę kolejne złe wieści.

- Dom należy teraz do mnie. Przyjadą tu moi ludzie z Abbots Mere, ale kamerdyner i pozostała trójka nadal będą tu pracować. Brierley pani o tym nie powiedział? Zamierzam korzystać z tego domu, kiedy będę w mieście.

- A do kogo należy dom na Blake Street? - zapytałam, choć czułam, że już znam odpowiedź. - Prawnik mówił, że mogę...

- Może pani tam mieszkać, jak długo pani zechce. Nie ma tego w testamencie, ale ustaliliśmy to z Linasem między sobą. Dom należy do mnie, zawsze był mój. Kilka lat temu użyczyłem go Linasowi, dla pani.

- Gdybym wiedziała... - Wstałam z łóżka i zatrzęsnęłam szufladę nocnego stoli-

ka.

- Co by pani zrobiła? Odmówiłaby pani mieszkania w nim?

- Myślałam... miałam nadzieję... że Linas zadba przynajmniej o to, żebyśmy mieli z Jamiem dach nad głową. Zamierzałam sprzedać dom i wynająć coś mniejszego, co będę w stanie utrzymać, ale w tej sytuacji nie wiem, jak związę koniec z końcem...

Jednym z powodów, dla których chciałam Linasowi urodzić dziecko, była nadzieja, że to mnie jakoś zabezpieczy. Jamie stał się radością ostatnich lat Linasa i moją, ale jednocześnie wszystko skomplikował.

- Nie musi się pani martwić, jak związać koniec z końcem. Od kiedy użyczyłem domu mojemu bratu, pokrywam wszystkie koszty z nim związane i w dalszym ciągu będę to robił. Pod tym względem nic się nie zmieni. Natomiast na pani osobiste wydatki Linas zostawił pani dość pieniędzy.

- Pan płacił nasze rachunki przez te wszystkie lata?

- Ja. Linas nie prowadził ekstrawaganckiego trybu życia...

- Ja byłam jedyną jego ekstrawagancją!

- Owszem. I z przyjemnością za to płaciłem. Zapewniam jednak, że nie musi pani czuć się wobec mnie zobowiązana.

- Dość już usłyszałam. Nie rozumiem, jak pan może mówić o zobowiązaniach, skoro obaj się mną podzieliliście. Pan nawet za mnie płacił. Jak, pana zdaniem, mam się teraz czuć? Może powinnam uznać, że to mi pochlebia? Powinnam być wdzięczna? Zdumiona? Zastanawiam się, do kogo tak naprawdę należałam przez ostatnie lata? Świetnie to sobie wymyśliliście. Będąc kochanką jednego z bliźniaków, urodziłam dziecko drugiego. Ktoś powinien napisać o tym sztukę! To prawdziwa komedia! - krzyknęłam i ruszyłam do drzwi.

- Wracaj, Helene. Nie możesz wyjść w połowie rozmowy. - Winterson chwycił mnie za ramię.

- Dla mnie ta rozmowa jest skończona - syknęłam, wyszarpując ramię. - Pozostałe moje rzeczy może pan zatrzymać. Pan za nie płacił, więc należą do pana.

- Posłuchaj mnie, kobieto! - zagrzemiał, zastępując mi drogę. - Zaślepia cię gniew, bo nie tego oczekiwałaś. Ale okaż trochę rozsądku, dobrze? Chcesz nadal mieszkać na Blake Street i chcesz pieniędzy, by zapewnić dziecku spokój i stabilizację. Tłumaczę ci, że możesz to wszystko mieć, a ty zamiast słuchać, uciekasz, mówiąc, że nie tego pragniesz. Zdecyduj się, czego chcesz. Pomyśl jednak, co będzie najlepsze dla Jamiego. Skoro ty i twój syn możecie mieszkać na Blake Street, jakie ma znaczenie, do kogo należy dom? Kto pani zdaniem powinien płacić rachunki, jeśli nie ja? Jestem przecież prawnym opiekunem chłopca. Niech pani choć na chwilę zejdzie na ziemię. Zapewnię wam obojgu wszystko, czego będziecie potrzebować.

- Chcę mieć kontrolę nad własnym życiem. I nad życiem syna. A tego właśnie pan mi odmawia.

- Niech pani spróbuje myśleć realnie. Synowie podlegają kontroli ojców lub swoich prawnych opiekunów i nic tu pani nie zmieni. Tyle chyba pani wie. A to znaczy, że jeśli chce pani zostać z synem, musi pani zaakceptować pewne ograniczenia i zacząć je postrzegać jako korzyści. Linas ustalił takie zasady, bo wiedział, że tak będzie dla pani i dla Jamiego najlepiej.

- Nawet klauzulę dotyczącą mojego małżeństwa?

- Jakiego małżeństwa?

- Przyszłego, oczywiście.

- Ma pani na myśli jakiegoś konkretnego kandydata?

- To bez znaczenia. Jeśli wyjdę za mąż, stracę syna.

- Bzdury. Nie straci go pani. Tyle że chłopiec będzie mieszkał ze mną.

- Nie uważa pan, że to jedno i to samo?

- Dobrze pani wie, że nie.

W jego głosie było coś, czego nie umiałam rozpoznać, ale wolałam tego nie zgłębiać. Sytuacja, zamiast się wyjaśniać, coraz bardziej się komplikowała. Nie cieszyło mnie, że rosną moje zobowiązania wobec Wintersona. I nie podobał mi się sposób, w jaki mogłam rozwiązać swoje problemy finansowe, choć ze względu na dobro syna musiałam z niego skorzystać.

- Znów to samo. Nie jestem gotowa na takie ryzyko.

- Ryzyko? Tak to pani widzi? Jako ryzyko? Co takiego pani zdaniem mógłbym zrobić Jamiemu?

Ryzyko polegało nie na tym, co mógłby mu zrobić, ale czego by nie zrobił. Czy potrafiłby uchronić moje dziecko przed zasmakowaniem w stylu życia, jakie sam prowadził? Przed kobietami z towarzystwa typu lady Slatterly i porywczymi lekko-
koduchami, którzy zbyt łatwo sięgali po szpadę? Gdyby Jamie zamieszkał w Abbots
Mere, lady Slatterly szybko by odkryła, że mały stanowi moją słabość, i z pewnością
starałaby się to wykorzystać.

- Styl życia, jaki pan prowadzi, różni się od tego, do jakiego Jamie był przyzwyczajony, mieszkając ze mną i z Linasem. Poza tym nie wie pan nic o dzieciach.

- Chętnie zacznę się uczyć. A poza tym Jamie ma opiekunkę. W każdym razie proszę go przywieźć do Abbots Mere. Pozna rodzinę i pobawi się ze zwierzętami. Będzie miał swój pokój i kucyka...

- Jest za mały na kucyka - sprzeciwiłam się słabo.

- Bzdury! Ja uczyłem się jeździć konno, kiedy miałem trzy lata.

- To wykluczone. Jamie jest małym dzieckiem, potrzebuje matki i zostanie ze mną - stwierdziłam stanowczo.

- Mimo to będzie pani musiała pogodzić się z faktem, że Jamie zechce mnie odwiedzać i że ja będę chciał go widywać. I to często.

- Nie mam wyboru, prawda? Może kiedyś w tygodniu albo...

- Nie mam stałych godzin pracy. Na bieżąco zajmuję się tym, co akurat trzeba zrobić. Tak już jest, kiedy się zarządza dużą posiadłością. Nie jestem w stanie umówić się na określony dzień tygodnia, dlatego, jeśli pošlę po chłopca, ma do mnie przyjechać. Pani oczywiście też jest zaproszona. Będzie pani miała swoje pokoje, przeznaczone wyłącznie do pani użytku.

- Zastanowił się pan, co pomyślą o tym pana przyjaciele i rodzina? Czy pańska kochanka wyprowadzi się, by zrobić dla mnie miejsce? Mam zostać najnowszym nabytkiem w pańskim haremie? Może być całkiem przyjemnie.

- A... o to chodzi? Rozumiem. - Winterson spojrział na mnie spod zmrużonych powiek.

- Tak. O to mi właśnie chodzi. Jak może pan być taki gruboskórny? Myśli pan, że zgodzę się zostać pod pana dachem, po tym jak... - przerwałam, czując, że się rumienię. Dlaczego właśnie teraz przyszło mi do głowy poruszyć ten temat?

Uciekłam do drugiego pokoju, w którym czasem nocowałam, zostając u Linasa.

- Musi pan wiedzieć, że nie życzę sobie być postrzegana jako jedna z pań będących pana towarzystwem w Abbots Mere. Nawet kiedy żył Linas, nie lubiłam tam przyjeżdżać. Muszę poszukać swoich rzeczy. Treddle obiecał odesłać mi je do domu, ale jeśli woli pan, żebym niczego stąd nie zabierała, zrozumiem.

Winterson przeszedł za mną do sypialni i usiadł na taborecie przed toaletką.

Rozwścieczona, spojrzałam na niego z wrogością.

- Wiem, że najchętniej wysłałaby mnie pani do diabła. Ale musimy omówić pewne sprawy, bez względu na to, czy są one dla pani krępujące, czy nie. Trafiła kosa na kamień, droga panno Follet.

Rzeczywiście, zdążyłam się przekonać, że tak jak Linas nie chciał wcale rozmawiać o przyszłości mojej i Jamiego, tak jego brat od razu chciał omówić wszystkie jej szczegóły. Linas wiedział, że umiera. Jego brat miał przed sobą długie lata. Może Linas uważał, że moje życie samo się jakoś ułoży? Zresztą nie byłam jego żoną, dlaczego miał się mną przejmować?

- Trafiła kosa na kamień czy nie, nie musimy o tym dyskutować w tej chwili, prawda? Pana brat nie myślał o przyszłości, bo sam jej nie miał. Natomiast ja myślałam. I Bogu dzięki, bo teraz przynajmniej nie grozi mi głód. Chciałabym wiedzieć, w jakiej formie mam co miesiąc występować o pieniądze na potrzeby syna. Może mogłabym je odbierać od pana Brierleya? Oczywiście będę zbierać wszystkie rachunki.. Umiem dopilnować porządku w papierach - dodałam, może niezbyt skromnie, ale dlaczego nie miałam się pochwalić?

- Jest pani matką, kochanką, kobietą interesu. Jest coś, czego nie umie pani robić?

- Nie umiem kłamać. Niedawno był pan łaskaw poinformować mnie, że poświęcał się w tak szczytnym celu dla swojego brata. Muszę więc wyznać, żeby nie było w tej kwestii żadnych nieporozumień, że i ja zrobiłam to wyłącznie dla Linasa. Ciekawe, że nie słyszał pan, jak kilkakrotnie wołałam jego imię.

- Oboje milczeliśmy. Dobrze pani o tym wie.

- Te słowa świadczą tylko o tym, jak niedoskonałą ma pan pamięć.

- Cieszę się natomiast, że pani pamięć funkcjonuje bez zarzutu. A skoro była pani łaskawa zrobić uwagę na temat niepożądanego obecności osób odwiedzających mnie w Abbots Mere, chciałbym wyrazić swoją wątpliwość co do pani podejrzanych kontaktów, o których Jamie nie powinien wiedzieć. Słyszałem, że przez kilka miesięcy była pani kochanką młodego Solwaya, a także jednego z synów Standisha?

- Sprzedawałam się dla pieniędzy. Nie miałam innego wyjścia.

- Oczywiście. Dla pieniędzy. W takim razie nie powinna się pani wzdragać na myśl o odwiedzinach razem z moim podopiecznym w Abbots Mere, bo żadna z bywających tam pań nie sprzedawała się nigdy za pieniądze. One robią to dla przyjemności.

- Należałoby się zatem spodziewać tłumu innych pana małych podopiecznych biegających po całej posiadłości. A to mogłoby być już naprawdę kosztowne.

- Nie musi się pani martwić o moje finanse. Do tej pory jedynie pani i Jamie obciążacie moje konto.

- Przykro mi to słyszeć. Ale mogę temu z łatwością zaradzić - zagroziłam rozwścieczona, choć wiedziałam, że nie mogę zrobić absolutnie nic, chyba że zdecydowałabym się na coś, czego już nie mogłabym cofnąć.

Kiedy później wracałam myślą do tej rozmowy, doszłam do wniosku, że Winter-son musiał być przekonany, że tak właśnie zamierzam postąpić. Skoczył do drzwi i zatrzęsł mi je przed nosem.

- Może pani zaprzeczać, jeśli pani chce - powiedział, a potem zamknął mi usta pocałunkiem, który sprawił, że całkiem zapomniałam, czemu miałam zaprzeczać.

Zrozumiałam, że on wie.... Wie, że wciąż nie zapomniałam tamtej nocy. Musiał też wiedzieć, że teraz przede wszystkim potrzebny mi jest spokój, a nie walka, i że

bardzo chcę, by chociaż raz sprawy ułożyły się zgodnie z moim życzeniem. Zdawał sobie sprawę, że teraz, kiedy nie ma już Linasa, czuję się wolna i zarazem dręczona wyrzutami sumienia, smutna i zagubiona, i że tylko udaję taką dzielną i świetnie zorganizowaną. Po kłótni, w czasie której oboje z rozmysłem zadawaliśmy sobie ból, a która była naszym pierwszym bliższym kontaktem po tych wszystkich trudnych latach, jego pocałunek miał prawo mieć posmak zemsty. Przypuszczałam, że w ten właśnie sposób Winterson postanowił pokazać mi, gdzie moje miejsce.

Ale nie miałam racji. Całując mnie, nie szukał zemsty. Chciał mi przypomnieć niezapomniany urok tamtej nocy, jej czułość, namiętność i nasze wzajemne pożądanie. Burl Winterson był nieprzewidywalny. W jego pocałunku wyczuwałam głód i pożądanie. Czułam jego dotyk, jego smak i zapach... ten sam, co kiedyś. Zapach wrzosowiska, czystych prześcieradeł i drzew po deszczu. Jak mogłabym o czymś takim zapomnieć?

Nie zdołałam nad sobą zapanować i z gardła wydarł mi się jęk rozkoszy.

- Rzeczywiście nie umie pani kłamać - szepnął. - W przyszłości lepiej mówmy sobie prawdę. Zanim się rozejdziemy, postawmy jasno jeszcze jedną sprawę. Nadal będzie pani mieszkać z synem na Blake Street i oboje będziecie pod moją opieką. Przywiezie go pani do mnie w odwiedzinach i oboje będziecie mnie traktować tak, jakbym był jego ojcem. Nie muszę chyba przypominać, że tak jest w rzeczywistości.

- Ciekawe, kiedy zażąda pan, by Jamie nazywał pana ojcem? - zapytałam, bezskutecznie próbując ukryć przyjemność, jaką dawała mi jego bliskość.

- Na to też przyjdzie pora. Ale wszystko po kolei.

Wysunęłam się z jego objęć i oparłam się plecami o ścianę.

- To miał być sarkazm - burknęłam rozdrażniona. - Nie zamierzam dać panu tej satysfakcji. Chciałabym jednak wiedzieć, czemu to miałam zaprzeczać?

- Że tym razem trafiła kosa na kamień - odparł i rozejrzał się po pokoju. - Gdzie są te pani rzeczy? Proszę mi pokazać.

Rozdział czwarty

Mówiłam, że nie mam żadnych oczekiwań, choć wiedziałam, że takie twierdzenie aż trąci fałszem. Nie wzięłam jednak pod uwagę niesamowitego podobieństwa obu bliźniaków, którzy, choć pod wieloma względami bardzo się różnili, to jednak razem się wychowywali i dorastali.

Kiedy usłyszałam, że Linas nigdy nie był właścicielem domu na Blake Street i że nie zapłacił ani jednego mojego rachunku, musiałam się zastanowić, po co w ogóle chciał mieć dziecko, skoro niewiele mógł mu zostawić? Owszem, ustanowił dla chłopca fundusz powierniczy, ale nie miał żadnej posiadłości ziemskiej. Był właścicielem Stonegate, ale to jego brat użyczył mu dla mnie swojego domu na Blake Street. A teraz stanowczo nalegał, żebym nadal razem z dzieckiem tam mieszkała. Zrozumiałam, że tak łatwo nie ucieknę ani od niego samego, ani od jego wpływu na moje życie. Od tej chwili marzyłam już tylko o odzyskaniu niezależności.

Jego pocałunek był niczym więcej jak przypomnieniem i chytrym sposobem na obnażenie mojego żalosego kłamstwa, które miało być zemstą za ból, jaki mi sprawił. Powiedział, że oboje powinniśmy zacząć mówić prawdę, ale nie zamierzałam się do tego stosować. Kobieta w mojej sytuacji nie mogła odkryć kart. To mogłoby się okazać zbyt niebezpieczne. A jednak wspomnienie jego ust prześladowało mnie przez większą część nocy, nie dając spać.

Zanim nadszedł świt, zdecydowałam, że nie mogę dłużej odwlekać wyprawy do Foss Beck Common. Domyślałam się, że moja rodzina musi nie dojechać, a poza tym miałam także inne powody, dla których powinnam ich odwiedzić. Nie wiedzieli jeszcze o śmierci Linasa, a nadeszła pora, byśmy pomówili o przyszłości. Musiałam też odebrać od Pierre'a towar do sklepu i zapłacić mu za poprzednią dostawę. Nie wiedziałam, jak rozliczał się z przemytnikami, czy płacił im pieniędzmi, czy to była jakaś wymiana, ale ostatnio nabrałam przekonania, że choć nasz zysk dzielony był na pół, to Pierre i tak dobrze na tym wychodził.

O brzasku dosiadłam konia i prowadząc za sobą luzaka obładowanego prowian-

tem i prezentami, ruszyłam zaśnieżoną drogą w stronę Bridlington. Jamie złościł się, że nie biorę go ze sobą, i zrobił taką awanturę, że jego krzyki słychać było nawet na ulicy. Dopiero pani Goode zdołała go jakoś uspokoić przysmakami i obietnicami. Wiedziałam, czego chłopcu było trzeba najbardziej, ale zarówno moje zdecydowanie, jak i starania opiekunki czasem nie wystarczały, żeby go okiełznać. W tej sytuacji nie byłam już pewna, czy mały powinien ze mną więcej, czy mniej przebywać?

W nocy nie padało i choć nadal wiało, niebo było czyste i świeciło słońce. Wybrałam się sama, zakładając, że niewiele osób zdecyduje się wyruszyć w drogę. Po ujechaniu zaledwie jednej mili przekonałam się, że jest bardzo ślisko, a silny wiatr z północnego wschodu niesie tumany śniegu, z którymi musiały się zmagać konie.

Kiedy dojechałam do Fridaythorpe i znalazłam miejsce, gdzie należało odbić do Foss Beck, na niebie był już księżyc, a ja miałam przed sobą jeszcze trzy mile przedzierania się przez zasy. Nagle wyjechałam na otwartą przestrzeń rozpościerającą się jak wielkie śnieżnobiałe prześcieradło, upstrzone gdzieniegdzie cieniami drzew. Kiedy dostrzegłam wreszcie zarysy domów, było już prawie całkiem ciemno. Przemarznięta, ledwo trzymając się w siodle, zaczęłam wołać braci.

Wyszli z domu z pochodniami i zdjęli mnie z konia. Finch miał dziewiętnaście lat, Greg siedemnaście, i obaj byli silni jak woły.

- Oszalałaś? Ruszać w drogę w taką pogodę? Zanieść cię czy dasz radę dojść?

- Rozładujcie konia, ja ją zaniosę - zawołał Pierre.

- Nikt mnie nie będzie niósł - odparłam, słysząc nieznośny sprzeciwu głos kuzyna.

Pierre był pięć lat starszy ode mnie i po śmierci mojego ojca przejął obowiązki głowy rodziny. Nie spodobało się to nikomu oprócz matki. Bardzo uważałam, żeby nie wyróżniać Pierre'a w żaden sposób, więc przywitałam go tak samo jak braci.

- Zajmijcie się końmi. Ja pójdę do mamy - poprosiłam i zataczając się, ruszyłam w stronę domu.

Dwór zbudowano w trzynastym wieku, ale minione stulecia nie były dla niego łaskawe. Została połowa głównego budynku. Kamienne ściany miały grubość trzech

stóp, a izby mieszkalne znajdowały się bezpośrednio nad sklepieniem krypty. Od dawna opuszczony, niszczał do chwili, kiedy moja rodzina postanowiła w nim zamieszkać w przekonaniu, że wymarła wioska nie ma właściciela i każdy może się w niej osiedlić.

Patrząc na zarośnięte pajęczynami grube belki pod dachem ze strzechy, pomyślałam, że kiedyś był to także mój dom, choć daleko mu było do tego w Brid czy na Blake Street.

- Helene! To ty... moja dziewczynka... moja mała córeczka... - Ochryple zawołanie matki brzmiało dla mnie jak anielskie chóry.

Może przyjechałam tu właśnie po to, by usłyszeć jej głos i paść jej w ramiona? Szlochałyśmy i śmiałyśmy się, tuląc się i obejmując.

- Nie ciągnęłaś tu chyba małego w taką pogodę? - zapytała matka, zerkając nad moim ramieniem.

- Nie, mamó. Ale bardzo chciał cię odwiedzić.

- Co się stało, mów? Twój mężczyzna gorzej się czuje?

- On umarł, mamó.

- Umarł! Moje biedactwo. Po tym wszystkim, co zrobiłaś.

Ludzie północy uważają, że współczucie najlepiej okazywać poprzez jakieś praktyczne gesty, toteż mama zaczęła się krzątać wokół mnie. Pomogła mi zdjąć sztywny od mrozu płaszcz i sadzając mnie przy ogniu, narzuciła mi na ramiona koc.

- Przynieście jej miskę bulionu! - zawołała do starej służącej, która przyjechała z nami z Brid. - W końcu umarł. To takie smutne. Jedz bulion, dziecko. Jesteś w domu.

W takiej atmosferze błyskawicznie się rozkleiłam i zaczęłam płakać. Ciepły bulion zrobił swoje i powoli się rozgrzałam. Mama wypytała mnie o wszystko, zaczynając od tego, co jem, czy dobrze śpię, czy mam okres, a kończąc na tym, czy ja i Jamie miewamy humory. Nie miałam nic przeciwko temu wypytywaniu. Ktoś mógłby się z tego śmiać albo uznać to za natręctwo, ale dla mnie było to wzruszające, bo wiedziałam, że kryje się za tym miłość i troska, których tak bardzo mi brakowało.

Ja też miałam ochotę zadać mamie wiele pytań, bo od czasu kiedy byłam u nich

ostatnio, przed świętami Bożego Narodzenia, stan jej zdrowia wcale się nie poprawił. Była coraz słabsza i pewnie zdawała sobie sprawę, że jej chorych płuc nie da się już wyleczyć. Mieszkała co prawda na wsi, gdzie powietrze było lepsze niż w mieście, ale obecne mrozy nie wychodziły jej na zdrowie. Zaproponowałam, by wróciła ze mną do Yorku. Oburzyła się.

- Miałabym zostawić chłopców i Pierre'a samych? Nawet o tym nie myśl. Dzięki ich pracy to miejsce zaczyna przypominać porządne gospodarstwo. Jak tylko będzie nas stać, odbudujemy zrujnowaną część domu i od razu trochę się rozluźni. Kto wie, może wyremontujemy także jeden z mniejszych domów. Mogłabyś tu zamieszkać razem z Jamiem. Nie uważasz, że tak byłoby rozsądniej? Wiesz, że mały uwielbia Foss Beck.

Nikt z mojej rodziny nie przypuszczał, że pewnego dnia przywiozę im bękartą, ale nie przejmowałam się tym specjalnie, bo nie krytykowali tego, jak zarabiałam na życie. Jedynie Pierre, który liczył na to, że zostanę jego żoną, był trochę niezadowolony. Na pewno chciał być pierwszy, ale nigdy niczego mu nie obiecywałam ani nie robiłam żadnych nadziei. Traktowałam go jak brata, a nie jak przyszłego męża.

Zaczęłam rozpakowywać prezenty: ciepłe wełniane ubrania, leki, nowe buty, wypieki pani Neape i co najmniej połowę zapasów, jakie dostałam z Abbots Mere. Opowiedziałam im o testamencie Linasa, o moim rozczarowaniu, obawach i planach, i o tym, że opiekun Jamiego najprawdopodobniej nie pozwoli mu wyjechać z Yorku. W tej sytuacji przyznali, że na razie muszę zostać z dzieckiem.

Nikomu nie spodobały się moje nowiny, a zwłaszcza Pierre był wyraźnie niezadowolony. Zanim ułożyliśmy się do snu, wziął mnie na bok, żeby chwilę porozmawiać. Niezbyt wysoki, ale silnie zbudowany, był nawet dość przystojny. Ojciec chciał, żebyśmy się pobrali, kiedy przyjdzie pora. Wiedziałam, że gdyby nadal żył, upierałby się przy tym bardzo mocno i wątpię, by moja niechęć do tego małżeństwa zmieniła jego zdanie.

Pierre został przemycony z Francji do Anglii, kiedy miał zaledwie dwanaście lat. Rewolucja, która zakończyła panowanie francuskiej rodziny królewskiej, pochłonęła

wiele ofiar, w tym oboje arystokratycznych rodziców Pierre'a. W tej chwili nic mu już nie groziło, lecz nie myślał o powrocie do Francji. Traktował nas jak swoją rodzinę i po śmierci ojca wziął na siebie jego obowiązki. Miał wtedy dziewiętnaście lat, doskonałe maniery, był odważny, pracowity i miał głowę do interesów. To właśnie on nawiązał kontakt z przemytnikami z Bridlington, choć nigdy nie zdradził, w jaki sposób zdobywa takie duże ilości luksusowych tkanin dla mojego sklepu. Ja też go o to nie pytałam. Gdyby nie jego dostęp do towarów z przemytu, zakład krawiecki nie prosperowałby tak świetnie i nigdy nie zarobiłabym na tyle, by wejść w spółkę z Prue.

Czasami ja jeździłam po towar do Foss Beck, czasami Pierre przywoził go do miasta i zostawiał w zakładzie, nigdy w domu. Na Blake Street pojawiał się jako mój daleki krewny z Bridlington, robił to jednak bardzo rzadko. Nigdy nie chciał poznać Linasa, a Jamie nazywał go wujciem Parem. Zawsze uważałam, żeby nikt nie widział, jak daję mu pieniądze, i nigdy nie wątpiłam w jego lojalność.

- Helene, cieszę się, że cię widzę, ale nie powinnaś była jechać sama. To niebezpieczne - powiedział po francusku, bo gdy byliśmy sami, zawsze rozmawialiśmy po francusku.

- Jeśli miejsce waszego pobytu ma pozostać tajemnicą, muszę jeździć sama.

- Jutro pojedę do miasta razem z tobą. Zawiozę towar do sklepu i załatwię swoje sprawy. - Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

- Co to za sprawy?

- Muszę przekazać przyjacielom pewne informacje, mam się też z kimś spotkać i kupić kilka rzeczy. Kim jest bliźniak pana Monktona? Ten opiekun twojego syna? Jaki on jest?

- Jest bardzo dobry dla Jamiego, a Jamie go uwielbia. - Wiedziałam, że to dość dwuznaczna odpowiedź, ale celowo tak powiedziałam, bo Winterson i Jamie rzeczywiście za sobą przepadali, choć nie robiłam nic, by to uczucie podsycać. Ostatnio upór Jamiego coraz częściej przybierał formę dzikich awantur, ale wystarczyło, by pojawił się stryjek Burl, a chłopiec stawał się potulny jak owieczka i nie odrywał zachwyconych oczu od swojego idola. Kiedy Winterson brał go na barana, mały wprost nie po-

siadał się ze szczęścia, a moje serce fikało koziołki i potem bolało przez wiele godzin.

- A ty? Też go uwielbiasz?

- Daj spokój, Pierre. Umarł mężczyzna, z którym mieszkałam. Ojciec mojego dziecka. Nie mam teraz głowy do takich rzeczy. Kocham mamę i braci, i ciebie, bo też jesteś dla mnie jak brat. Jestem ci wdzięczna, że się nami opiekujesz. Miałam nadzieję, że rzeczy ułożą się inaczej. Ale tak się nie stało. Na razie wszystko utknęło w miejscu. Poczekajmy, co z tego wyniknie, dobrze? Chciałabym zabrać mamę do siebie. Mogłabym się nią lepiej zająć. Martwię się o nią.

- Matka nie pojedzie do miasta. Nie opuści grobu twojego ojca.

- Nie będę jej więcej namawiać, ale spróbuj zrozumieć, że czuję się rozdarta na pół.

- Moje rozumienie coś dla ciebie znaczy?

- Oczywiście. Jesteś członkiem rodziny. Twoje zdanie zawsze będzie dla mnie ważne.

- Wybacz mi - szepnęła i niepewnym ruchem dotknął mojego ramienia. - Masz rację, potrzebujesz czasu, żeby zobaczyć, jak dalej potoczą się sprawy. Jesteś zmęczona. Ale ja... tak rzadko się widzimy... więc kiedy jest okazja, chcę ją wykorzystać, zanim znowu znikniesz.

- Porozmawiamy jutro w drodze do miasta. Dobranoc, Pierre. - Odwróciłam się, by odejść, ale zrobiłam to za wolno i usłyszałam „dobranoc, kochanie”.

Nie chciałam dodatkowych komplikacji, udałam więc, że nie słyszę. Zaobserwowałam też, że Pierre, zamiast poprosić moich braci, aby coś zrobili, ciągle nimi komenderuje, a oni specjalnie zaczynają ignorować jego polecenia. Nie wyglądało to dobrze, miałam jednak nadzieję, że ze względu na matkę chłopcy nie narobią kłopotów.

Tej nocy położyłam się w ubraniu, ale choć spałam na puchowym materacu przykryta futrami, rano byłam tak obolała, jakbym przyszła tu z Yorku na piechotę. Do tego okropnie bolała mnie głowa. Mimo to postanowiłam nie zwlekać i natychmiast wracać do domu. Bóg jeden wie, jakim cudem zdołałam wsiąść na konia. Z

wdzięcznością pomyślałam, że tym razem nie muszę prowadzić jucznego konia z towarem do sklepu. Nigdy nie płaczę przy pożegnaniach, ale widząc, w jak kiepskim stanie jest mama, bałam się, że mogę jej już więcej nie zobaczyć. Zastanawiałam się, kiedy mnie wezwą na kolejny pogrzeb, nie byłam więc najlepszym towarzyszem podróży.

Mimo obecności Pierre'a droga powrotna była bardzo ciężka. Czułam się coraz gorzej i nie miałam ochoty na rozmowę. Tym razem wiało nam w plecy, dzięki czemu posuwaliśmy się nieco szybciej. Kiedy dotarliśmy do Yorku, zaczynało się już ściemniać, a my byliśmy bardzo zmęczeni i przemarznięci. Chociaż ta podróż była dla mnie prawdziwym koszmarem, to dobrze się stało, że jej dłużej nie odkładałam, bo zapasy żywności w Foss Beck były na wykończeniu.

Pierre chciał jeszcze dziś załatwić przynajmniej część swoich spraw, więc choć bardzo stęskniłam się za Jamiem, najpierw pojechaliśmy do zakładu. W zapadającym zmroku szybko rozładował towar i od razu się pożegnał. Zaprowadziłam oba konie do stajni Stonegate, zadowolona, że upiekła mi się rozmowa z Pierre'em. Czułam się coraz gorzej i wiedziałam już, że to coś więcej niż zwyczajne przeziębienie. Trzęsłam się jak liść na wietrze i bolały mnie wszystkie kości. Powrót ze Stonegate na Blake Street pozbawił mnie resztek sił.

Oczekiwałam radosnego powitania, ale pokojówka powiedziała mi, że Jamie i pani Goode pojechali do Abbots Mere.

- Lord Winterson przyjechał wczoraj zaraz po pani wyjeździe. Panicz Jamie miotał się po całym holu. Awanturował się, kopał, krzyczał i płakał. Opiekunka próbowała go uspokoić, ale w tym wrzasku w ogóle nie było jej słychać.

Byłam tak słaba, że musiałam usiąść, by nie upaść.

- Lord Winterson wszedł do holu, spojrzął na panicza i krzyknął: „Dosyć!”. Nie uwierzy pani, ale panicz wstał i podbiegł do lorda Wintersona jakby nigdy nic.

Trzymając głowę w dłoniach, pomyślałam, że jestem najgorszą matką na świecie.

- I co było dalej?

- Lord Winterson wziął go na ręce i coś mu powiedział. Kazał pani Goode spakować rzeczy i oznajmił, że do pani powrotu z Bridlington zabiera ich do Abbots Mere. - Dobrze się pani czuje? Okropnie pani wygląda... - Pokojówka patrzyła, jak chwieję się na krześle, trzymając się za głowę.

- Nic mi nie jest. Jadę do Abbots Mere. Ale najpierw muszę pójść po konia, do Stonegate. Zostań tu. Powiesz pani Neape, dokąd pojechałam.

- Chce pani jechać nocą?

- Tak! Natychmiast! Chcę zobaczyć Jamiego!

- W takim razie jadę z panią. Proszę poczekać, tylko się ubiorę - zawołała Debbie.

- Nie mam czasu się z tobą kłócić. Nie możesz jechać.

- Mogę i pojedę. Nie puszcze pani samej.

- Mamy tylko jednego konia.

- Pójdę przy koniu.

Odwróciłam się i wyszłam bez słowa, ale zanim doszłam do domu Linasa, Debbie mnie dogoniła.

- Co tam masz? - zapytałam, widząc w jej ręku torbę podróżną.

- Wzięłam parę rzeczy. Może będziemy musiały zostać na noc.

Pomyślałam, że Debbie to prawdziwy skarb. W stajni było więcej koni, więc wybrałam dwa, które wydały mi się najsilniejsze, i kazałam je osiodłać. Stajenny wahał się, uważał, że lord Winterson go za to zabije. Poprosiłam, żeby pomógł mi wsiąść i dałam mu srebrnego szylinga.

W nocy, w padającym śniegu dwie mile do Abbots Mere ciągnęły się w nieskończoność. Ledwo trzymałam się w siodle, a za każdym razem, kiedy zaczynałam się chwiać, mój koń przystawał. Debbie pokrzykiwała, dodając mi otuchy, więc zaciskałam zęby i jakoś brnęłam dalej. W końcu po godzinie tej męki przejechałyśmy przez bramę w murach otaczających posiadłość. Widziałam światła w oknach i wiedziałam, że za chwilę przyjdzie mi stoczyć przerażającą walkę.

Jazda konna nie była mocną stroną Debbie. Dziewczyna spadła z konia prosto w

śnieg, ale szybko się pozbierała i pobiegła do drzwi. Chwyła dużą żelazną kołatkę i waliła nią tak długo, aż jej otworzono. Słyszałam, jak na kogoś krzyczy, a potem zrobił się hałas. Leżałam z twarzą w zaśnieżonej końskiej grzywie i nie mogłam się ruszyć. Było mi zimno i gorąco zarazem. Zaczęłam zasypiać. Koń przestąpił z nogi na nogę, zakołysał się, i wtedy ostatecznie ogarnęła mnie ciemność.

- Co w nią wstąpiło...? - Słyszałam gdzieś w oddali głęboki męski głos.

- Próbowałam zatrzymać panią w domu, ale nie chciała słuchać. Pani jest chora, nie mogłam jej puścić samej.

- Co za pomysł, żeby tu przyjeżdżać nocą, w taką pogodę? Ile razy ostatnio słyszałam słowa „w taką pogodę”?

- W taką pogodę przyjechałam po swojego syna - wyszeptałam, a świat wirował mi w głowie. - Jamie, gdzie jest Jamie? Muszę go zobaczyć.

- Powinna być pani trochę rozsądniejsza i nie ruszać w drogę nocą i w zawiei. Musi mi pani wyjaśnić, jakim cudem zdołała pani w takich warunkach dotrzeć do Brington i z powrotem w ciągu dwóch dni. Chyba że umie pani latać?

Czułam, że gdzieś mnie niosą i że nikt nie oczekuje ode mnie odpowiedzi. I dobrze, bo w tej chwili chyba znowu zemdlalam.

Rozdział piąty

Chorowałam. Nie odróżniałam dnia od nocy. Niewyraźne, zamazane sylwetki schylały się nade mną, myły mnie i pielęgnowały. Śniłam, ale nigdy nie zdołałam wydobyć tych snów na światło dzienne. Szlochałam, lecz nie umiałam powiedzieć dlaczego. Aż w końcu pewnego dnia jasny słoneczny blask odbity od białego śniegu wpadł przed okno i przywołał mnie do rzeczywistości. Zobaczyłam, że leżę w pokoju, którego progu obiecałam sobie nigdy więcej nie przestąpić, i uznałam, że to przeznaczenie musiało mnie tu sprowadzić. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, że wtedy po prostu nie chciałam dostrzec prawdy i wołałam wszystko zrzucić na ślepy los.

Bałam się, że Jamie do końca życia nie wybaczy mi, że nie zabrałam go w odwiedziny do babci, ale na mój widok bardzo się ucieszył, więc przestałam się zamartwiać. Opowiedział mi o wspaniałym bałwanie, którego dziś rano ulepił ze stryjkciem Burlem, a także o tym, że stryjek obiecał mu własnego kucyka. Pani Goode powiedziała mi, że Jamie przestał się awanturować, nawet jeśli czegoś mu się zabrania.

Cztery dni spędziłam w łóżku i dopiero piątego poczułam się na tyle silna, by wstać i na chwilę wyjść z pokoju. Wtedy właśnie po raz pierwszy od przyjazdu do Abbots Mere zobaczyłam się z Wintersonem. Przyszedł do mojego pokoju, wziął mnie na ręce i zakutaną w koce zniósł na dół do ciepłego salonu, gdzie ułożył na leżance. Jego bliskość sprawiała mi przyjemność i budziła wspomnienia. Kilkakrotnie na mnie zerkał, więc zapewne ujrzał to w moich oczach.

Posiadłość Abbots Mere była w przeszłości domem gościnnym dla dygnitarzy odwiedzających Wielkiego Opata Yorku. A potem, kiedy zlikwidowano klasztor, dom sprzedano. Kolejni właściciele powiększali go i dostosowywali do swoich potrzeb, ale wnętrze budowli zachowało swój szesnastowieczny charakter. Salon był duży i niski. Ściany pokrywały dębowe boazerie, a na tynkowanym fryzie widniały jaszkrawe, malowane herby. Wszędzie wisiały portrety przodków w koronkowych kołnierzach, podłogi zaś zaścielały perskie kobierce w pastelowych odcieniach różu i błękitu. Meble były ciemne, dębowe. W ogromnym kominku płonął ogień, a srebrne

oliwne lampy odbijały się w wypolerowanych blatach stołów. Wiele razy bywałam w tym salonie, ale wtedy to Linas leżał na leżance, a ja pilnowałam, żeby nigdy nie zostać sam na sam z jego bratem.

Winterson usiadł w fotelu naprzeciwko mnie. Jego nieprzeniknioną twarz częściowo skrywał cień. Trzy ogromne myśliwskie psy ułożyły się cicho na podłodze za fotelem. Zegar melodyjnie wybił godzinę.

- Zamierzam napić się herbaty. Dotrzyma mi pani towarzystwa?

- Dziękuję. Mam nadzieję, że nie narzucamy się panu swoją obecnością. Nie miałam zamiaru... - zaczęłam, licząc, że uprzejmiem mi przerwie i w ten sposób wybawi z kłopotu, bo nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Ale Winterson milczał.

- Nie miała pani zamiaru... dostać gorączki? Jadąc taki kawał drogi podczas zawiei, by ratować syna z moich szponów? - zapytał po dłuższej chwili. - Widziała pani, że mały zbytnio nie ucierpiał.

Nie miałam ochoty na kłótnię, westchnęłam więc i spojrzałam w okno.

- Czy śnieg nadal pada? - zapytałam, z nadzieją, że on zrozumie moją aluzję.

- Jeśli pyta pani, czy pozwolę pani uciec, to odpowiedź brzmi: nie. Przez trzy dni mieliśmy potężną burzę śnieżną i o ile wiem, drogi są nieprzejezdne. Słyszałem, że na wysokości Fridaythorpe droga do Brid została całkiem zasypana. Odkąd zaczęło padać, nikt od nich nie wyjechał ani nie zdołał się tam dostać.

- To doprawdy irytujące. Miałam nadzieję, że jutro wrócę do domu - odparłam, ignorując jego aluzję do Brid.

- Nigdzie pani nie pojedzie. Była pani ciężko chora. Mój rządca twierdzi, że niedługo zaczną się roztopy. Proszę więc okazać cierpliwość i poczekać, aż drogi będą przejezdne.

- Muszę się zająć swoim zakładem. A poza tym nie jestem chora. To tylko przeziębienie.

- Była pani zbyt zajęta uganianiem się po zasypanych drogach, by zatroszczyć się o swoje zdrowie. Może pora zacząć myśleć o sobie. Chyba że chce pani złapać zapalenie płuc. Na pani miejscu, panno Follet, potraktowałbym to przeziębienie jak

ostrzeżenie. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, potrzebuje pani odpoczynku.

Rozzłościł mnie. Jak miałam odpoczywać, ignorując ludzi, którzy na mnie polegali, i sprawy, które trzeba było załatwić?

Pani Murgatroyd, gospodyni w Abbots Mere, wniosła tacę ze srebrną zastawą do herbaty. Kiedy nalewała bursztynowy płyn do filiżanek, ukradkiem otarłam ręką łzy bezsilnej złości. Podała mi filiżankę, ale ręka tak mi drżała, że filiżanka podskakiwała na spodeczku. Zabrała ją więc i postawiła na stoliku obok leżanki, a potem dygnęła i wyszła.

- Nie mogę teraz odpoczywać. Klientki zamawiają nowe suknie także w środku zimy.

- Na początek proszę pozwolić Jamiemu spędzać tutaj więcej czasu. Pani Goode to rozsądna kobieta. Ja także będę się nim zajmował. Medworth i jego żona z przyjemnością poświęcą małemu trochę czasu. Ich najstarszy syn jest w wieku Jamiego. Wiejski pastor w rodzinie zawsze robi doskonałe wrażenie, czyż nie? Jamie chyba lubi tu przebywać?

- Bardzo, ale...

- Ale co? Zbyt wiejska atmosfera jak dla pani?

- Ależ skąd. Sama jestem dziewczyną ze wsi. Państwo Monktonowie są uroczy, tak samo jak ich mały Claude. Ale Linas nigdy nie przepadał za widokiem gęsi, kur, świń i kóz kręcących się przy domu. Zwłaszcza jeśli w domu były małe dzieci. Kiedy ostatnio byliśmy na plebanii, koza próbowała zjeść wyprawkę niemowlaka, a gdy osiołek wszedł do jadalni, rodzice pozwolili Claude'owi karmić go swoim chlebem. Jestem przyzwyczajona do zwierząt, jednak takie zachowanie uważam za przesadę.

- Ja też nie karmiłbym osiołka chlebem, ale przecież znała pani stosunek Linasa do zwierząt. Jego zdaniem służyły one do jedzenia albo jako środek transportu, ewentualnie psy mogły jeszcze stróżować. Byłoby szkoda, gdyby nasz Jamie równie obojętnie się do nich odnosił. Chłopiec jest odważny, nie boi się ich.

„Nasz” Jamie.

- Wiem, że jest odważny. Miewa też napady złego humoru.

- To nie tak. Mały nie potrafi pani przekazać tego, jak się czuje, i to go denerwuje. W mieście może być z panią albo z opiekunką, a tutaj jeździ ze mną po śniegu, bez pani. To mały, pełen życia człowieczek, bystry, energiczny i ciekawy wszystkiego. Nie zawsze musi mieć na sobie aksamitne ubranie i jedwabną koszulę. To nie lalka. Trzeba mu pozwolić bawić się w błocie i wspinać na drzewa.

- Mówi pan tak, jakby się pan na tym znał.

- Bo się znam. Sam byłem kiedyś małym chłopcem. A pani nie.

Miałam młodszych braci i wiedziałam, że Winterson się nie myli. Ale jak mogłam pozwolić Jamiemu przebywać w tym atrakcyjnym świecie stryjka Burla, jeśli sama chciałam trzymać się od niego jak najdalej?

- Jamie musi bardzo lubić odwiedziny u pani rodziny. Kiedy dowiedział się, że pani jedzie bez niego, był bardzo zawiedziony.

- Uwielbia tam jeździć. Obiecałam, że go zabiorę, a potem nie mogłam dotrzymać obietnicy.

- Ze względu na śnieg?

- To było zbyt niebezpieczne.

- Mimo to pani pojechała?

- Musiałam. Moja mama choruje. Na to samo co Linas. Wiedziałam, że ich zasypie i że może im zabraknąć jedzenia.

- Skoro pani do nich dotarła, to jednak ich nie zasypało.

- Prawie. Bracia obawiali się, że jeśli pojedą do miasta, to prawdopodobnie nie zdołają już wrócić. Ja wiedziałam, że mogę tam zanoć, a jednak po tak dużych opadach śniegu ledwo ich znalazłam. Powiedzieli, że jestem szalona, ale jestem najstarsza z rodzeństwa i czuję się za nich odpowiedzialna. Mama potrzebuje lekarstw. Nie mogłam pozwolić, żeby śnieg mnie zatrzymał, i nie mogłam też zabrać ze sobą Jamiego. Próbowałam mu to wyjaśnić...

- Nie miała pani racji, uważając się za okropną matkę. Nic mu nie było. Kiedy go wzięłam na ręce, był zadowolony.

Winterson starał się mnie pocieszyć, ale sama wiedziałam, że między nim a ma-

łym istnieje coś magicznego. Jamie zawsze przybiegał do niego. Nie trzeba go było kusić obietnicą nagrody. Wystarczyło mu, że jego bohater go zauważa. Tak samo było z Linasem. Póki żył, Jamie nie widział świata poza nim.

- Babcia Damzell to pani matka?

Skinęłam głową.

- Z tego co słyszę, u niej także są zwierzęta. Mama mieszka na farmie?

- Tak. Ale proszę o nic więcej nie pytać.

- Dlaczego? Czy pani rodzina jest wyjęta spod prawa? Jak Robin Hood?

- Nie jak Robin Hood - odparłam, myśląc, że teraz zapyta mnie o moje koneksje w Bridlington. On jednak najwidoczniej uznał, że dosyć już indagacji na jeden dzień, choć pytanie, jak ktoś mieszkający w mieście wielkości Bridlington może zostać odcięty od dostępu do żywności, samo cisnęło się na usta. Nie dociekał też, jak pokonałam zasypaną drogę.

- Panno Follet - zaczął po dłuższej chwili. - Chcę, aby pani wiedziała, że nie zamierzam wypytywać Jamiego o pani rodzinę. Widzę, że nie ma pani ochoty o nich rozmawiać, więc poczekam, aż to się zmieni. Proszę nie trzymać chłopca z daleka ode mnie ze względu na jego skłonności do paplaniny. Szanuję pani prawo do prywatności. Linas też je szanował.

Nie miał racji, bo Linasa moja rodzina po prostu nie obchodziła. Jeździłam do nich w odwiedziny, zabierając ze sobą Jamiego, ale Linas nigdy o nich nie spytał. Nie interesowało go, kim są i gdzie mieszkają, czy im czegoś nie brakuje i dlaczego ich życie tak bardzo się zmieniło. Nie skarżyłam się. Mogłam się z nimi dzielić zarobionymi pieniędzmi, a to było dla mnie najważniejsze. Tylko czasem dziwiłam się, jak Linas może być tak całkowicie skupiony na sobie. Zmienił się dopiero po urodzeniu Jamiego.

- Linas był bardzo zamknięty w sobie. Czasem myślę, że starał się zapomnieć o mojej rodzinie, bo bał się, że mogłabym chcieć ich włączyć w nasze życie. Nigdy bym tego nie zrobiła, ale mam wrażenie, że nie chciał ryzykować. Rodziny kochanek potrafią być czasami bardzo wymagające. Na pewno pan o tym słyszał.

Winterson uśmiechnął się. Lady Emma Hamilton niedawno straciła ukochanego lorda Nelsona, po którym spodziewała się odziedziczyć spory majątek, i od tej pory po prostu nie mogła opędzić się od swojej rodziny. Mnie to nie groziło.

- Jak pani widzi, Linas zupełnie inaczej podchodził do życia niż ja. Rozumiem, że ma pani obowiązki wobec bliskich i że czasem ich pani odwiedza. Jednak zabieranie Jamiego w takie podróże bez odpowiedniej eskorty może być niebezpieczne. Dlatego nalegam, by w przyszłości brała pani ze sobą przynajmniej dwóch ludzi. Obojętne, swoich czy moich.

- Kiedy powiedziałam mamie o śmierci Linasa, zaproponowała, żebym zamieszkała z nimi razem z synkiem. Mama byłaby szczęśliwa i spokojna, że zaopiekuję się braćmi.

- To zrozumiałe. Proszę im pomagać, jak pani może, ale nie pozwolę Jamiemu opuścić miasta. Albo będzie mieszkał z panią na Blake Street, albo ze mną w Abbots Mere.

- Tak też im powiedziałam. Poza tym mam zakład krawiecki, którym muszę się zajmować i który daje mi przyzwoity dochód. Gdybym musiała zrezygnować z pracy, moja rodzina odczułaby to najbardziej.

- Nie wiedziałem, że zarabia pani na rodzinę. Myślałem...

- Myślał pan, że w inny sposób zdobywam dla nich pieniądze? Kochanki często tak robią. Często też odchodzą, gdy sprawy się komplikują. Ale ja tak nie postępuję. Kiedy przekonałam się, że jestem w ciąży, powiedziałam o tym Linasowi, chociaż bałam się, że więcej nie będzie chciał mnie widzieć na oczy. Niech mi pan wierzy. To było ryzyko. I w dodatku sytuacja była nieprzyjemna.

- Rozumiem, dlaczego jest pani zgorzkniała.

- Bo zostałam podstępnie wykorzystana i nadal jestem wykorzystywana? Bo choć jestem matką Jamiego, muszę słuchać, co mi wolno, a czego nie, jakbym miała męża, któremu jestem winna posłuszeństwo? Zresztą męża też mi nie wolno mieć.

- Nie dostrzega pani, co otrzymuje w zamian za te ograniczenia?

- Mam syna, wygodny dom, świetnie prosperujący zakład i przyjaciół, z którymi

pracuję. Mam też mimo wszystko nieco swobody, o którą będę walczyć z całych sił.

- Nie musi pani o nią walczyć, panno Follet. Oboje stoimy po tej samej stronie - stwierdził szorstko Winterson.

- Nigdy nie byliśmy po tej samej stronie. Nawet zanim zostałam kochanką pańskiego brata, kiedy to próbował go pan przede mną ostrzec. Określił mnie pan wtedy jako osobę, na której trudno polegać.

- Tak pani powiedział?

- Tak powiedział i śmialiśmy się z tego. Nigdy nie będziemy po tej samej stronie. Łączy nas wyłącznie dobro Jamiego. A teraz proszę wybaczyć... jestem zmęczona.

Próbowałam wstać, ale zakręciło mi się w głowie i z jękiem opadłam na leżankę.

- Spokojnie... spokojnie, dziewczyno. Nigdy nie znałam kobiety, która by się tak szybko unosiła. Spokojnie... Jeśli chce pani wrócić do sypialni, zaniosę panią na górę. Pora, żeby ktoś przywołał panią wreszcie do porządku.

Miał prawo myśleć, że wściekam się i miotam, sądząc, że mi grozi. Puściłam więc tę jego uwagę mimo uszu.

- Nic mi nie jest. Zakręciło mi się w głowie, i tyle.

- Nieprawda - stwierdził. Owinął mnie kocem i wziął na ręce. - A teraz, moja piękna, wyjaśnijmy sobie jeszcze jedną rzecz, dobrze? Ze względu na Jamiego nie powinniśmy okazywać sobie wrogości. Niech myśli, że jesteśmy przyjaciółmi, a nie rywalami. Nie wykorzystujemy dziecka do rozgrywek między nami. Jeśli chce pani toczyć ze mną walkę, proszę to robić wtedy, kiedy Jamie tego nie widzi. Zgoda?

- Tak.

- Szalona kobieta - szepnął. - To drobne ciało kryje w sobie wojowniczą duszę, ale mnie pani nie pokona. Jestem za silny. Proszę na razie nie myśleć o powrocie do domu. Najpierw musimy tu o panią trochę zadbać. Zakładam, że jest ktoś, kto zajmie się domem i sklepem podczas pani nieobecności?

- Tak.

- Jak tylko będzie to możliwe, wyślę do miasta wiadomość, że pani tu zostaje na

jakiś czas.

- Dziękuję.

- Czyżby udało mi się wreszcie sprawić, że pani zamilkła? Pewnie nie. Ale wiem, jak to zrobić.

- Proszę!

- Ha! - Winterson roześmiał się i w tej właśnie chwili do salonu weszli Jamie i pani Goode.

Nie wiem, co sobie pomyśleli, widząc mnie w ramionach Wintersona, ale mogło być gorzej. Jamie był zbyt mały, by cokolwiek o tym myśleć, a pani Goode była jedną z niewielu osób, których doświadczenie życiowe przerastało moje własne. Dobiegała wieku średniego i nadal była atrakcyjną kobietą. Zachowała się spokojnie, choć w jej oczach błysnęło zainteresowanie.

- Już pani wraca na górę? Dobrze...

Jamie podbiegł do Wintersona i przytulił się do jego nogi.

- Zabierz mamę do bałwanka, stryjku. Bałwanek chce powiedzieć „dobranoc”.

Zacząłam protestować, ale Winterson miał swoje plany.

- Dobrze - powiedział. - Jeśli puścisz moją nogę i przytrzymasz nam otwarte drzwi, pójdziemy do bałwanka. Przodem, chłopcze. Prowadź.

Tak też się stało. Winterson wyniósł mnie przed dom. Przed nami rozciągał się zaśnieżony taras, za którym zaczynał się ogród. Drzewa w białych czapach rzuciły niebieskie cienie na pokryte śniegiem trawniki. Było pięknie jak w bajce. Wciągnęłam w płuca lodowate powietrze, czując, że oczy zaczynają mi łzawić z zimna.

- Nie marznie pani? - zapytał Winterson.

- Nie. Jak tu pięknie.

Pani Goode z poważną miną podciągnęła mi koc pod samą szyję. Jamie pobiegł pożegnać się z bałwankiem, który był dwa razy wyższy od niego.

- Mamo, zobacz! Bałwanek ma na głowie najlepszą czapkę stryjka Burla - zawołał.

- Mogłem oddać czapkę albo fular - mruknął Winterson. - Nie miałem wyboru.

Zgadza się pani ze mną?

- Piękny bałwan. Pożegnajmy się z nim i wracajmy do środka - powiedziałam.

Było tak, jakbyśmy byli rodziną. Matka, ojciec i syn. Całkiem inaczej niż za życia Linasa, kiedy byłam uwikłana w zakłamaną związek między pseudoojcem i pseudostryjem.

Natychmiast jednak usłyszałam dzwonek alarmowy. Uważaj! Sytuacja staje się groźna. Czując się bezpieczna w jego ramionach, zaczniesz marzyć o kolejnej, dużo ambitniejszej roli. Z łatwością zapomnisz, jak podstępnie zostałaś wykorzystana, i puścisz w niepamięć lata spędzone w zakłamaniu. Nie jesteś temu człowiekowi nic winna - stwierdził z goryczą zimny głos w mojej głowie.

Kiedy znalazłam się w sypialni, rozwinięto mnie z koców i dostrzegłam, że mam na sobie nieznaną mi nocną koszulę.

- Czyje to ubranie?

- Pani Murgatroyd przyniosła to dla pani. Z domu zabrałam tylko jedną koszulę, a trzeba było panią przebrać - wyjaśniła Debbie.

- Zdejmij ją ze mnie. Bóg jeden wie, kto ją nosił przede mną. Bądź tak dobra i ubierz mnie w moją własną - zawołałam, a wyobraźnia podsuwała mi obrazy Wintersona pośpiesznie rozbierającego swoją kochankę z bielizny, którą miałam na sobie.

Czar minionej godziny przysł. Kiedy pokojówka poszła szukać mojej koszuli, usłyszałam melodyjne bicie zegara w salonie. Winterson na pewno myśli, że tę rundę wygrał bez żadnego wysiłku.

Byłam zdrowa i silna i w ciągu kilku dni wróciłam do dawnej formy. Nie mogłam już doczekać się powrotu do domu i do pracy, choć w Abbots Mere z synkiem i z panią Goode miło spędzałam czas. Toczyliśmy bitwy na śnieżki, bawiliśmy się w chowanego, jeździliśmy na łyżwach po zamarzniętym stawie i oglądaliśmy konie wyścigowe. Co wieczór mój kochany malec padał ze zmęczenia i słodko zasypiał z policzkami różowymi jak jabłuszka. Widziałam, że był szczęśliwy. Ale miałam nadzieję, że w nocy przyjdzie odwilż i zdążę stąd wyjechać, dopóki ciągle jeszcze jestem panią swojego serca.

Kiedy Jamie widział mnie z Wintersonem, dotrzymywałam umowy i udawałam, że darzę naszego gospodarza przyjaźnią, choć prawdę mówiąc, wcześniej w obecności dziecka też starałam się zachowywać w stosunku do niego poprawnie. Natomiast nadal unikałam pozostawiania z nim sam na sam. Zawsze znajdowałam jakąś wymówkę. Za wszelką cenę chciałam mu pokazać, że moja niechęć do niego jest taka sama jak wcześniej i ani odrobinę nie słabnie. Prezentowałam dobre maniere, ale szczerzej przyjaźni nie zamierzałam udawać.

W końcu przyszła odwilż i droga między Abbots Mere a Yorkiem została oczyszczona. Jazda powozem nie wchodziła w rachubę, musieliśmy jechać konno. Jamie jechał przodem ze stryjem Burlem, potem reszta, a na końcu dwóch stajennych. Nie wiem, czy Winterson rozmawiał z Jamiem o konieczności wyjazdu, ale mały nie robił żadnych awantur.

W domu stryj Burl zaniósł Jamiego do jego pokoju, by na nowo zapoznał się ze swoim koniem na biegunach i innymi zabawkami. Powiedział mu, jak bardzo wszystkie za nim tęskniły i obiecał, że niedługo znowu go zaprosi do Abbots Mere.

- A co z kucykiem, stryjkę? Obiecałeś mi kucyka, pamiętasz?

- Dostaniesz, jak tylko skończy się zima.

- Jamie jest za mały na kucyka - szepnęłam, kiedy schodziliśmy na dół.

- Już to pani mówiła. Ale on chce się uczyć jeździć konno, a to najlepszy moment. Proszę mi zaufać. Jamie będzie ze mną bezpieczny. Znajdę mu dobrego kucyka.

- A co z moim transportem? Nadal mogę pożyczać konie ze Stonegate?

Pani Goode i Jamie poszli do kuchni, a my zostaliśmy sami w jadalni. Podałam gościowi szklaneczkę porto. Nie mogłam zapomnieć, że mieszkam w jego domu i że wszystko, co się w nim znajduje, należy do niego. Pytanie o konie miało podkreślić ten fakt.

Winterson odstawił szklankę na stół i podszedł do mnie tak blisko, że poczułam świeży zapach jego skóry.

- Może pani pożyczać konie, kiedy tylko pani zechce, ale na razie proszę jeszcze nie używać swojego powozu. Drogi są ciągle niebezpieczne. Gdyby chciała pani od-

wiedzieć Abbots Mere, wystarczy wysłać człowieka z wiadomością, a poślę po panią swój powóz. I proszę nie odjeżdżać za daleko od miasta.

- Rozumiem - odparłam beznamiętnie.

- Nie. Wcale pani nie rozumie. Uważa pani, że w ten sposób próbuję panią ograniczać, a ja mówię tak dlatego, że drogi po roztopach są zdradliwe. Kiedy trzydziestocentymetrowa warstwa śniegu zaczynie się nagle topić, będą powodzie i Ouse wystąpi z brzegów. Ziemia jest twarda jak kamień. Miną tygodnie, zanim przyjmie wodę. Proszę o tym pamiętać i nie ryzykować.

- Wiem, że ma pan rację. Będę uważać na Jamiego.

- Chcę, by uważała pani także na siebie.

- Oczywiście. Jako jego matka, muszę być cała i zdrowa.

- Na litość boską, kobieto! Czy we wszystkim, co powiem, musi się pani doszukiwać złych intencji? Nie mogłaby pani czasem trochę odtajać?

Milczałam, bo to, co mogłabym powiedzieć, nie nadawało się dla jego uszu. On chyba jednak zauważył coś w moich oczach, bo zanim zdążyłam odejść, chwycił mnie w objęcia i przyciągnął do siebie.

- Mógłbym sprawić, żeby pani odtajała - szepnął, miażdżąc mi zebra w uścisku.

- Kiedyś już to zrobiłem i mogę zrobić ponownie. Widziałem, jak usilnie starała się pani zachować między nami dystans. Ale przyjdzie czas...

- Nie przyjdzie. Nigdy - szepnęłam, z trudem oddychając. - Proszę mnie puścić, zanim ktoś wejdzie i nas zobaczy.

Puścił mnie. Zamknął oczy i odchyliwszy głowę do tyłu, ciężko westchnął. Widziałam, że zмага się z jakimiś emocjami, i miałam go ochotę pocieszyć i pocałować. Nagle sięgnął po porto, wychylił je jednym haustem i z trzaskiem odstawił szklanę na stół. Otworzył drzwi do holu i niepotrzebnie głośno zawołał o płaszcz.

Powinnam poczuć satysfakcję, ale nie wiadomo czemu zrobiło mi się dziwnie przykro. Czułam się pokonana i zaczęłam się zastanawiać, jak długo jeszcze zdołam postępować zgodnie z planem.

Rozdział szósty

Winterson i ja nie byliśmy zaprzysięgłymi wrogami. Nie chciałam, by odchodził w takim stanie ducha. Co prawda nie postąpił jak dżentelmen, ale sama go do tego sprowokowałam. Musiałam się nauczyć, jak daleko mogę się posunąć. Z Linasem nigdy nie miałam takich problemów.

Nie przejmując się, co pomyśli pani Goode albo Debbie, zarzuciłam na ramiona płaszcz, który dopiero co zdjęłam, i wybiegłam z domu. Ruszyłam w stronę Stonegate, licząc, że tam właśnie poszedł. Miałam rację. Jego konie nadal stały na dziedzińcu. Stajenni spojrzeli na mnie ze zdziwieniem. Jeden z nich otworzył przede mną tylne drzwi.

Winterson rozmawiał w kuchni z gospodynią Linasa i od razu mnie zauważył. Spojrzał na mnie zaniepokojony.

- Panna Follet! Coś się stało? - spytał.

Nie wiedziałam, co powinnam odpowiedzieć. Zbyt impulsywność wpędzała mnie w nie mniejsze kłopoty niż żale i pretensje, o których nie umiałam zapomnieć.

- Tak. Zapomniałam o czymś... - wyjąkałam.

Poprowadził mnie do holu, gdzie wyraźnie zaczęto już wiosenne porządki połączone z odnawianiem. Zwinięte dywany i osłonięte meble stały na środku, a na ścianach widać było świeże warstwy białej i bladoszarej farby, nadające pomieszczeniu jasny, czysty wygląd.

- Wejźmy tutaj. - Winterson otworzył przede mną drzwi do dawnego gabinetu Linasa. Tu także panował pewien bałagan. Z półek pozdejmowano książki, usunięto bibeloty z kominka, a krzesła okryto lnianymi pokrowcami. - Możemy tu rozmawiać? O co chodzi? O czym pani zapomniała?

- O manierach. Przyszłam pana... przeprosić. Pozwoliłam panu wyjść z mojego domu, nie podziękowawszy za opiekę, jaką nas pan otoczył, za kolejną dostawę żywności i za to, jaki był pan dobry dla Jamiego i dla mnie. Takie zachowanie jest niewybaczalne. Dziękuję panu. Nie jestem aż tak niewdzięczna, jak może się wydawać.

Oczywiście pana maniery też pozostawiają wiele do życzenia, ale tym razem to ja powinnam przeprosić. Jeszcze raz przepraszam.

Winterson słuchał z uwagą, powstrzymując się od śmiechu. Przeprosiny zostały przyjęte.

- Trzeba przyznać, że ostatnio żyła pani w dużym stresie. Dlatego wybaczam pani czasem dziwne zachowanie. Nie wracajmy już do tego. Jeśli zaś chodzi o moją, jak to pani określiła, dobroć, to cieszę się, że mogłem być tam, gdzie byłem najbardziej potrzebny. Sprawilo mi to prawdziwą przyjemność. Miałem nadzieję, że tak to właśnie będzie wyglądać, oczywiście z wyjątkiem pani choroby. Moje drzwi są zawsze dla pani otwarte. Jeśli pani zechce, Abbots Mere może być pani drugim domem.

Tym razem nie pozwoliłam, aby mój sceptycyzm wszystko zepsuł. Skinęłam głową i grzecznie podziękowałam, mówiąc, że Jamie zapewne tak właśnie sobie wyobraża przyszłość. Po tej uwadze oboje się uśmiechnęliśmy, a ja poczułam, że zrobiłam pewne postępy.

Winterson oparł dłoń na piramidzie dużych, oprawnych w skórę ksiąg. Zauważył, że na niego patrzę, ale na szczęście nie mógł czytać w moich myślach.

- To historia sztuki i nauki - powiedział. - Zatrzymam ją, a co do reszty, jeszcze nie wiem. - Poklepał dłonią stos brulionów zapisanych przez Linasa. - Nie mam czasu tego czytać. Może pani chce je zabrać? Mogą być ciekawe. Albo i nie.

- Chętnie je wezmę. To pewnie domowe rachunki, mogą się okazać przydatne.

- Jeszcze coś? - zapytał.

Nagle zaczęliśmy rozmawiać jak przyjaciele, a nie jak przeciwnicy, czyhający, aż ten drugi się odsłoni, żeby zadać cios. Pomyślałam, że skoro Winterson zostanie przez jakiś czas w mieście, to może zamiast się uskarżać, powinnam to wykorzystać. Może zbyt pochopnie postanowiłam go wykluczyć ze swojego życia.

- Są tu jeszcze jakieś pani rzeczy? Poza tamtymi drobiazgami, o których wspominała pani poprzednio, na pewno zostały tu jakieś prezenty, które dostała pani od Linasa...

Zawahałam się, ale ostatecznie postanowiłam wyznać mu prawdę.

- Rzeczy, które zabrałam przy poprzedniej wizycie, nie były prezentami od Linasa. Sama je sobie kupiłam i trzymałam tutaj, żeby były pod ręką, kiedy zostawałam na noc.

- Linas nie dawał pani prezentów?

- Nigdy. Nie zawracał sobie głowy takimi rzeczami.

- A ta czarna kobyła... to nie był prezent?

- Konie i powóz były własnością Linasa. Korzystałam z nich na takiej samej zasadzie, jak korzystałam z domu. Tak chciał Linas. Nie skarżę się, naprawdę. Po prostu chcę, żeby pan wiedział, jak było. Linas chyba się bał, że mogę od niego odejść. Może dlatego, że kiedyś powiedział mu pan, że nie można na mnie polegać. Nie wiem. Tak czy inaczej dziękuję za pana propozycję. Mogłabym wskazać kilka rzeczy i powiedzieć, że są moje, ale nie jestem pazerna ani nieuczciwa.

Winterson patrzył na mnie, marszcząc brwi.

- A pani, czy pani dawała prezenty Linasowi?

Jeśli miałam być szczerą, musiałam przyznać, że tak.

- Dawałam mu haftowane szlafmyce i skórzane rękawiczki. Sama szyłam dla niego jedwabne koszule wyjściowe i nocne. Wyhaftowałam mu piękny szlafrok z czerwonej wełny, a do tego takie same pantofle. Dawałam mu chusteczki do nosa z monogramem i satynowe, haftowane szelki. Kamizelka w paski, która tak się panu podobała, także była podarunkiem ode mnie. Oprócz tego dostał ode mnie obrusy i serwetki z monogramem, poduszki, haftowane pokrycia na krzesła i parawan przed kominek.

- O Boże!

- Nie ma o czym mówić, ale tak to właśnie wyglądało. Linas wiedział, że nie musi mi płacić, choć mężczyźni na ogół płacą swoim kochankom. Nigdy go nie prosiłam o pieniądze. Dał mi dom, miałam swój zakład, który przynosił zyski. Niczego więcej nie potrzebowałam. To on potrzebował moich uczuć, zainteresowania i opieki. No i Jamiego, oczywiście. Oboje byliśmy zadowoleni z takiego układu i uważam, że

go nie zawiodłam.

- Też tak uważam. Jeśli już ktoś kogoś zawiódł, to raczej Linas panią, panno Follet.

- Nieważne. Nie ma po co wracać do przeszłości. Już za późno, by cokolwiek zmienić. Żal mi Linasa, robił, co mógł. Mówię panu o tym dlatego, żeby raz na zawsze wyjaśnić kwestię, co w tym domu do mnie należy. Na szczęście Linas nie musiał nas ubierać. Za ubrania moje i Jamiego zawsze płaciłam sama.

- Jest pani najlepiej ubraną kobietą, jaką znam. Przez te wszystkie lata oszczędziła mu pani naprawdę dużych wydatków.

- To, czego nie wydał na mnie, dostanie teraz Jamie. Ale mówiąc o niewracaniu do przeszłości, miałam na myśli także naszą przeszłość. Teraz, kiedy mnie pan wysłuchał, na pewno lepiej mnie pan rozumie. Spróbujmy zapomnieć o tym, co było, i żyjmy dalej. Nie chcę jednak, by ktokolwiek zakładał, że jestem pańską kochanką, tylko dlatego że poprzednio byłam metresą Linasa i że teraz muszę pana odwiedzać w Abbots Mere. Nigdy nie zostanę pana utrzymanką.

- Zgadzam się z panią i nie zamierzam prosić, by pani nią została. Może być pani tego pewna.

- W takim razie rozumiemy się. Co za ulga. Teraz, bez tych wszystkich niedomówień i obaw, będzie mi dużo łatwiej spędzać czas w pana towarzystwie. Jesteśmy partnerami i działamy wspólnie dla dobra Jamiego. Bez krępujących aluzji do... wie pan.

Winterson znów z trudem powstrzymał uśmiech, choć nie uważam, by moje słowa były aż tak zabawne.

- Chce pani po prostu o tym zapomnieć?

- Całkowicie i na zawsze. Nie jestem święta, więc nie powiem, że już wybaczyłam i nie czuję w sercu żalu, ale nie zamierzam do znudzenia drażnić tego tematu.

Ponownie odwrócił się do okna, pewnie po to, bym nie mogła zobaczyć jego oczu.

- Skoro nie mogę liczyć na nic więcej... chyba powinienem być wdzięczny na-

wet za to częściowe odtajanie. Bałem się, że pani lodowaty stosunek do mojej osoby będzie trwał aż do późnej wiosny.

Nie zdążyłam pochwalić zgrabnej analogii, bo niespodziewanie trzasnęły otwierane drzwi, usłyszeliśmy podniesiony kobiecy głos, a potem do pokoju wkroczyła jego właścicielka.

- Och! A więc to jest ten ponury gabinet, który trzeba... Och! - pisnęła. - Panna Follet... eee... nie miałam pojęcia, że pani tu jest. Chyba nie przeszkadzam?

- Owszem, przeszkadzasz - odparł zimno Winterson.

- Ależ skąd, droga Veronique, wcale pani nie przeszkadza. To jest ten ponury gabinet, który trzeba pomalować. Ja zawsze pukałam, zanim weszłam.

Opanowałam się dużo szybciej niż ona po mojej odpowiedzi, ale nie mogłam nie widzieć, jak napawa oczy moim wyglądem. Miałam potargane włosy, byle jaki płaszcz i zwykły wełniany szal na ramionach. Trudno byłoby mnie nazwać chodzącą reklamą mojego zakładu krawieckiego, podczas gdy ona prezentowała świetnie uszyty kostium, choć jego karmazynowy kolor gryzł się z jej żółtymi włosami i sprawiał, że mleczna cera zdawała się blada i matowa.

Wzięłam ze stołu bruliony Linasa i spojrzałam na Wintersona, który był najwyraźniej zły.

- Dziękuję, zabiorę je. Nie chciałabym, by wpadły w niepowołane ręce - powiedziałam z lodowatym uśmiechem. - Linas mało kogo wpuszczał do swojego gabinetu, był pod tym względem niezwykle wybredny. Do widzenia, droga Veronique. Miło widzieć, jak... dobrze pani wygląda.

- Odprowadzę panią, panno Follet... - Winterson odzyskał głos i ruszył za mną do drzwi.

- Proszę, nie. Musi się pan zająć swoim gościem.

Otworzył mi drzwi wejściowe, ale zanim zdążył zaprotestować, byłam już w połowie mokrych schodów. Szybko szłam przez topniejący śnieg, czując na plecach jego wzrok. Nie odwróciłam się. Byłam obrażona.

Kiedy trochę ochłonełam, doszłam do wniosku, że zachowałam się jak idiotka, a

nawet gorzej. Poszłam tam z propozycją rozejmu, pragnąc jakoś poprawić nasze nadwątlone stosunki. Niestety, nie było to mądre posunięcie. Nie wiem, co sobie uroiłam. Jak mogłam oczekiwać, że nagle wszystko się zmieni tylko dlatego, że moim zdaniem nadeszła już pora na takie zmiany?

Nigdy nie zwracałam się do lady Slatterly per „droga”, ale skoro zamierzała bez przerwy wchodzić mi w drogę, postanowiłam zignorować jej tytuł. Złościła mnie jej obecność w domu Linasa, a kiedy pomyślałam, że być może Winterson tuli się do niej w łóżku, które kiedyś dzieliłam z jego bratem, ogarnęła mnie wściekłość. Domyśliłam się, że specjalnie czekała na niego. Doskonale wybrała czas. Tylko czemu on próbował ukryć swój cyniczny uśmiech? Czemu po prostu nie wyśmiał mojego absurdalnego zachowania?

Nie miałam dowodu, że Veronique jest jego kochanką. Zakładałam jednak, że tak jest, bo często widywałam ją w Abbots Mere. Pamiętałam, jak wdzięczyła się do niego i traktowała go jak swoją własność. Tak jakby była już panią jego domu. Winterson nie odnosił się do niej z czułością kochanka, ale też nie starał się jej zdecydowanie od siebie odsunąć. Czasem bywał wobec niej szorstki, a jeśli chciał, potrafił być naprawdę szorstki, ale to jej nie zniechęcało. Wciąż wracała z nadzieją, że trafi na jego dobry humor i nawet jeśli jej towarzystwo nie będzie mu sprawiać specjalnej przyjemności, to będzie ją tolerował i traktował łaskawiej.

Veronique była bogata, miała odpowiednie koneksje, wielu rozrywkowych przyjaciół i kochającego ojca, który hodował konie wyścigowe. Odnosił na tym polu spore sukcesy, a młodzi dzokeje, wywodzący się z lokalnych elit towarzyskich, adorowali jego śliczną, jasnowłosą córkę w nadziei, że uda im się uszczknąć odrobinę tego, co panna miała do zaoferowania. Widziałam, na co im pozwalała, bo wcale się z tym nie kryła. Być może zakładała, że jako kochanka Linasa kiedyś zachowywałam się podobnie. Tak to właśnie jest, kiedy się jest utrzymanką, a nie żoną. Veronique liczyła zapewne, że jej swobodne zachowanie zachęci Wintersona.

Tak czy inaczej byłam dla niej zwykłą pomocnicą krawcowej, która zapomniała, kim jest i co sobie uroiła. Veronique chciała zostać żoną lorda Wintersona, dlatego

moje bliskie związki z jego rodziną wydawały się jej niebezpieczne. Chciałabym, żeby raz na zawsze zrozumiała, jak bezpodstawne są jej obawy. Winterson traktował mnie zawsze z chłodną uprzejmością, podczas gdy ona nigdy nie wiedziała, na co może liczyć z jego strony. To nie działało na moją korzyść.

Jako kobieta nie czułam się przez nią zagrożona, ale jako matka bałam się o syna. Obawiałam się, że gdyby ona i moje niewinne dziecko przebywali jednocześnie w Abbots Mere, mogłaby spróbować zrobić mu krzywdę. Uroiła sobie, że zagrażam jej wielkiemu planowi, więc teraz, kiedy nie ma już Linasa, sama będę musiała się przed nią bronić. Na szczęście zawsze byłam samodzielna i nie bałam się wziąć sprawy w swoje ręce.

Po dwóch tygodniach nieobecności w domu miałam wiele do nadrobienia. Zastanawiałam się, co powinnam uczynić ze względu na dobro syna, własne i zakładu, ale nie doszłam do żadnych wniosków. Postanowiłam więcej o tym nie myśleć i po prostu żyć dalej. Niestety, nie było to takie łatwe, jak mogłoby się wydawać.

Poszłam zobaczyć, co się dzieje w zakładzie. Prue nie narzekała, że mnie nie było, ale sama wiedziałam, jak bardzo potrzebowała pomocy.

- Już za tydzień bal z okazji dnia świętego Walentego. Do tej pory codziennie mamy przymiarki, a jedna z dziewcząt jest chora. Jeśli mamy zdążyć z robotą, musimy zatrudnić praktykantkę. Kończy się koronka. Mam nadzieję, że w tych ostatnich paczkach od pana Folleta znajdzie się jej choć trochę.

- Nie otworzyłaś ich jeszcze?

- Czekałam na ciebie.

Prue z wysiłkiem pchnęła po stole dwie wielkie, ciężkie bele. Obie były starannie owinięte woskowanym płótnem i związane szpagatem.. W środku znajdowały się oddzielne paczki zawierające różne materiały. Były tam wspaniałe przezroczyste muśliny, jedwabie przetykane złotą nitką, drukowane perkale z Indii, brokaty, wstążki, złote i srebrne galony do obszywania brzegów i najpiękniejsze francuskie koronki. Były też haftowane skórkowe rękawiczki, futerka, wachlarze, jedwabne pończochy, aksamity, kaszmirowe szale i siateczki cienkie jak pajęczyna, których angielskie ko-

biety łaknęły jak słońca. Prawdziwe zakazane owoce, egzotyczne i rzadkie. Ich wartość była wprost nieoceniona.

Oglądając i rozkładając nowy towar, zachwycaliśmy się każdym kolejnym pakunkiem. Nigdy jeszcze Pierre nie przywiózł nam takich skarbów.

- Skąd on to bierze? Te rzeczy są bezcenne - szepnęłam, oglądając tiul.

- Nie są bezcenne... - Prue była realistką. - Aksamit z Lyonu pójdzie po czternaście szylingów za metr, za tę francuską wełnę weźmiemy po trzy szylingi. A spójrz na te galony. Ten za trzy funty i cztery pensy za metr, a tamten za cztery funty i sześć pensów.

- Zastanawiam się, jak Pierre za to wszystko płaci? Muszę go zapytać. Pieniądze, jakie dostał od nas za poprzednią dostawę, nie starczyłyby na ten towar. Nawet gdyby liczyć po francuskich cenach. Spójrz na to. Nigdy jeszcze nie miałyśmy tak farbowanego muślinu.

- Ani rosyjskich soboli. Będzie z nich cudowny kołnierz i mankiety do twojej szarej pelisy. A te chińskie jedwabie? - Prue uniosła cudnie lśniąca materiały. Od razu zwróciłam uwagę na jeden w jasne paski na jeszcze jaśniejszym tle. Czułam, że nasze młode klientki będą się nim zachwycać.

- Nie rozumiem - powiedziałam, starając się nie być zbyt krytyczna. - Pierre wydał na to dużo więcej, niż od nas dostał.

Prue spojrzała na mnie spod zmarszczonych brwi. Pierwszy raz tak otwarcie rozmawialiśmy o naszych interesach z Pierre'em. Do tej pory sprawa była prosta. Dostarczał towar, po sprzedaży dzieliliśmy pieniądze, a część z nich przeznaczaliśmy na następny zakup. Zarobek był dobry i wszyscy byli zadowoleni, ale teoretycznie Pierre nie mógł wydać więcej, niż mu przypadło po podziale.

- Myślisz, że on osobiście jeździ po to do Francji?

- Nie mam pojęcia. Wydawało mi się raczej, że korzysta we Francji z usług pośrednika, który potem przekazuje jego towar na jakiś angielski statek.

- Myślałam, że to francuskie statki przewożą towar przez Kanał.

- Może masz rację. Nie wiem, jak to organizują. Pierre na pewno pracuje sam i

zajmuje się tylko tkaninami. Mój ojciec miał własne statki, ale Pierre działa na dużo mniejszą skalę.

- Kto wie, do czego zdolni są Francuzi? - Prue uśmiechnęła się. - Im mniej o tym wiemy, tym lepiej. Do tej pory nie zaprzętałyśmy sobie tym głowy, dlaczego teraz miałybyśmy się tym przejmować? Gdzie mój zeszyt? Muszę to wszystko zapisać, zanim zaczniemy sprzedawać. Może wystawisz w oknie informację o nowym towarze?

- Dobrze, i przy okazji powieszę ogłoszenie, że zatrudnimy praktykantkę.

- Tobie też potrzebna będzie suknia na bal walentynkowy. Powinnyśmy były wcześniej o tym pomyśleć.

- Jestem w żałobie, Prue. W tym roku nie będę chodzić na bale.

- Nie będziesz chodzić na bale? - Prue spojrzała na mnie z niedowierzaniem. - Możesz sobie na to pozwolić? Dobrze wiesz, że zawsze, gdy pojawisz się na balu w Assembly Rooms w jednej z naszych sukien, od razu sypią się zamówienia. Bal walentynkowy jest jednym z najpopularniejszych w roku.

- Wiem, ale do tej pory zawsze chodziłam w towarzystwie Linasa. Jeśli kilka tygodni po jego śmierci zjawię się na balu sama, to jak twoim zdaniem będzie to wyglądać? Ludzie zaczną gadać, że od razu szukam następnego kochanka. Trochę rozsądku, Prue.

Prue nie obraziła się, ale zastanowiła się chwilę.

- A może poszłabyś z bratem pana Monktona? Dopiero co spędziłaś w jego domu dwa tygodnie. Myślisz, że odmówi, jeśli go poprosisz?

- Po pierwsze, nie będę go prosić. A po drugie, on też jest w żałobie. Nie ma o czym mówić. Gdybym wybrała się z nim na bal, wszyscy uznaliby, że jestem jego kochanką. Wiesz, jak ludzie gadają - dodałam, widząc, że Prue wznosi oczy do nieba.

- Denerwujesz się, bo nie chcesz przyznać, że dużo o nim myślisz. Młoda damo, może innym uda ci się wmówić, że nie lubisz lorda Wintersona, ale ja nie dam się oszukać. Od wielu lat szyję kobietom suknie i niewiele zdoła się ukryć przed moimi oczami. Jeśli jednak koniecznie chcesz odgrywać rolę męczennicy, proszę bardzo. Tylko nie pytaj mnie potem, dlaczego od lutego do Wielkanocy mamy tak mało za-

mówień.

- Zrozum mnie, Prue! - krzyknęłam rozdrażniona.

- Rozumiem. Lepiej niż przypuszczasz. A teraz szybko napisz ogłoszenie i bierzmy się do pracy, dobrze? Ogłoszenie brzmiało tak:

„Madame Helene z «Follet i Sanders» na Blake Street zawiadamia Szanowne Klientki i Panie odwiedzające York, że jej sklep i zakład krawiecki dysponują dużym wyborem paryskich nakryć głowy. Rękawiczki i czepki w cenach od jednej gwiney. Najlepsze francuskie i brukselskie koronki, tiulowe welony i woale, a także atłasy, krepy, aksamity i muśliny. Szyjemy suknie ślubne i żałobne. Najmodniejsze fasony z gwarancją świetnego dopasowania. Krótkie terminy.

Zatrudnimy praktykantkę do pracowni sukien”.

Wystawiając ogłoszenie w oknie zakładu, zastanawiałam się, czy zgłosi się jakaś czternastolatka, której życie tak samo jak moje nagle przybrało nieoczekiwany obrót.

Odwilż pozwoliła ludziom ruszyć się z domu i nasz zakład przeżywał istne oblężenie. Klientki oczekiwały, że ich zamówienie będzie zrealizowane w rekordowym terminie, zupełnie jakby uważały, że my odrobimy za nie stracony czas. Od października ubiegłego roku, kiedy Nelson zginął w bitwie pod Trafalgarem, najnowszym krzykiem mody były stroje *à la Nelson*. Już wcześniej naśladowano lady Emmę Hamilton: styl empire, biały atłas, tiul i muślin, odkryta głowa i włosy przycięte tuż przy uszach. Teraz, gdy Emma straciła ukochanego admirała, wszystkie panie chciały mieć suknie jak ona, z białego atłasu obszytego złotem, srebrem lub koronką i turban przybrany białymi piórami z wyhaftowanym słowem „Nelson”.

W lutowym numerze „Bell's Court and Fashionable Magazine” można było obejrzeć najnowszy fason nazwany „Trafalgar Dress”, ale na razie nie pokazywałam tego pisma w zakładzie. Nasze hafciarki i tak już pracowały dzień i noc, ozdabiając suknie girlandami, diademami, statkami, flagami i nazwiskiem admirała, co zajmowało mnóstwo czasu. W modzie były czarno obrzeżone wachlarze, wstążki, szale, chusteczki do nosa, ozdoby do włosów, a nawet torebki i rękawiczki. Jeśli ktoś chciał, mógł się ubrać od stóp do głów *à la Nelson*.

Zanim wyszłam do domu, Prue ponownie poruszyła temat balu walentynkowego, próbując przemówić do mojego sumienia. Odkąd Prue zaczęła mi pożyczać na bale suknie szyte w jej zakładzie, przybywało nowych zamówień. Okazało się to najlepszym sposobem na reklamę. Teraz występowałam na balach w moich własnych sukniach, ale kimże ja byłam, by narzekać, gdy najzamożniejsze z naszych klientek zamawiały kopie moich projektów? Dla takiego prowincjonalnego zakładu jak „Follet i Sanders” była to świetna okazja do zarobku.

Usiadłam w fotelu z synkiem na kolanach i razem przeglądaliśmy najnowszy numer „Bell's Court”. Każdej modelce nadawaliśmy jakieś imię.

- To jest panna Księżycowa, cała biała. Zrób sobie takiego robaka. - Pokazał palcem długie boa z piór i ziewnął. Ciepłutki i rozespany, wyglądał tak uroczo i słodko, że można by go zjeść.

- Zapytajmy, co myśli o tym pani Goode... - Nie pierwszy raz zwracałam się o radę do opiekunki syna. Ale tym razem nie chodziło mi o suknię, tylko o to, czy winnam pójść na bal.

- Sytuacja jest skomplikowana, prawda? - Pani Goode uśmiechnęła się łagodnie, dając mi do zrozumienia, że wie, o co pytam. - Suknia żałobna na bal, na którym w zasadzie nie należałoby się pojawiać... Jednakże ma pani zobowiązania wobec swojej współpracownicy, a poza tym taka żałobna suknia może być wyrazem smutku po stracie zarówno lorda Nelsona, jak i pani ukochanego. Należy też pamiętać, że można iść na bal, ale na nim nie tańczyć. Wie pani zapewne, że wiele kobiet uczęszcza na bale tylko po to, żeby się pokazać i podtrzymać stosunki towarzyskie. W pani przypadku tak to właśnie będzie odebrane.

- Biała czy czarna?

- Jedno i drugie. Niech będzie wieloznaczna - orzekła z uśmiechem pani Goode, uradowana, że się z nią zgadzam. - Zabrać już Jamiego na górę?

Byłam zadowolona, ponieważ w zasadzie ktoś inny podjął za mnie decyzję. Powiedziałam „w zasadzie”, bo w głębi serca musiałam przyznać, że z radością skorzystam z okazji, żeby się wystroić, spędzić wieczór w towarzystwie dawno niewidzia-

nych znajomych i choć na kilka godzin zapomnieć o zmartwieniach. Mogłam sobie mówić, że robię to dla Prue, ale prawda była taka, że po śmierci Linasa straciłam punkt zaczepienia i czułam się jak rozbitek dryfujący po morzu. Byłam bardziej zagubiona niż wtedy, gdy nieoczekiwanie straciłam ojca. Czy Prue miała rację i naprawdę każdy mógł zobaczyć, co noszę w sercu?

Rozdział siódmy

W pierwszym tygodniu roztopów odniosłam wrażenie, że moje zmartwienia po cichu się mnożą i coraz bardziej irytowało mnie to, że nie umiem zdecydować, co z nimi zrobić. Takie niezdecydowanie było zupełnie do mnie niepodobne.

Stan mojej matki pogarszał się i nic nie mogłam na to poradzić. Mogłam ją jedynie odwiedzać tak często, jak się dało, i mieć nadzieję, że będę przy niej, kiedy będzie mnie potrzebowała. Dużo pilniejsza wydawała mi się sprawa Pierre'a. Chciałam o tym porozmawiać z kimś poza Prue, której opinia nie była obiektywna. Wiedziałam, że moja współpracowniczka najchętniej zostawiłaby wszystko bez zmian, ale czułam, że ryzyko staje się zbyt duże. Tym bardziej że dotyczyło ono także mojego synka. Dopóki żył Linas, czułam się bezpieczniejsza.

Wiedziałam, że przemyt jest nielegalny, a mimo to łamałam prawo, tak samo jak tysiące innych praworządnych obywateli. Dopiero ostatnia dostawa towaru uświadomiła mi, że Pierre musiał być zaangażowany w coś więcej niż tylko przemyt tkanin i dodatków krawieckich. Wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy. Może robił to specjalnie dla mnie, licząc, że w ten sposób zaskarbi sobie moją wdzięczność? Jeśli tak było, musiałam to przerwać, zanim sprawy zajdą za daleko.

Nie było mi jednak dane zająć się tą sprawą na spokojnie i w dogodnej dla mnie chwili, bo przeznaczenie ponownie wtrąciło się w moje życie. Pani Goode, Debbie i ja z synkiem staliśmy na kamiennym moście i patrzyliśmy, jak szybko płynie wezbrana, brunatna rzeka Ouse. Poziom wody był tak wysoki, że niemal sięgał górnej części łuku mostu, a domy stojące na obu brzegach były podtopione. Ryczące, spienione wody

niosły pnie drzew, łodzie i różne śmieci, miotając nimi, jakby to były małe patyczki. Jamie trzymał mnie mocno za szyję i zafascynowany patrzył na szalejący żywioł. Po moście za naszymi plecami przejeżdżały konie i wozy. Niektóre z nich wiozły meble i bagaże. Nagle przez ogólny hałas przebił się czyjś głos.

- Panno Follet, to niebezpieczne. Woda bezustannie się podnosi - oznajmił mężczyzna będący jednym z problemów, z którymi nie umiałam sobie poradzić.

Na jego widok moje uczucia wahały się od euforii do chęci buntu i oporu.

- Stryjek Burl! - zawołał Jamie, który nie miał takich rozterek i zaczął się wyrwać, wyciągając do niego ramiona. - Stryjku, weź mnie na ręce - poprosił, natychmiast zapominając o mojej obecności.

- Nic nam nie grozi - odparłam niezadowolona, że muszę się usprawiedliwiać. Niechętnie patrzyłam, jak mały z wyrazem tryumfu na buzi tuli się do Wintersona.

- Oczywiście, że nie. Ale uważam, że już pora zejść z mostu - oznajmił i wielkimi krokami ruszył w stronę brzegu.

Wiedział, że dopóki trzyma w ramionach mojego syna, pójdę za nim wszędzie, bez żadnej dyskusji. Czułam, że tylko udawał spokój, nie chcąc denerwować dziecka.

- Dokąd pan idzie? - zawołałam.

Zatrzymał się łaskawie i uśmiechnięty czekał, aż do niego podejdem. Obaj się uśmiechali i wspólnie coś knuli. Ojciec i syn, podobni do siebie jak dwie krople wody. Patrząc na Jamiego, pragnęłam mieć kolejne dzieci, kolejne małe bezbronne istotki, zależne tylko ode mnie, które będę kochać i rozpieszczać. Chciałam mieć te dzieci z Wintersonem. Dzięki nim poczułabym się spełniona i płodna. Nie mam zwyczaju zalewać się łzami, ale tym razem nie zdążyłam otrzeć oczu i Winterson dostrzegł ich wilgotny błysk.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Nic nam nie grozi - powiedział spokojnie. - Proszę się trzymać blisko mnie. Coney Street wkrótce znajdzie się pod wodą, chodźmy lepiej Davygate, tam jest wyżej. Mam gości, którzy chcieliby was poznać.

- Kto taki? - wykrztusiłam przez ściśnięte gardło. - Ostatni pana gość był osobą,

której wcale nie miałam ochoty spotykać.

- To wspólni znajomi. Najpierw pojechali na Blake Street, a dopiero potem do Stonegate. Dlatego poszedłem was poszukać.

- I znalazłeś nas! - krzyknął z dumą Jamie.

- Tak, mały, znalazłem.

W milczeniu szliśmy gęsiego zalanymi wodą ulicami. Zbliżając się do Thursday Market, gdzie zbiega się wiele ulic, poczuliśmy zapach świeżo parzonej kawy dobiegający z okolicznych kawiarni. Patrzyłam pod nogi, ale Jamie obserwował okolicę z ramion Wintersona.

- Wujcio Pare! - zawołał malec. - Mamo, popatrz. Wujcio Pare!

Uniosłam głowę, pewna, że mały się pomylił, i ujrzałam dwóch mężczyzn wychodzących z jednej z kawiarni. Szli w naszą stronę, pochłonięci rozmową. Jeden z nich był rzeczywiście Pierre'em. Co robił w Yorku? Czułam, że muszę go przedstawić, choć wolałabym tego uniknąć.

Pierre usłyszał swoje imię i zaskoczony uniósł głowę. Zawahał się, a potem jednym słowem odprawił swojego kompana, który zawrócił i szybko się oddalił. Zaniepokoił go widok Jamiego w ramionach obcego mężczyzny, ale widząc mój uśmiech, odetchnął z ulgą i ciepło się do mnie uśmiechnął.

Pocałowałam go w oba policzki, jak zwykle przy powitaniu, a on elegancko ucałował moją dłoń. Kiedy się zbliżył, poczułam, że cały jest przesiąknięty dymem tytoniowym. Odezwał się po francusku, co przyjąłam z zadowoleniem, wiedząc, że Winterson go zrozumie.

Jamie chciał przytulić się do Pierre'a i wyciągnął do niego rękę, wymuszając w ten sposób prezentację obu panów. Wiedząc, że niczego nie muszę się obawiać, postanowiłam dopełnić formalności.

- Pan pozwoli, że przedstawię. Mój kuzyn monsieur Follet mieszka razem z moją rodziną w Bridlington. Pierre, poznaj lorda Wintersona, brata pana Monktona.

Nie zamierzałam precyzować dokładnego pokrewieństwa między mną i Pierre'em. Uznałam, że „kuzyn” zupełnie wystarczy. Rodzina mojego ojca używała nazwiska

Follethorpe od trzech pokoleń.

Winterson przemówił najczystszą francuszczyzną. Zapytał Pierre'a o zdrowie mojej mamy, o stan dróg do Brid i jak długo zamierza zostać w Yorku. Wiedziałam, że to były podchwytliwe pytania. Chciał usłyszeć, co Pierre powie o zdrowiu mojej mamy. Nie spodobało mi się, że wykorzystuje Pierre'a, by okazać, że wątpi w moje słowa.

- Pani Follet od roku choruje - odparł Pierre z ponurą miną. - Przyjechałem do aptekarza na Petergate. Zawsze tam kupuję dla niej lekarstwo, bo aptekarz przygotowuje specjalnie coś silnego na uśmierzenie bólu.

- Zamierzałeś nas odwiedzić przed wyjazdem z miasta? - zapytałam.

- Nie tym razem, *ma chère*. Wybacz, ale nie mam czasu.

- Chodź z nami, wujciu Pare. - Jamie wydał usta. - Idziemy do domu papy.

Jamie siedział na rękach Wintersona. Ich twarze znajdowały się zaledwie kilkanaście centymetrów od siebie i mimo różnicy wieku trzeba było być naprawdę ślepym, by nie dostrzec uderzającego podobieństwa. Dla Jamiego Stonegate wciąż było domem papy i musiało minąć trochę czasu, zanim to się zmieni. Zabrzmiało to jednak dość niefortunnie. Pierre wiedział, że dom należy teraz do Wintersona. Słyszając takie słowa z ust mojego syna, musiał się rozzłościć.

Po sposobie, w jaki spojrzał na Jamiego i na Wintersona, zrozumiałam, że rozpoznał pokrewieństwo. Co prawda nigdy nie widział Linasa, ale wiedział, że bliźniacy nie byli identyczni. To była katastrofa. Nic dziwnego, że nie chciał nas odwiedzić.

- Niestety... *petit* Jamie. Muszę zawieźć lekarstwo babci Damzell. Może następnym razem, dobrze?

- Pozdrów mamę i daj mi znać, jak się czuje. I co u chłopców.

- Oczywiście. - Pierre uklonił się, ale kiedy na mnie spojrzał, jego oczy były zimne i pełne wyrzutu.

Skłonił głowę przed Wintersonem, uśmiechnął się do Jamiego i pocałował jego małą rączkę.

- Bezpiecznej podróży, monsieur. Mam nadzieję, że zdąży pan do domu przed

zmrokiem? - zawołał za nim Winterson.

- Bez problemu - odkrzyknął Pierre i od razu zrozumiał, że dał się przyłapać.

Nie mógł już na to nic poradzić, więc tylko wzruszył ramionami i poszedł dalej. Było już południe i nawet przy dobrym stanie dróg nikt nie zdołałby pokonać czterdziestu mil i dotrzeć do Brid przed zmrokiem. Natomiast do Foss Beck Common można było zdążyć. Patrzyliśmy, jak Pierre odchodzi i nie oglądając się, znika za rogiem. Poczulałam, że stało się coś niedobrego.

- Ma pani bardzo interesującą rodzinę, panno Follet - stwierdził Winterson.

- Nie teraz - mruknęłam pod nosem. - Chodźmy, pana goście czekają.

Kiedy zbliżyliśmy się do kawiarni, z której wyszedł Pierre, Winterson zwolnił i zajrzał do środka przez okno. Sala była szara od dymu, ludzie siedzieli pochyleni nad gazetami i różnymi ogłoszeniami. Na stołach obok papieru i piór stały miedziane dzbanki z kawą, filiżanki, brudne naczynia i gliniane fajki. Nigdy nie przypuszczałam, że Pierre bywa w takich miejscach, ale wspominał przecież o jakichś swoich kontaktach w mieście. Pewnie właśnie w takich miejscach mógł dowiedzieć się czegoś o swoim ojczystym kraju. W czasach przed Napoleonem wielu Francuzów wyjechało do Anglii. W takiej kawiarni nikt zapewne nie zwracał uwagi na jego pochodzenie. Chciałabym jednak wiedzieć, co tu robił i dlaczego nie chciał nam przedstawić swojego towarzysza.

Myśląc o remoncie w Stonegate i panującym tam w związku z tym rozgardiaszem, wolałabym wrócić na Blake Street. Ale kiedy przekonałam się, kim są goście Wintersona, odetchnęłam z ulgą.

- Stryjek Medith! - Jamie rzucił się w kierunku nóg młodego wikarego. - Gdzie stryjenka Cynthia?

Medworth Monkton wziął małego na ręce i roześmiał się.

- Stryjenka jest na górze i jak zwykle strofuje służbę za lenistwo.

Jeśli Linasa można było porównać do starego, zajeżdżonego konia wyścigowego, a jego bliźniaka do wspaniałego silnego wierzchowca, jakich używa się do polowania na lisy, to najmłodszy z braci, Medworth, przypominał wytrzymałego kuca z

północy. Silny i pełen energii, z opadającym na czoło nieposłusznym puklem czarnych włosów, wyglądał przyjemnie, choć nie był tak męski jak jego starszy brat, na widok którego wszystkie kobiety traciły wątek, obojętnie o czym rozmawiały. Medworth trzymał Jamiego na rękach, Winterson stał obok, nie było jednak wątpliwości, który z mężczyzn był ojcem małego.

Nowo pomalowane ściany jadalni miały odcień bladej żółci i bieli. W oknach nadal nie było zasłon. Staliśmy na pozbawionej dywanów podłodze, wdychając zapach wilgotnej farby. Nie mogłam uwierzyć, że zwykle pomalowanie ścian tak powiększyło i rozjaśniło ten pokój.

Żona Medwortha, może dwa lub trzy lata starsza od niego, była typem kobiety matczynej i wesolej. Kiedy do nas zeszła, miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy, jak ktoś, kto właśnie dał burę cudzej służbie. Objęła mnie i powiedziała, że poradziła szwagrowi, by w jadalni położył dywan w kolorze czerwonego wina, na którym nie będzie widać plam, ale jemu ten pomysł chyba się nie spodobał. Medworth i Cynthia byli bezpośredni i stanowili szczęśliwą parę. Parafianie kochali ich za dobre serce, a także za otwartość i prostolinijność. Cynthia, która spodziewała się trzeciego dziecka, oznajmiła, że gdyby nie to, nie przejmowałiby się konwenansami i poszliby na bal walentynkowy w ten weekend.

- Myślę, że nawet mogłabym zatańczyć gawota, ale już nic szybszego - stwierdziła smutno i zdjęła z jednego z krzeseł lniany pokrowiec. - Och, jakie piękne siedzenia. Burl, zastanawiam się...?

- To dzieło panny Follet. I od razu oświadczam, moja droga bratowo, że nie będę ich wymieniał. Natomiast mogę zamiast ciebie dotrzymać pannie Follet towarzystwa na balu. Biorąc pod uwagę twój stan, pozwalam ci usiąść na tym dziele sztuki - dodał.

Cynthia zachichotała i usiadła.

Winterson musiał wyczuć, że na niego patrzę, bo odwrócił się i spojrzał na mnie wyzywająco, jakby czekał, że podejmę temat balu tu i teraz, w obecności jego brata.

Byłam tak zaskoczona odmiennym stanem Cynthii, że zamiast im pogratulować, pozazdrościłam jej. Zrobiło mi się smutno, że to nie ja spodziewam się dziecka. Led-

wo zdołałam się powstrzymać, żeby nie dotknąć ręką swojego płaskiego brzucha.

- Nie wiem... Nadal obowiązuje mnie żałoba... Nie jestem pewna.

- Czego nie jest pani pewna? - zapytał Winterson.

- Czy powinnam iść na bal.

- Zrób, co uważasz za właściwe, moja droga - powiedział Medworth. - Ale pozwól, że coś powiem. Linas nie chciałby, żebyśmy miesiącami nosili po nim żałobę. Nikt z naszej rodziny nie okazałby najmniejszego zdziwienia, widząc panią na balu. A jeśli pójdzie pani w towarzystwie Burla, inni też nie będą robić żadnych uwag.

- Ma pan rację, dziękuję. Ale nie będę tańczyć.

Medworth zerknął na żonę, która z aprobatą skinęła głową, i jego uśmiech złągodniał.

- Droga żono, nie wiem, czemu sami o tym nie pomyśleliśmy. Możemy przecież pójść na krótko i wcale nie musimy udać się w tany. Zagram w karty, porozmawiam z przyjaciółmi. Ludzie nas zobaczą. Co ty na to?

Cyntia była córką farmera. Miała kręcone brązowe włosy, policzki rumiane jak jabłuszka i oczy jak pestki.

- Jeszcze dziś kupimy bilety. - Uśmiechnęła się. - Nie wiem, w co się ubrać. Powinnam chyba włożyć coś czarnego?

Pomyślałam, że Cynthia zechce porozmawiać o sukniach, ale myliłam się. W przyszyły wtorek ich najstarszy synek kończył trzy lata i Cynthia chciała zaprosić Jamiego na urodziny. zaproponowała, żebym go przywiozła po śniadaniu, razem z panią Goode. W końcu pojechali. Odetchnęłam z ulgą, choć po ich wyjściu zapanowała pełna napięcia cisza.

Zbliżała się pora lunchu i Jamie był już głodny. Nie mogłam kazać czekać jemu i obu kobietom, podczas gdy ja i Winterson będziemy powiększać wyrwy, jakie w wizerunku mojej rodziny uczynił Pierre, albo dyskutować nad irytującym tematem balu i faktu, że nieoczekiwanie postanowił pójść na niego w moim towarzystwie.

- Co pani myśli o tym czerwonym dywanie? - zapytał, kiedy wróciliśmy do jadalni.

- Uważam, że lepsza będzie blada zieleń lub głęboki odcień złota. Szczególnie jeśli rzeczywiście zechce pan zatrzymać te obicia na krzesłach.

- Nawet nie przyszło mi do głowy, by je zmieniać. A zasłony? W kolorze dywanu?

- Nie. Dałabym tu biały brokat obszyty złotymi pomponikowymi frędzlami, żeby pasowało do złocenia na architrawie - odparłam bez wahania, bo już dawno to wymyśliłam.

- Białe zasłony? Naprawdę?

- Będą powtórzeniem sufitu i fryzu, i będą odbijać światło. Wąskie okna od razu wydadzą się szersze. Ten pokój zawsze był taki bez wyrazu, dlatego zrobiłam kwieciste pastelowe pokrycia na krzesła. Ale czy nie powinien pan o to pytać lady Slatterly? Przecież to głównie ona będzie tu jadała?

- Widzę, że osoba lady Slatterly nie daje pani spokoju. Zupełnie niepotrzebnie.

- Mam mokrą spódnicę. Muszę wracać do domu.

- Oczywiście, ale później pozwolę sobie panią odwiedzić.

- Całe popołudnie będę w zakładzie. Umówiłam się z wieloma klientkami.

- W takim razie przyjdę wieczorem.

- Zostaje pan w mieście na noc?

- Jeśli to będzie konieczne. Ale uprzedzę pani pytanie i od razu powiem, że lady nie będzie mi towarzyszyć.

- Wolałabym, aby przyszedł pan jutro - zaproponowałam bez przekonania.

Nie czułam się na siłach dyskutować jednocześnie o lady Slatterly i o sprawach tak intymnych jak łóżka, w których kiedyś sypiał Linas i ja. Bałam się, że nie zapanuję nad głosem, który zdradzi niepewność moich uczuć.

- Przyjdę dzisiaj. Po kolacji - oznajmił i z ręką na klamce czekał, aż do niego podejść. - O co chodzi? Moja bratowa panią rozzłościła? - zapytał miękko.

Na to pytanie nie miałam gotowej odpowiedzi. Przyłożyłam więc rękę do czoła i zakrywając oczy, pokręciłam przecząco głową.

- W takim razie co się dzieje? Powiniennem był poczekać z remontem? Zdener-

wował panią mój pośpiech?

- Nie. Chodzi o to, że kiedy wcześniej... był pan z Jamiem... razem... - Nie byłam w stanie więcej powiedzieć, ale moje słowa zdradziły to, co powinnam była zachować dla siebie. Postąpiłam niemądrze. On jednak wydawał się mnie rozumieć.

- Pani kuzyn rzeczywiście zauważył podobieństwo, tak samo jak Medworth.

- A zatem nie powinien być pan widywany w towarzystwie Jamiego. Chyba pan to rozumie - szepnęłam.

- To nie rozwiąże sprawy. Dobrze pani wie.

- A co ją rozwiąże?

Usłyszeliśmy zawroźenie Jamiego i klamka, którą trzymał Winterson, zaczęła się poruszać. Nie spuszczać ze mnie wzroku, powoli uchylił drzwi, na tyle, że rozłoszczony chłopiec zdołał wsunąć przez szparę czerwoną z oburzenia buzię.

- Stryjku Burl! - krzyknął.

- Hola! - zawołał srogo Winterson. - Zachowuj się, proszę, młody człowieku.

Wydawało się, że Jamie zaraz zacznie płakać ze złości, ale opanował się i spojrział w górę na Wintersona.

- Przepraszam, stryjku Burl. Mamo, jestem głodny, jestem bardzo głodny.

Chwyciłam małego w objęcia i przytuliłam. Nie umiałam ukryć tego, że od jakiegoś czasu bardzo pragnęłam mieć kolejne dziecko.

Popołudnie spędzone w zakładzie na ustalaniu z klientkami fasonów, dobieraniu tkanin i kolorów i omawianiu szczegółów wykończenia było męczące, lecz przyjemne. Nasze klientki były w różnym wieku. Od statecznych matron i wdów po młode panienki, córki miejscowej elity, wybierające się właśnie na swój pierwszy bal. Wróciłam do domu późno, ale zdążyłam jeszcze pocałować Jamiego na dobranoc i opowiedzieć mu bajkę.

Wizyta Wintersona była nieformalna, nie widziałam więc powodu, by się stroić. Przebrałam się w luźną fioletową suknię z falbankami przy kołnierzu i mankietach, a na nią włożyłam szary, sięgający ziemi bezrękawnik. Włosy upięłam do góry za pomocą dużego szylkretowego grzebienia.

Winterson powiedział do mnie „moja śliczna”, ale przejrzałam się w lustrze i zauważyłam jedynie, że schudłam i wyglądam na zmęczoną.

Przyjechał, zanim zdążyłam zjeść kolację. Po jego wejściu moja niewielka jadalnia jeszcze bardziej się skurczyła. Usiadł na niebieskiej aksamitnej kanapie i zajął ją całą, podczas gdy ja mieściłam się na niej z Jamiem i z panią Goode.

- Może woli pan przejść do salonu? - zapytałam, bo tam mogłabym zachować większy dystans między nami.

- Tu jest przytulniej. Proszę skończyć kolację.

Kiedy Linas przeniósł się do Abbots Mere, Winterson składał mi wizyty. Siadywał w salonie i przekazywał mi informacje o stanie jego zdrowia. Ale wtedy nie rozmawialiśmy o przyszłości Jamiego, o naszych stosunkach ani o mojej rodzinie, czy o czymś tak ulotnym jak bal walentynkowy.

- Mógł pan mnie uprzedzić. Miałabym czas, żeby...

- Żeby wszystko odwołać. Tak właśnie pomyślałem. Nie pozwolę, aby poszła pani sama bez eskorty. Linas byłby z tego niezadowolony - dodał, dziękując za szklanczkę porto, którą mu podałam.

- Czy musimy do wszystkiego mieszać Linasa? Zastanowił się pan, jak to będzie wyglądało, kiedy pojawimy się na balu razem? Nie domyśla się pan, jakie to wywoła plotki?

- Dość zaskakujące pytanie, zwłaszcza że to pani zaproponowała, by nie mówić ciągle o Linasie - stwierdził z chłodnym sarkazmem. - Nie zastanowiła się pani, co pomyślą ludzie, jeśli zjawimy się na balu oddzielnie, udając, że się nie znamy? Matka i opiekun chłopca, którzy ze sobą nie rozmawiają? Jakie podejrzenia wzbudzi coś takiego? Jak pani myśli?

Milczałam, bo uznałam, że miał rację i był bardziej przewidujący niż ja. Ja umiałam tylko zadręczać się przeszłością.

- Zapomniała pani? - zapytał już łagodniej.

- Nie. Nie zapomniałam.

Poznaliśmy się na balu walentynkowym w Assembly Rooms na Blake Street.

Tańczyliśmy ze sobą. Żadne z nas wiele nie mówiło, ale oboje wiedzieliśmy, że między nami zaiskrzyło. Potem poznałam Linasa, który nie zrobił na mnie żadnego wrażenia. Tamtego wieczoru głównym tematem rozmów na balu byłam ja i Winterson. A jednak to Linas złożył mi propozycję i ja ją przyjął. Potrzebował mnie bardziej niż jego brat. Poza tym nie byłam w sytuacji, w której mogłam przebierać. Nie łudziłam się, że zdołam zainteresować Wintersona bardziej niż jakakolwiek inna kobieta. A to, co do niego czułam, było dużo poważniejsze niż moje dotychczasowe zauroczenia, i dużo bardziej bolesne. Z trudem przychodziło mi nazwać to miłością, tym bardziej że ze względu na Linasa zmuszona byłam regularnie go widywać i znosić jego chłód. A teraz pytał, czy zapomniałam. Czegoś takiego nie mogłam zapomnieć.

- Nie musimy tańczyć. Chyba że sama pani zechce. Dla nas wszystkich jako dla rodziny będzie lepiej, kiedy będą nas widywać razem przy takich okazjach. Sama nie może pani pójść. To nie wchodzi w rachubę. A ponieważ uważam, że powinna pani być w towarzystwie, przyjdę po panią o ósmej. Po balu odprowadzę panią do domu.

- To tylko cztery domy dalej.

- Wiem. Jeśli będzie mokro, moi ludzie zainoszą panią w lektyce. Teraz proszę dokończyć kolację, a potem opowie mi pani o swoim francuskim kuzynie, który uważa, że w czasie roztopów dojedzie do Brid w trzy godziny.

- Wolałabym o tym nie rozmawiać. Zresztą nie mam wiele do powiedzenia.

Pierre to daleki kuzyn i nie wiem, co robił w kawiarni poza czytaniem gazet i pić kawę.

- Może w takim razie pozwolę sobie poskładać razem kilka faktów. Aptekarz z ulicy Petergate, gdzie monsieur Follet kupuje lekarstwo dla pani mamy, poinformował mnie, że ona nazywa się Follethorpe i że ten francuski dżentelmen przyjeżdża po nie regularnie raz, w miesiącu. W tej sytuacji zastanawiam się, czy ten kuzyn jest dla pani tylko i wyłącznie kuzynem.

- Aptekarz nie ma prawa zdradzać nazwiska pacjenta - powiedziałam ze złością.

- Mimo to dość łatwo było go do tego przekonać.

- Skoro jest pan taki dociekliwy, powiem, że zmieniłam nazwisko, kiedy przyjechałam do Yorku szukać pracy. Zrobiłam to, by chronić nazwisko ojca. Gdyby żył, na pewno by się nie sprzeciwiał, bo uważał mnie i Pierre'a za przyszłą parę. Ojciec zmarł zaledwie kilka tygodni po opuszczeniu Bridlington. Moja rodzina tam nie mieszka, to oczywiste, ale nie chcę mówić o powodach, dla których musieliśmy wyjechać. Pierre jest oddanym krewnym, pomógł nam przetrwać ciężkie czasy.

- Pierwszy raz wspomniała pani o ojcu. Nie był nim przypadkiem ten słynny Leonard Follethorpe, który był kiedyś burmistrzem Bridlington? Czemu pani się tak dziwi? Jestem tu sędzią pokoju, muszę wiedzieć, co się dzieje na moim terenie. Jeśli się nie mylę, a myślę, że się nie mylę, chciałbym pani coś poradzić, dobrze? Widziałem w oknie pani zakładu ogłoszenie o francuskich koronkach i innych zakazanych zagranicznych towarach. To bardzo kiepski pomysł. Na pani miejscu nie rozgłaszałbym o posiadaniu takich rzeczy. Tym bardziej że po ulicach miasta krążą ludzie, których praca polega na wyszukiwaniu obywateli mających towary pochodzące z wolnego handlu. Jeżeli na wasz zakład krawiecki padnie jakieś podejrzenie, będziecie musiały razem z panią Sanders odpowiedzieć na wiele pytań. Także tych dotyczących okresu sprzed kilku lat. Niech pani nie zapomina, że jest pani kobietą samotną, mającą na utrzymaniu dziecko. Jest pani bezbronna i stanowi łatwy cel.

- Jamie... - szepnęłam.

- Tak, nasz Jamie. Nie możesz tak ryzykować, Helene.

- Sama już doszłam do tego wniosku.

- Rozumiem, że musiałaś mieć naprawdę ważne powody, by tak ryzykować.

- Miałam.

- Skoro tak dobrze zarabiałaś na sprzedaży tych towarów, to warunki życiowe twojej rodziny powinny się do tego czasu zdecydowanie poprawić, prawda?

- Wcale się nie poprawiły.

- W takim razie może warto to przemyśleć i zakończyć.

- Nie wiem, jak to zrobić.

- To proste. Wystarczy powiedzieć „koniec”.

- Nie takie proste jak pan myśli. Od tych towarów zależy los Prue i życie mojej rodziny. Zresztą ja sama też potrzebuję tych pieniędzy. Jak, pana zdaniem, dawałam sobie radę przez te wszystkie lata?

- Właśnie zacząłem się zastanawiać.

- Teraz już pan wie. Wpakowałam się w kłopoty i na pana miejscu nie chciałabym mieć więcej ze mną do czynienia.

- Za późno - powiedział cicho. - Na to jest już zdecydowanie za późno.

Rozdział ósmy

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. W pokoju słychać było trzaskanie ognia w kominku, cykanie zegara i głośne bicie mojego serca.

Winterson wypił łyk porto i odstawił szklaneczkę na stół, obok brulionów Lina-sa, których ciągle nie miałam czasu przeczytać.

- Przydałaby się pani opieka. Dama o pani pozycji powinna mieszkać z przy-zwoitką. Dopóki Linas był tuż obok, nie miało to może takiego znaczenie, ale teraz należy się nad tym zastanowić.

- Już o tym myślałam. Chciałabym przywieźć tu mamę, mogłabym się nią lepiej opiekować, ale ona nie chce nawet o tym słyszeć.

- Nie o to mi chodziło.

- Mieszka tu pani Goode i Debbie.

- A jednak jeździ pani do rodziny w taką straszną pogodę sama. Nie może pani więcej tego robić. To kuszenie losu.

- Co pana zdaniem powinnam uczynić? Dać ogłoszenie?

Winterson pochylił się w moją stronę i czubkiem palca dotknął mojej ręki spoczywającej na oparciu krzesła. Czulość tego gestu zaskoczyła mnie.

- Najpierw rozważymy wszystkie możliwości. Następny razem, kiedy będzie się pani wybierała do rodziny, pojedę z panią. Zabierzemy ze sobą Jamiego, niech zobaczą to, co widział pan Follet. Sama pani wie, że kiedyś i tak muszą się dowiedzieć.

Na miejscu porozmawiamy także o innych sprawach. Proszę nie protestować. Potrzebuje pani pomocy i ja chcę pani pomóc. Żadne z was nie może dłużej żyć z pieniędzy pochodzących z nielegalnych źródeł.

Cofnęłam rękę, pełna sprzecznych uczuć. Byłam gotowa przyjąć wszystko, cokolwiek zamierzał mi dać, a jednocześnie nie chciałam, by zdobył mnie dotknięciem jednego palca...

- To niemożliwe. Moja rodzina pomyśli...

- Tak, tak pomyślą. A kiedy Jamie podrośnie, wszyscy będą tak myśleć. Pani rodzina powinna się dowiedzieć, co jest między nami. I to od nas. Nie z plotek.

- O czym pan mówi? Co takiego jest między nami? Nie zamierza pan im chyba powiedzieć, co się stało?

- Sugeruję, żeby im powiedzieć o tym, co się stanie. O tym, co się stało, sami będą mogli się przekonać. Na przykład pani francuski kuzyn, który liczy, że pewnego dnia zostanie pani jego żoną. Nie uważa pani, że im szybciej zrozumie, że nie ma cień szansy, tym lepiej? A pani matka? Powinna z nią pani porozmawiać, zanim będzie za późno. Nadeszła pora, by uporządkować pani życie.

Jego słowa wprawiły mnie w jeszcze większe zakłopotanie.

- Mam powiedzieć rodzinie, że Jamie nie jest synem Linasa?

- Ma im pani powiedzieć, że wychodzi pani za mąż za ojca i opiekuna Jamiego. Jeśli nie zamierza pani tego zrobić osobiście, ja im powiem. Chyba nie chce pani, żeby Jamie doświadczył na własnej skórze, co znaczy być nieślubnym dzieckiem? Przy jego paplaninie nie trzeba będzie długo na to czekać.

- To jest według pana rozważanie wszystkich możliwości?

- Tak, panno Follet. Dlatego proszę, żeby, zanim mi pani odmówi, zastanowiła się nad swoją sytuacją. Oferuję pani wyjście z kłopotów bez utraty twarzy. Mogę zająć się pani rodziną i nie będę musiał w tym celu uciekać się do nielegalnych metod zarobkowania, przez które wszystkim wam teraz grozi niebezpieczeństwo. Igra pani z ogniem, a to nie jest sposób na prowadzenie interesu. Prue Sanders będzie to musiała zrozumieć.

Wcale nie byłam pewna, czy Pierre i Prue zechcą to zrozumieć. Winterson nie wiedział o udziale Pierre'a w przemyśle i nie zamierzałam mu nic o tym mówić. Jego propozycja małżeństwa zupełnie mnie zaskoczyła, choć zdawałam sobie sprawę z tego, że chce to zrobić ze względu na dobro dziecka, a nie z jakichś romantycznych pobudek. Sam zresztą to powiedział.

- Gdybym padł przed panią na kolana i błagał, by została pani moją żoną, zadarłaby pani wysoko swój mały zgrabny nos i powiedziała, że nie robi tego nigdy w życiu, czy nie tak?

- To bardzo prawdopodobne.

- Dlatego pominąłem romantyczny aspekt tej sprawy i powiedziałem wprost, żeby przyzwyczajała się pani do myśli, że zostanie moją żoną. Powód może sobie pani wymyślić sama. Może nim być wspólne dziecko, Linas, ja, podobieństwo rodzinne, plotki... cokolwiek.

- Pominął pan jedną trudność.

- Co takiego?

- Nie lubię się dzielić mężczyzną. Zaś pana sposób życia zupełnie nie pasuje do mojego. Zakładam, że ma pan kochanki i, jak przypuszczam, nie zamierza pan tego zmieniać? Czy w tej sytuacji małżeństwo nie byłoby zbyt dużym wyrzeczeniem dla nas obojga?

Winterson westchnął i spojrzał na mnie ze zniecierpliwieniem. Albo tak mi się przynajmniej wydawało.

- Pani pozwoli, że wyjaśnię jej coś raz na zawsze - oznajmił tonem pozbawionym czułości.

- Nie ma takiej potrzeby - odparłam, rozdrażniona, że on czyta w moich myślach. - Przypuszczam, że korzystacie z łóżka Linasa. A może ona woli to robić w mojej dawnej sypialni?

- Posłuchaj mnie, Helene. Kupiłem od lorda Slatterly'ego ziemię, ale zamiast mu płacić gotówką, trenowałem jego konie. Tak się umówiliśmy i ta forma zapłaty obu nam odpowiadała. W tej sytuacji nie mogłem powiedzieć jego ukochanej córce, żeby

trzymała się ode mnie z daleka. Nigdy nie miała u mnie szans i nadal nie ma. Ale przyjeżdża i wyjeżdża, kiedy zechce. Jeśli uważa, że mnie zdobędzie, to nic na to nie mogę poradzić. Jej przyjaciele wykorzystują ją, ja nie zamierzam. Jestem pewno jedynym, który tego nie zrobił. Pozwalam jej zostać w moim domu tylko wtedy, kiedy mam wielu gości. Nigdy, kiedy jest sama. Bez względu na to, co ona mówi lub sugeruje, taka jest prawda. Raz już wślizgnęła się do Stonegate tylnymi drzwiami, zabroniłem więc wpuszczać jej do domu, kiedy mnie nie ma. Pani natomiast zawsze będzie mile widziana. W dniu, w którym spotkała ją pani w Stonegate, powiedziała mi pani, że chce zapomnieć o przeszłości i dla dobra Jamiego żyć ze mną w przyjaźni. Proponuję wam obojgu więcej niż przyjaźń. Proponuję wam nowe życie.

- Nie spodziewałam się tego... Nie jestem gotowa posunąć się aż tak daleko, choć oczywiście dostrzegam korzyści takiego rozwiązania i zdaję sobie sprawę, że kobieta w mojej sytuacji nie może sobie pozwolić, by bez ważnego powodu odrzucić taką propozycję. Tym bardziej gdy pochodzi ona od ojca jej dziecka. Musi pan jednak wiedzieć, że odkąd zrozumiałam, co zrobiliście, żebym urodziła Linasowi dziecko, instytucja małżeństwa przestała mnie pociągać. Pragnę zostać cnotliwa do czasu, aż sama zdecyduję, że znowu chcę mieć dziecko. Obiecałam nie grać na tej strunie, ale, jak widać, nie dość wyraźnie dałam do zrozumienia, że zamierzam stać się niezależna. Tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy przyjechałam do miasta. Taka sytuacja bardziej mi odpowiada. Może to zabrzmie egoistycznie, ale nie pozwolę, żeby mój trzyletni syn wybierał mi męża.

Winterson nie należał do mężczyzn, którzy lekko przyjmują odmowę kobiety. Tym bardziej kiedy gotów był zaoferować tak wiele. Drżąc z niepokoju, zerwałam się z krzesła, by znaleźć się poza zasięgiem jego rąk. I jego gniewu.

Ale on okazał się szybszy. Chwycił mnie za ramię i szarpnął do siebie.

- Puść mnie... puść! - krzyknęłam, rozdrażniona i wewnętrznie rozdarta, próbując się wyrwać z jego ramion. - Nie chcę... nie chcę, żebyś mnie tak trzymał! To boli. Puść mnie!

Znowu to samo: walczyłam z nim, kochałam go i pragnęłam jego bliskości. Pra-

gnęłam nawet bólu i jego gniewu. Słyszałam jego cichy szept i przyspieszony oddech i czułam delikatne muskanie jego warg. Wcale nie był zły. Moja szarpanina najwyraźniej sprawiała mu przyjemność. Trzymał mnie mocno i oparł czoło na moim czole. Staliśmy tak, stykając się głowami. Dyszałam ze złości, a on patrzył rozbawiony, jak moje włosy wysuwają się spod szylkretowego grzebienia i opadają mi na policzki.

- Myślisz, moja śliczna, że nie wiedziałem, jak zareagujesz na moje słowa? Byłem pewny, że tylko czekasz na okazję, żeby znowu mi dopiec. Wspaniała z ciebie kobieta. Ale teraz bądź cicho. Jesteś jak nieufna, pełna temperamentu rasowa klacz. Nie postępowano z tobą należycie, prawda? Będę musiał znaleźć lekarstwo na twoje szalone nawyki i zrobię to. Sprawię, że znowu będziesz słodka i łagodna, moja czarująca wiedźmo. Znowu będziemy blisko.

- Nie zostanę pana żoną.

- Zostanie pani. I to z własnej woli. Zobacz pani.

Chwył mnie za włosy i przyciągnął moją głowę do swojej. Zamknęłam oczy, tak jak to robiłam w marzeniach, i oddałam się przyjemności, jaką sprawiał mi jego pocałunek. Ale - przecież nie mogłam mu ulec i odrzucić wszystkiego, do czego dążyłam przez całe życie. Nie zapomniałam, jak powiedział, że nie można na mnie polegać. Nadal mnie to bolało, bo choć miałam wiele różnych wad, to akurat tego nie można mi było zarzucić. Słodkie słowa, które do mnie szeptał, podniecały mnie i zarazem sprawiały, że moje serce twardniało na kamień. To przecież właśnie przez niego straciłam przed laty zaufanie do mężczyzn. Nie zamierzałam mu niczego ułatwiać, choć było oczywiste, że jeśli nadal chcę tu mieszkać, muszę go poślubić.

- Proszę mnie puścić - szepnęłam. - W tej sprawie nigdy się nie zgodzimy.

- Tak myślisz? No cóż... mogę poczekać. Sama do mnie przyjdiesz.

- Będzie pan czekał kolejne cztery lata?

- Nie baw się ze mną w ten sposób - ostrzegł, odrzucając dumnie głowę do tyłu.

- Chyba że tak bardzo chcesz się na mnie zemścić, że gotowa jesteś zniszczyć życie swoje i naszego syna. Szkoda na to czasu, Helene, twoje serce nie jest wcale tak twarde... - Mówiąc to, wsunął dłoń pod mój bezrękawnik i położył ją na moim bijącym jak

oszałałe sercu. Po chwili przesunął ją na moją pierś, jakby chciał mi przypomnieć ła-
twość, z jaką oddałam mu się tamtej nocy.

Zamiast męczyć się nad odpowiedzią, odsunęłam jego rękę od siebie.

- Czy teraz rozważyliśmy już wszystkie możliwości? To już koniec? - zapytałam
po chwili.

- Żadna inna nie jest warta zastanowienia. Mimo twojego cynizmu chcę ci przy-
pomnieć, że mówimy o przyszłości Jamiego. Pamiętaj o tym, dobrze?

- Nie ma obawy, nie zapomnę - odparłam, ale mój ton zdradzał rozdrażnienie,
jakbym chciała dać do zrozumienia, że jeśli będzie taka potrzeba, nigdy nie zapomnę i
nie pozwolę, by moje rany się zabiły.

Przede wszystkim jednak byłam matką i nie mogłam narażać Jamiego, by rato-
wać poczucie własnej godności. Moim obowiązkiem było zapewnienie dziecku jak
najlepszej przyszłości. Dlaczego więc zachowywałam się tak idiotycznie? Czy mo-
głam sobie pozwolić na odtrącenie gałązki oliwnej, którą wyciągał do mnie Winter-
son? Starał się tak bardzo, że wyjaśnił mi nawet, jak wyglądają jego stosunki z lady
Slatterly.

- Spójrz na mnie, Helene - poprosił, ujmując dłonią moją brodę.

Zrobiłam to niechętnie. Kochałam go i nienawidziłam. Pragnęłam go i chciałam
sprawić mu ból. Chciałam, żeby ze mnie nie rezygnował, by dostrzegł, że mój sprze-
ciw jest tylko częścią obowiązkowej gry, i żeby nie dał się zwieść. Chciałam, by prze-
łamał wszystkie bariery i zdobył moje serce, które biło dla niego. Zawsze go pragnę-
łam. Żyłam z jego bratem, ale pragnęłam tylko jego. Spojrzałam mu w oczy.

- Nic nie mów. - Położyłam mu palec na ustach. - Pozwól mi się usprawiedliwić.

- Nie ma takiej potrzeby - szepnął.

Chciałam go pocałować i chciałam, żeby on mnie pocałował.

- Wiem, że łamałam prawo. W stronach, skąd pochodzę, wszyscy to robią. Kie-
dy pojawiła się okazja dodatkowego zarobku, skorzystałam z niej, tak samo jak wcze-
śniej sprzedawałam swoje ciało. Robiłam to, bo z pracy szwaczki nie dawałam rady
utrzymać rodziny. Dzięki pana propozycji mogłabym z tym skończyć i zachować

twarz, ale nie jestem sama. Liczą na mnie inni. Gdyby nie towar z przemytu, zakład nigdy by się tak nie rozwinął. Jeśli nagle odetnę dostawy, moja partnerka nie będzie zadowolona. Zaoferował pan, że będzie pomagał mojej rodzinie, ale ja wiem, że oni nigdy się na to nie zgodzą, tak samo jak ja. Linas nie był częścią ich życia i pan też nie musi nią być. A co do propozycji małżeństwa... nie byłam na to przygotowana. Proszę o czas do namysłu. Metryki urodzenia Jamiego nie da się poprawić. Oficjalnie jest nieślubnym synem Linasa. Ale pamięć blaknie, a w tej chwili Jamie bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje ojca.

- I rodzeństwa - stwierdził Winterson, patrząc, jak odwracam wzrok i wzdycham.

To była ostatnia broń, jaka mi została, jeśli miałam go poślubić. Mogłam się mścić, odmawiając mu dzieci, ale wcale nie byłam pewna, które z nas bardziej by z tego powodu cierpiało. Jak długo zdołam mu się opierać? Jak długo potrwa jego cierpliwość? Miał słuszość, mówiąc, że Jamie potrzebuje rodzeństwa, czułam jednak, że za tym twierdzeniem kryje się także jego egoizm. Zdradzały to jego pocałunki.

- Słusznie, wszystko po kolei - przyznał, zupełnie jakby czytał w moich myślach. - Uczyniliśmy pewne postępy i na razie muszę być z tego zadowolony. - Piękna czarnowłosa wiedźma - szepnął, unosząc moje włosy, tak jakby chciał je upiąć na czubku mojej głowy. - Skłamałem, wcale nie jestem zadowolony. Ale na razie musi mi to wystarczyć. Jeśli chodzi o twoją rodzinę i zakład, to pozwól, że się tym zajmę. Ufasz mi?

- Nie zawsze się z panem zgadzam, ale nie twierdzę, że jest pan nieodpowiedzialny.

- Wiem, co masz na myśli. Ale tamte moje słowa zostały wyrwane z kontekstu. Może kiedyś ci to wyjaśnię. Pojutrze jest bal. Moi rodzice przyjeżdżają na weekend. Może przyjedziesz z małym w niedzielę na rodzinny obiad?

- Przyjadę. Dziękuję.

- Dobrze. W takim razie przyślę po was powóz. - Winterson ucałował moją dłoń.
- Idź wcześniej spać i nie myśl o tym więcej. Prędzej czy później musieliśmy dojść do

porozumienia, prawda?

- Dla dobra nas wszystkich - szepnęłam. Nie Umiałam jednak przestać myśleć. Tyle się ostatnio wydarzyło. Długo leżałam, nie mogąc zasnąć, aż wreszcie Debbie przyniosła mi szklankę ciepłego mleka na uspokojenie. Pocieszało mnie jedynie to, że nie musiałam się nim dzielić z lady Slatterly.

Następnego ranka, mając w pamięci ostrzeżenia Wintersona, poszłam prosto do zakładu i zdjęłam z okna obciążające ogłoszenie. Nie rozumiem, czemu je w ogóle napisałam. Chociaż robiłyśmy tak od dawna, nigdy nie myśląc o możliwych konsekwencjach. Prue nie było w zakładzie, ale zostawiła dla mnie liścik.

Stał oparty o bele perkalu i był bardzo krótki, pisany w widocznym pośpiechu:

Matka b. chora. Ojciec zdenerwowany. Nie mogę ich zostawić. Przepraszam.

Prue.

To była kiepska pora na chorowanie, lecz nieobecność Prue w zakładzie ułatwiła mi podjęcie kroków, które miały nas zabezpieczyć przed ewentualną wizytą celników i urzędników skarbowych. Od czasu rozmowy z Wintersonem nie mogłam przestać o tym myśleć. Teraz miałam okazję, by usunąć podejrzany towar ze sklepu. Żadna ze szwaczek nawet nie próbowała protestować, kiedy im wyjaśniłam, co musimy zrobić.

W budynku była nieużywana piwnica, teraz zalana wodą z roztopów. Brodząc po kostki w lodowatej wodzie, ukryłyśmy francuskie tkaniny i dodatki w ciemnych niszach w głębi pomieszczenia, tak że były prawie niewidoczne. Było to najbezpieczniejsze miejsce w całym zakładzie. Mokre, ciemne i odpychające, nie zachęcało do dokładnego badania.

Tego samego dnia po południu do sklepu weszło dwóch ponurych dżentelmenów. Z uprzedzającą grzecznością zapytali, czy mogą przeszukać zakład w imieniu Jego Królewskiej Mości Jerzego III. Zupełnie jakbyśmy mogły odmówić.

Dobrze znałam urzędników celnych i ci dwaj nie byli nietypowi. Nie było powodu do alarmu. A jednak świadomość, że zdążyłam dosłownie w ostatniej chwili, sprawiała, że nogi miałam jak z waty. Denerwowałam się, czy czegoś nie przeoczyłam, i modliłam się, by pracownice zachowały spokój i rozsądnie odpowiadały.

Nie miałam dużo czasu, by je przygotować na ewentualne wypytywanie.

- Szukają panowie czegoś konkretnego? - zapytałam. - Skąd chcecie zacząć swoje przeszukiwanie?

Ich czujne oczy widziały wszystko i nic nie mogło się przed nimi ukryć, ale trudno było z nich coś wyczytać. Macali tkaniny, zaglądali za bele materiałów, za zasłony, podnosili pudła. Widziałyśmy jednak, że nie odróżniają popeliny od kaszmiru. Jeden spojrzął na koronkę z Argentan, którą Betty obszywała suknię, i wziął ją w palce.

- Skąd to pochodzi?

- Z Nottingham - odparła dziewczyna, nie przerywając pracy. - Maudie przy-
szywa Bedford, a tamta to Limerick. Ta, na którą pan wcześniej patrzył, to Devon, a
tamta z pomponikami pochodzi z Buckinghamshire. Wszyscy mówią na nią Bucks...

Urzędnik uniósł brew i poszedł do mnie.

- Macie tu strych?

- Tak. Drabina stoi w rogu.

Urzędnik niezwłocznie wspiął się na górę, ale od razu zszedł z powrotem.

- Nie ma tam nic prócz krzeseł - oznajmił zbolalym tonem.

- Nie trzymamy tam towaru. Wszystko, co mamy, jest wyłożone w sklepie, żeby
klientki mogły oglądać i wybierać.

Urzednicy przeglądali szuflady, koszyki i pudła, przewracali zwoje materiałów,
odsłaniając ściany, za którymi siedziały czujnie nasłuchujące szwaczki.

- Są tu piwnice? - zapytał wreszcie jeden z nich, patrząc ze zmarszczonymi
brwiami na podłogę.

- Tak. Kłapa znajduje się w podłodze w kuchni. Ale tam też niczego nie trzy-
mamy. Piwnice są bardzo wilgotne.

Mimo moich słów podnieśli klapę i zajrzeli do środka. Na szczęście zniechęcił
ich widok światła lampy odbitego w wodzie zalewającej podłogę.

- A co jest tam? - zapytał, wskazując przymierzalnie.

- Przymierzalnie. Mogą panowie obejrzeć, ale proszę nie wchodzić bez uprze-

dzenia, bo wystraszycie mi klientki.

- Skąd pochodzą te tkaniny?

Wyjęłam z szuflady w swoim biurku plik rachunków z ostatnich tygodni i pokazałam im daty.

- Kupuję głównie w Manchesterze, ale niektóre pochodzą ze składów „Sampson i Snape” w Londynie albo z Paisley koło Glasgow. Na przykład te szale. Choć kilka z nich jest z Norwich. Pończochy kupuję w Leicester i w Derby, rękawiczki w Worcester... - Pokazywałam kolejne rachunki, rozkładając je przed nimi. - Jedwabie i muśliny...

- Tak... Dziękujemy pani.

- ...są z Blakeburn, a bawełny...

- Dziękuję. A czepki i kapelusze?

- Nakrycia głowy szyjemy na zamówienie. Muszą pasować do sukni. Teraz najmodniejsze są turbany *à la* lord Nelson. - Zademonstrowałam drewnianą głowę w turbanie.

Mężczyzna ostrożnie wziął ją ode mnie i z zakłopotaną miną przekazał koledze.

- Nie widzę tu nic francuskiego, Horace - mruknął.

- Rzeczywiście. Chodźmy już. Dosyć zobaczyliśmy - odpowiedział Horace i oddał mu z powrotem drewnianą głowę. - Ale w pani oknie wystawowym było ogłoszenie o towarach pochodzących prosto z Paryża, prawda?

- Tak, było. - Uśmiechnęłam się. - To zawsze przyciąga klientki. Oglądają w naszych żurnalach francuską modę, więc wszystko, co francuskie, budzi od razu duże zainteresowanie. Takie małe oszustwo, one o tym wiedza, ale rozumieją.

- Beznadziejna sprawa, Horace...

- Słyszałem o śmierci pana Linasa Monktona. - W oczach Horace'a mignęło współczucie. - To bardzo przykra wiadomość. W obecnych czasach kobieta taka jak pani powinna mieć opiekę. I mały też. Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pani obrazić.

- Nie obraziłam się - odparłam z ulgą, że inspekcja niczego nie znalazła. - Poza tym nie jestem pozbawiona opieki. Rodzina pana Monktona bardzo mi pomaga, a

opiekun mojego syna, lord Winterson, czuwa nad moimi interesami.

Nigdy nie przypuszczałam, że powołam się na Wintersona, ale po moich słowach obaj panowie zeszywnieli. Usłyszałam, jak głośno przełykają ślinę. W ich oczach nagle błysnął niepokój.

- Lord... - Urzędnik odchrząknął. - Lord Winterson?

- Tak. Lord Winterson to nasz sędzia pokoju. Lepiej już się zbierajmy - zdecydował drugi.

- Dziękuję panom. Powiem lordowi, że wykonaliście swoją pracę sumiennie i grzecznie. Życzę miłego dnia.

Kiedy zamykałam za nimi drzwi, zmierzchało już i zaczął padać deszcz. Zakreśliło mi się w głowie, myślałam, że zemdleję. Oparłam się o zimną ścianę i przypomniałam sobie, że nie jadłam lunchu. Na razie niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Towar był ukryty. A powołując się na Wintersona, zabezpieczyłam się przed dalszymi wizytami. Nie powinnam była tego robić, ale wymawiając głośno jego nazwisko, poczułam się tak bezpieczna, że przestałam zwracać uwagę na resztę.

Z pracowni wyszła Betty i mocno mnie objęła.

- O wszystkim wiedziałyśmy. Ale żadna z nas nie powiedziała ani słowa. Musi się pani napić herbaty.

Pijąc herbatę i pogryzając herbatniki, chichotałyśmy. W naszych chichotach brzmiała jednak histeryczna nuta, bo herbata nabyta od handlarza pochodziła z przemytu, tak samo jak cukier, który kupowałam w sklepie.

Cieszyłam się, że się nam upiekło, a jednocześnie zaczynałam się martwić, jak bez tych wszystkich wspaniałości zdołamy utrzymać się na rynku. Nie mogłam jednak rozmawiać o tym z pracownikami. Myśląc o towarach dostarczonych ostatnio przez Pierre'a, utwierdziłam się w przekonaniu, że prowadził on jakąś własną grę, do której mnie nie dopuszczał. Jego przyjazd do miasta po lekarstwo dla mamy wydał mi się podejrzany, bo sama zawiozłam jej leki, które powinny wystarczyć co najmniej na miesiąc.

Ciekawiło mnie, kim był mężczyzna, którego Pierre nie chciał nam przedstawić i

dlaczego już drugi raz z rzędu nie znalazł czasu, żeby mnie odwiedzić. Zastanawiałam się nad skutkami zapowiedzianej wizyty Wintersona w Foss Beck. Czy rozwiąże ona jakieś problemy, czy też stworzy nowe, ze względu na Pierre'a i jego stosunek do mojej osoby. Byłam zdecydowana poślubić Wintersona, nie chciałam jednak, żeby ta decyzja doprowadziła do niesnasek między nim a Pierre'em. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli sama pojedę do Foss Beck. Mimo ostrzeżeń Wintersona.

Rozdział dziewiąty

Po obfitych opadach śniegu przyszły roztopy i powodzie. Przedtem zabijał mróz, teraz powodem tragedii była woda niosąca ścieki. Ludzie zaczęli chorować. Ofiarami padali wszyscy, nawet najbardziej szanowani obywatele z bogatych domów. Oberże były zalane tak samo jak piwnice ratusza. W piątek postanowiłam odwiedzić Lop Lane i zobaczyć, jak się miewa Prue. Przekonałam się, że sytuacja jest dość beznadziejna. Szczury uciekające przed wodą wygryzły dziurę w szafce z zapasami jedzenia i wszystko pożarły, oboje rodzice chorowali, a Prue ze zmartwienia odchodziła od zmysłów. Uznałam, że to nie jest dobry czas, by opowiadać o wizycie urzędników skarbowych.

Wszyscy chorowali i aptekarzowi z Petergate zaczynało już brakować leków. Napar z korzenia i nasion prawoślazu, zawsze skuteczny przy takich okazjach, stał się niedostępny. Można było dostać jedynie sproszkowany korzeń rdestu, syrop różany i destylowaną wodę miętową, które, choć łagodziły objawy, to jednak nie leczyły. Kupiłam wszystko, co było dostępne, i zaniiosłam Prue, a potem ruszyłam w obchód pozostałych aptek. Po godzinie miałam środki zbijające gorączkę, tabletki wzmacniające i flakon nalewki doktora Benjamin Godfrey, której reklamę widziałam w „York Mercury”. Miałam nadzieję, że coś z tego pomoże złagodzić objawy choroby. Razem z lekami wysłałam na Lop Lane również świece, drewno na opał, chleb, mleko, ser i zupę, a także czystą pościel i koce, na wymianę za brudne, których biedna Prue zmuszona była używać. Taka pomoc dość wyraźnie podkreślała różnicę warunków, w ja-

kich obie żyłyśmy.

Kiedyś to ja pracowałam u Prue, a teraz ona borykała się z chorobą starych rodziców, mieszkających w zniszczonym, rozpadającym się domu. Można powiedzieć, że miałyśmy podobne obowiązki, tyle że moje warunki życia były bez porównania lepsze. Dlatego chciałam jej pomóc. Wiadomości dotyczące zakładu mogły poczekać. Przez cały tydzień Debbie asystowała mi w przymiarkach sukni, którą szyłam dla siebie na bal. Gdyby nie usilne nalegania Prue, najchętniej w ogóle bym na ten bal nie poszła. Moja współpracowniczka twierdziła jednak, że dla dobra naszego zakładu muszę się tam pojawić.

W końcu nadeszła sobota. Nie mogłam się już doczekać wieczoru i z trudem kryłam podniecenie. Debbie przypięła mi do uszu małe klipsy z perłami i nie mogąc znaleźć nic więcej, co mogłaby poprawić, musnęła dłonią moje włosy, ułożone przy uszach w sprężynki. Oprócz klipsów miałam jeszcze sznurek pereł wpleciony we włosy i małą broszkę z perłą i kamieniem księżycowym, spinającą fałdy sukni na ramieniu.

Uszyłam sobie suknię z białej krepy i z przejrzystej jedwabnej gazy o matowym wykończeniu. Pod suknią zaś przy każdym ruchu widać było spód z białego atlasu. Wąskie atlasowe czarne wstążki skrzyżowane na gorsie podkreślały biust i tworzyły ozdobną kokardę na plecach. Tą samą wstążką obszyty był dół sukni, tuż nad czarną koronką stanowiącą wykończenie spódnicy. Suknia miała prosty fason, odpowiedni prawie dla każdej figury. Tajemnicą jej niezwyklej urody były luksusowe tkaniny. Cudowny jedwab i przeblaskująca spod niego satyna przywodziły na myśl przeświecone światłem księżycy chmury na ciemnym tle nocnego nieba. Luksusowym uzupełnieniem sukni był przepiękny czarny wachlarz z koronki, obszyty piórami, jeden z tych z ostatniej dostawy Pierre'a. Do tego białe atlasowe pantofelki ze sprzączkami wysadzonymi perełkami, jedwabne pończochy, długie białe atlasowe rękawiczki i torebka wyszywana czarnymi koralikami.

Wiedziałam, że wyglądam dobrze. Mimo to niepokoiłam się i nie mogłam przestać myśleć o wieczorze sprzed lat, kiedy tańczyłam z Burlem Wintersonem. Później

także spotykałam go na balach, ale wtedy już towarzyszyłam jego bratu i Burl nigdy nie poprosił mnie do tańca więcej niż raz. Tak jakby robił to z obowiązku, a nie dla przyjemności.

Przyjechał po mnie o ósmej. Czekał w holu przy schodach i patrzył, jak schodzę. W jego oczach był zachwyt, którego nigdy wcześniej nie okazywał. Pewnie ze względu na Linasa. Kiedy byłam na ostatnim stopniu, podał mi ramię. Jego stalowe muskuły dodały mi pewności siebie, jakiej nigdy nie czułam przy jego bracie. Wtedy ja wspierałam, teraz byłam otaczana opieką.

- Dzisiaj dzień świętego Walentego - powiedział cicho.

- Tak.

- To było sześć lat temu...

- Tak. Zdziwiające, jak wiele może się wydarzyć w ciągu sześciu lat. Każde z nas się zmieniło - dodałam pośpiesznie, bojąc się, by nie zaproponował, żebyśmy jeszcze raz zaczęli od początku. Na szczęście nic takiego nie zrobił.

- To prawda - przyznał. - Pod wieloma względami. Ale upływ czasu może też potwierdzić trafność pierwszego wrażenia. W moich oczach macierzyństwo dodało pani uroku, czyniąc panią jeszcze piękniejszą.

- Powinnam chyba podziękować za taki komplement.

- Też tak myślę - odparł trochę zbyt szybko. - Chciałbym wiedzieć, jakie podziękowanie ma pani na myśli.

- Jeśli da mi pan chwilę, zastanowię się nad czymś odpowiednio doniosłym - odparłam, bo Winterson zbyt dosłownie interpretował moje cyniczne uwagi.

- Gdzieś tu powinny być moje chodaki - powiedziałam, rozglądając się dookoła.

- Nie mogę iść w pantoflach po takim błocie.

- Nie potrzebuje pani chodaków. Przed domem czekają ludzie z lektyką, zaniosą panią na bal. - Winterson zarzucił mi na ramiona czarną aksamitną pelerynę, a bliskość jego rąk sprawiła, że serce podeszło mi do gardła.

- Dziękuję, że pan o tym pomyślał - odparłam.

Jeśli macierzyństwo miało pozytywny wpływ na zmianę mojego wyglądu, to oj-

costwo sprawiło, że jego ciało było jeszcze bliższe ideału niż przedtem. Postanowiłam, że w towarzystwie tak zabójczo atrakcyjnego mężczyzny będę się świetnie bawić i nie zepsuję sobie wieczoru głupimi sprzeczkami.

Wiele razy widywałam go w stroju wieczorowym. Dziś miał świetnie jak zawsze uszyty surdut i białe spodnie do kolan, które ładnie podkreślały muskularne uda. Śnieżnobiały fular kontrastował ze zdrową cerą. Zauważyłam, że przyciął włosy, choć ciągle jeszcze były zbyt długie. Patrząc na nie, marzyłam, by zanurzyć w nich palce.

- Kazałbym im wejść do środka, ale nie chciałem, by nanieśli błota.

Wziął mnie na rękę, zniósł po schodach i usadził na poduszkach w lektyce. Korysana rytmem kroków tragarzy, dotarłam cztery domy dalej. Schody prowadzące do Assembly Rooms mieniły się sukniami we wszystkich kolorach tęczy, a ze środka dobiegały dźwięki muzyki.

Wszędzie wokół słyhać było podniecone piski i śmiechy. Bal budził nadzieje na nowy romans lub flirt, czy też na potwierdzenie czyichś uczuć. Można było oglądać innych i samemu być oglądanym. Ja też nie pozostałam obojętna na tę atmosferę. Bardzo szybko wypatrzyłam najładniejsze suknie. Kilka z nich sama zaprojektowałam. Niektóre zyskały dzięki urokowi noszących je smukłych dam, inne nieco zepsuły źle dobrane dodatki. Kolory sukien mieszały się z czernią i bielą męskich strojów. Przyglądałam się przeróżnym fryzutom i nakryciom głowy. Czasem dostrzegłam kostkę w jedwabnej pończosze, czasem dekolt tak głęboki, że zaledwie milimetry dzieliły go od nieprzyzwoitości. I to wszystko w czasie, gdy razem z innymi powoli wchodziliśmy po schodach, by przy wejściu oddać płaszcze do przechowalni.

- Lady Osmotherly, cieszę się, widząc panią w tak dobrym zdrowiu. Lady Percival, miło panią znowu widzieć. Pani Knopp, miałam nadzieję, że tu panią spotkam - grzecznie witałam swoje najlepsze klientki. Traktowały mnie jak przyjaciółkę i zwierzały się ze swoich największych tajemnic. W takim małym prowincjonalnym mieście jak York hierarchia społeczna nie była tak ściśle przestrzegana jak w Londynie. W niepewnych latach wojennych nieraz bywało, że członkowie starych i bogatych rodów z północy utrzymywali stosunki z nowobogackimi. Niejedna panna z dobrego domu

musiała znosić rozczarowania. Czasem pytano mnie o rady, które często wykraczały poza granice mody i czyniły ze mnie powierniczkę. Widziałam nieśmiałe uśmiechy na twarzach kobiet, które spoglądały na mojego towarzysza i na mnie. Jedne pochwalały mój wybór, inne mi zazdrościły, ale żadna z nich nie wiedziała, co się kryło za tym, że przyszedliśmy tu razem.

Przez wiele lat Winterson zachowywał między nami dystans. Teraz przestał to robić, a ja z pewnym zdziwieniem odkryłam, że jeśli chciał, umiał sprawić, bym czuła się wspaniała i niezbędna. Nie przywykłam do takiego traktowania. Nie widziałam też, by zachowywał się w ten sposób w stosunku do innych kobiet. Zawsze odnosił się do nich dość bezceremonialnie, co jednak nie zniechęcało ich do ciągłego szukania jego towarzystwa. Mnie by zniechęciło, gdybym szukała następcy Linasa. Sześć lat temu miałam inne wymagania niż dziś. Teraz zwracałam uwagę na mnóstwo pozornie nieistotnych drobiazgów. Na to, czy mężczyzna weźmie ode mnie płaszcz, czy poda mi ramię, czy przywita się z moimi znajomymi i przedstawi mnie swoim. Linas sam z siebie nigdy tego nie robił.

Pan Medworth Monkton miał rację, mówiąc, że okazanie solidarności w naszych szeregach nie wzbudzi żadnych komentarzy. On i jego żona przyjechali przed nami i teraz stali, rozmawiając z grupą znajomych, których wcale nie dziwiła moja obecność na balu w towarzystwie braci Linasa. Cyntia, cała na czarno, pochwaliła moją suknię.

- Droga Helene, mogłam się spodziewać, że włożysz coś wspaniałego. Ta suknia jest po prostu cudowna. Zgodzisz się ze mną? - zwróciła się do szwagra.

- Zawsze się z tobą zgadzam, droga bratowo. Panna Follet jest naprawdę cudowną istotą - odparł Winterson, spoglądając ponad moim ramieniem w kolorowy tłum. Ostatnie zdanie powiedział tak cicho, jakby mówił do siebie, ale Cynthia usłyszała i spojrzała na niego zaskoczona. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, mąż ujął ją pod ramię i z szelmowskim uśmiechem pociągnął w stronę stolików do gry.

- Może zagramy w faro, moja droga. Widzę, że liryczny nastrój mojego brata jest dla ciebie szokiem. Chcesz się napić wody? Chodźmy, to może być zaraźliwe. - Odchodząc, mrugnął do mnie wesoło.

- Zobaczymy się na kolacji? - zapytałam.

- Oczywiście. Już jestem głodna. - Cynthia roześmiała się.

- Powinien pan bardziej uważać - szepnęłam do Wintersona.

- Na co?

- Na to, do kogo pan mówi. Cynthia może zbyt dosłownie zrozumieć pańskie dowcipy.

- A pani nie taktuje ich poważnie, panno Follet?

- Ja uczę się poznawać, kiedy mówi pan serio.

- Proszę się uczyć dalej, bo tym razem mówiłem poważnie. A poza tym obłuda nie pasuje do tej sukni. Podejdźmy do parkietu, popatrzymy na tańczących.

Przyciskając moje ramię, zaprowadził mnie do brzegu parkietu. Po drugiej stronie kremowo-zielonej sali, pomiędzy marmurowymi kolumnami siedziała orkiestra, a z sufitu zwieszały się kryształowe żyrandole oświetlające tańczące pary.

Kilka razy oddalałam się od Wintersona, ale zawsze mnie odnajdywał. Przez godzinę rozmawialiśmy ze znajomymi, którzy pogodzili się z tym, że żadne z nas nie tańczy. Głównym tematem rozmów była pogoda. Powodzie niszczyły wielkie połacie pól uprawnych, topiły stada, zalewały siano w stodołach i po raz drugi w tym miesiącu odcinały od świata całe wioski. Dolina Yorku, którą płynęła rzeka, mocno ucierpiała i niewiele było rodzin, które nie poniosły strat.

Prue byłaby szczęśliwa, gdyby wiedziała, ile usłyszałam pochwał na temat mojej sukni. Miała rację, że powinnam była pójść na bal. Ten jeden wieczór zdobył nam co najmniej kilka nowych klientek, choć nie wszystkie komplementy były wyrażane bezpośrednio. Na przykład lady Slatterly, obwieszona biżuterią i ubrana w jaskraworóżową falbaniastą kreację, w której wyglądała jak nadmuchana peonia, koniecznie chciała wiedzieć, skąd mam tak wspaniały wachlarz.

- Wygląda, jakby pochodził z Paryża - powiedziała, mierząc mnie krytycznym wzrokiem od stóp do głów.

- Dostałam go od swojego kuzyna, który rzeczywiście pochodzi z Paryża.

- Naprawdę ma pani francuskich krewnych? - zapytała z powątpiewaniem. -

Myślałam, że używa pani nazwiska Follet ze względu na swój zawód.

Nagle z niespodziewaną pomocą przyszedł mi Winterson.

- Panna Follet nie potrzebuje wymyślać sobie nazwiska. Monsieur Pierre Follet był w Yorku w zeszłym tygodniu. Spotkaliśmy się z nim. To przystojny mężczyzna w moim wieku; Pochodzi z doskonałej rodziny, jest hojny, zamożny i ciągle wolny. Chcesz, żebyśmy ci go przedstawili?

Veronique nie zdołała ukryć przykrości, jaką sprawiły jej te słowa. Jej oczy zachmurzyły się na chwilę. Wyczuwałam w tej kobiecie jakąś desperację i coś w rodzaju samotności wynikającej stąd, że miała wszystko z wyjątkiem tego, czego pragnęła najbardziej. Propozycja Wintersona i protekcyjne spojrzenia znajomych uraziły ją do tego stopnia, że pierwszy raz zabrakło jej słów.

Postanowiłam przyjść jej z pomocą.

- Gdyby ktoś zaproponował, że przedstawi mi taki ideał, zakładając, że natychmiast upuszczę chusteczkę przed każdym dobrodusznym kawalerem, który jest wolny, nawet przed Francuzem, musiałabym uznać, że ma nie po kolei w głowie - oznajmiłam tonem nauczycielki. - Jestem pewna, że Veronique odpowiedziałaby tak samo. Jeśli zechcemy, same potrafimy znaleźć ukochanych, prawda? - Dotknęłam lekko jej ramienia.

- Oczywiście - szepnęła, ale wyglądała, jakby miała się za chwilę rozplakać. Nie mogłam do tego dopuścić.

- Zostawmy tych bufonów i przejdźmy do jadalni. Jestem głodna.

Veronique skinęła głową i ruszyła do drzwi. Nie widziała, jak spojrzałam na Wintersona spod zmarszczonych brwi i jak go powstrzymałam, żeby nie szedł za nami.

Kiedy teraz myślę o tamtych dniach, widzę, że zachowanie Wintersona w stosunku do Veronique wpłynęło na sposób, w jaki sama zaczęłam ją traktować, wierząc, że nie byli kochankami, chociaż ona bardzo tego pragnęła. Kiedy ruszył mi na pomoc, tak bezdusznie ją raniąc, uwierzyłam, że nic do niej nie czuł. Niepotrzebnie jednak potraktował ją tak ostro. Może nie miała na myśli nic złego i były to jej zwykłe złości-

wości. Nieważne, jak było, bo przy tej okazji odkryłam, że nie jest pustą, połączoną lalą, za jaką ją uważałam. Dostrzegłam w niej młodą, dość smutną kobietę, szukającą w życiu tego, czego los nie chciał jej dać. Spotkanie w jadalni z państwem Monktonami utwierdziło mnie w tym przekonaniu.

Cyntia stała bokiem do kobiety w fioletowo-srebrnej sukni i na tym tle wyraźnie można było dostrzec jej zaokrąglone kształty, których nie próbowała ukrywać. Monktonowie i Veronique wielokrotnie spotykali się w Abbots Mere i nie trzeba było ich sobie przedstawiać. Dlatego zdziwiło mnie zaskoczenie, z jakim popatrzyła na brzuch Cynthii. W jej oczach mignęło niezadowolenie, ale zaraz znikło. Zamiast jednak podejść i pogratulować przyszłej mamie, zawahała się, tak samo jak ja przed kilkoma dniami. Potem szybko odwróciła wzrok i powiedziała coś na temat gorąca. Medworth podał jej szklaneczkę ponczu, którą wypila niemal jednym duszkiem, przyciskając rękę do żołądka.

Chciałam porozmawiać z Veronique jak przyjaciółka, ale nie było ku temu okazji. Zjawił się Winterson, przynosząc coś do jedzenia, i koniecznie chciał nas usadzić przy stole, jakby próbował nadrobić swoje wcześniejsze, nietaktowne zachowanie. Nie wiem, czy zdziwił się, widząc nas razem, bo nic po sobie nie pokazał.

Zaczynałam rozumieć zachowanie Veronique i jej zazdrość o mnie, szczególnie wtedy, kiedy byłam w ciąży. Podejrzewałam, że tak samo jak ja, ona też pragnęła dziecka. Może u niej stało się to już obsesją? Byłam gotowa zaoferować jej swoją przyjaźń, tylko czy zechce ją przyjąć?

- Nie zaszkodziłoby, gdyby był pan dla niej miłszy - odezwałam się, kiedy ktoś poprosił Veronique do tańca.

Winterson spojrzał na mnie z góry, jakby chciał powiedzieć, że krótka sprzeczka na pewno mnie ułagodzi.

- Komu?

- Panu. Łagodne słowo odwraca gniew.

Winterson roześmiał się i ludzie zaczęli na nas patrzeć.

- Proszę mi tu nie cytować Biblii, panno Follet. A odpowiadając na pani pytanie,

muszę stwierdzić, że to mogłoby zaszkodzić. Niektórym osobom dasz palec, a wezmą całą rękę. Jeśli pani ma ochotę być dla niej miła, proszę bardzo, taką ma pani naturę. Ale jeśli ja zacznę być miły, ona znowu niewłaściwie to zrozumie i wszystko zacznie się od nowa. Szkoda by było, bo odnoszę wrażenie, że wreszcie zaczyna rozumieć, że to nie jej pragnę, ale pani.

- Będę udawać, że nie słyszałam tego ostatniego zdania.

- Jak pani chce. Ale to prawda. Z dobrocią postępuję oszczędnie. Zarówno w stosunku do ludzi, jak i do koni. Okazuję ją, kiedy chcę coś dostać w zamian, albo w nagrodę, kiedy coś mi dano. Nie szafuję nią, zwłaszcza wobec tych, którzy mogliby ją wykorzystać. Lady Slatterly z pewnością by to zrobiła. Tak to wygląda.

Była to typowa odpowiedź bogacza, który nie widzi potrzeby rozstawania się z czymkolwiek, póki nie ma ku temu istotnych powodów. Ale stosowanie takich zasad do przyjaźni czy dobroci wydało mi się dziwne.

- Nigdy w życiu nie słyszałam nic równie cynicznego. Mam rozumieć, że był pan dla mnie dobry tylko dlatego, że liczył, iż otrzyma coś w zamian? Nie było to działanie bezinteresowne?

- W pani przypadku oba powody wchodzi w grę. Ma pani to, czego chcę, i coś od pani dostałem.

- Rozumiem, że gdyby nie to, nie miałby pan powodu oferować mi swojej dobroci.

- Nie mówmy o tym, co by było gdyby. Kiedy na panią patrzę, pragnę pani i nigdy nie zapomnę, co mi pani kiedyś dała.

- Ta rozmowa mnie szokuje... A kiedy... kiedy już pan to dostanie? Co dalej z dobrocią? Koniec? Dziękuję za ostrzeżenie.

- Nie, nie koniec. Kiedy dostanę to, czego chcę, będę chciał więcej. Nigdy nie przestanę chcieć więcej.

- Skąd ta pewność?

- Skąd? Naprawdę musi pani o to pytać? Jesteśmy...

- Ciii! Proszę nie mówić. Nie muszę pytać. Nie będę też pytać o współczucie, żal

czy chęć pomocy. Tymi rzeczami także pan się nie zajmuje.

- Jeśli znowu rozmawiamy o naszej wspólnej przyjaciółce, to od współczucia są kobiety, żal jest czymś, za co ona nie będzie wdzięczna, a pomaga jej ojciec. Wiem, czego jej trzeba, ale szuka tego w niewłaściwym miejscu. Chciałem jej pomóc...

- Urażając jej dumę na oczach przyjaciół? Żartując moim kosztem? To nie było miłe. - Prychnęłam ze złością. - Sprawił jej pan przykrość. Twierdzi pan, że rozumie kobiety, ale to nieprawda.

Winterson popatrzył na mnie w milczeniu.

- Dobrze rozumiem, czego chcecie... - powiedział miękko. - Ale raz już mnie zmuszono, żebym zrobił coś, czego nie chciałem, i prędzej piekło wystygnie, niż uczynię to ponownie. Stałem się cyniczny i być może nie potrafię być dobry. Powiem pani, że w ciągu tych sześciu lat mogłem ją mieć każdego dnia i w rezultacie mojej dobroci wylądowałbym splukany do suchej nitki. Bo tak to by się skończyło.

- Nie o tego rodzaju dobroć mi chodziło. A przy okazji, co pan miał na myśli, mówiąc, że zmuszono pana do zrobienia czegoś, na co nie miał pan ochoty?

- Proszę mi kiedyś przypomnieć. Powiem pani, ale to długa historia.

Domyślałam się, że chodzi o mnie, jednak nie naciskałam.

- Mam wrażenie, że mówimy o dwóch całkiem różnych rzeczach. Kobiety inaczej postrzegają dobroć. Mężczyźni kalkulują przed, a kobiety po, jeśli w ogóle.

- Wtedy na ogół jest już za późno.

- Tak to już jest.

Z sali balowej zaczęły dobiegać dźwięki gawota, co oznaczało koniec przerwy w tańcach. Spojrzeliśmy sobie w oczy, wspominając inny bal, kiedy niepomni tego, co nas dzieli, zatraciliśmy się w sobie bez reszty. Winterson stał się obojętny i zimny, ja straciłam ufność i poczułam żal. Ale nadeszła pora, żeby coś z tym zrobić i nie sprawiać sobie więcej bólu.

- Zatańcz ze mną - szepnął.

Musiał dostrzec niepewność w moich oczach, lecz nie zamierzał rezygnować. Zerwał się z krzesła, chwycił mnie za rękę i jak lunatyczkę poprowadził na parkiet,

gdzie dołączyliśmy do tańczących.

Nie wiem, czy patrzono na nas z oburzeniem, nie zwracaliśmy na to uwagi. W tańcu zbliżaliśmy się do siebie i oddalaliśmy, dotykaliśmy się czubkami palców. Miałam wrażenie, że ostatnie sześć lat zawarło się w tych sześciu minutach. Jego oczy płonęły pożądaniem, a co mówiły moje, nie wiem, choć na pewno zdradzały za dużo. Winterson świetnie tańczył. Koncentrował się wyłącznie na partnerce, jakby była jedyną kobietą na świecie. Pozostałe tańczące damy różowiły się, zerkały na niego spod rzęs, kiedy podawał im w tańcu rękę, ale nie zwracał na nie uwagi. Czułam, że zaczynam tracić nad sobą kontrolę w chwili, kiedy szczerze i otwarcie wyznał, że mnie pragnie. Tymi słowami uchylił drzwi do mojego serca.

Powolny, uwodzicielski rytuał dobiegł końca i teraz oboje czekaliśmy tylko na to, żeby móc stąd wreszcie wyjść. Rozmawialiśmy z przyjaciółmi, piliśmy i jedliśmy, śmialiśmy się z kiepskich żartów, aż wreszcie spotkaliśmy się z Medworthem i jego płodną żoną. W środku drżałam i szlochałam z rozpacz, lecz na zewnątrz byłam chłodna i opanowana. Jestem pewna, że nikt nie domyślał się, co czuję. Z wyjątkiem jego.

W końcu leniwym mrugnięciem dał mi znak, że wychodzimy. Zaczęliśmy się powoli żegnać. Winterson znalazł nasze płaszcze, a kiedy się ubraliśmy, wziął mnie na rękę i zaniósł cztery domy dalej, gdzie mieszkałam. Przez całą drogę milczał, zgadywałam więc, że myślimy o tym samym, choć było to poza wszelką dyskusją.

- Zamknij drzwi i kładź się spać - poleciłam zaszokowanemu lokajowi.

Zakładając, że mogę wrócić późno, powiedziałam Debbie, żeby na mnie nie czekała. Położyła się, lecz zostawiła w moim pokoju zapaloną świecę. Pożądanie ogarnęło nas jak ogień, przywarłam plecami do drzwi i od razu zaczęliśmy się całować i pieścić. W kominku płonął ogień i było ciepło, lecz żadne z nas nie zwróciło na to uwagi. Nie mieliśmy cierpliwości na długie wstępy. Z ulgą, że nareszcie jesteśmy sami, rzuciliśmy się na siebie wygłodniali i spragnieni.

Winterson szeptał polecenia z ustami tuż przy mojej twarzy, a z jego tonu mogłam się domyślić, że tym razem nie będzie się powściągał ani powstrzymywał jak

poprzednio. Zbyt długo na to czekał. Nie zamierzałam zresztą błagać o łagodność. Przymusowy celibat dał mi się we znaki. Nie byłam niewinną dziewczyną marzącą o czułych westchnieniach.. Tęskniłam za czymś wręcz przeciwnym.

Przekonałam się, że miałam rację co do niego.

- Zdejmij to - polecił.

- Pomóż mi... - szepnęłam bez tchu. - Na plecach haftki i tasiemka w środku.

Odwrócił mnie tyłem do siebie i szarpnął suknię, a urwane zapięcia rozsypały się po dywanie. Zsunął ją z moich ramion i rzucił na podłogę razem ze swoim surdudem.

Stałam, zakrywając piersi rękami, ale ujął mnie za nadgarstki i przycisnął moje szeroko rozłożone ręce do drzwi. Odchylił się do tyłu i oglądał mnie tak dokładnie, jakby chciał mnie wyrzeźbić. Zamknęłam oczy i odwróciłam głowę. Po chwili poczułam pieśczość jego ust na swoich piersiach.

- Rozwiąż mi fular - szepnął.

- Puść moje ręce...

Podczas kiedy z zamkniętymi oczami zmagalam się z fularem, on pieścił moje biodra i talię. W końcu pokonałam węzeł, a on odplątał miar z szyi i rzucił go na surdud. Pocałował mnie i wtedy przypomniałam sobie, jak szorstko odzywał się dziś do mnie na balu.

- Helene, popatrz na mnie... - poprosił, wpatrując się we mnie tak intensywnie jak nigdy dotąd. - Poprzednio znienawidziłaś mnie za to. Nie chcę, żeby to się powtórzyło. Wtedy miałaś ochotę i teraz też masz, ale nie karz mnie potem swoją nienawiścią.

- Nie nienawidzę cię - szepnęłam, ujmując jego twarz w dłonie. - Tym razem ja zdecydowałam i o to właśnie proszę. O prawo do decyzji. Tej nocy przyjmę wszystko, co mi dasz, i chcę odplacić się tym samym. Obojętne, czy zrobisz to z dobroci, czy nie, nie będę cię za to nienawidzić.

- O niczym więcej nie marzyłem - szepnął, zamykając mi usta pocałunkiem.

Potem zaniósł mnie na łóżko i szybko zdarł z siebie spodnie i koszulę. Był jesz-

cze piękniejszy, niż zapamiętałam. Szerokie ramiona, silne plecy i umięśnione nogi upodabniały go do posągu greckiego boga. Oszołomiona pożądaniem, patrzyłam, jak zdmuchnął świecę, a po chwili poczułam jego ciężar na materacu i ciepło jego ciała.

Leżąc w ciszy i w ciemności, zastanawiałam się, czy celowo starał się odtworzyć warunki, w jakich kochaliśmy się za pierwszym razem. Pamiętam, że wtedy usiłowałam z nim walczyć, choć robiłam to tylko dla zachowania pozorów. Był szalenie namiętny, uwodził mnie, pieścił i kochał się ze mną ze znanstwem wytrawnego kochanka. Myślałam, że chciał mi sprawić prezent na urodziny. Dopiero później poznałam prawdę.

Teraz było inaczej, bo zdążyłam go już trochę poznać.

Znałam też siebie i wiedziałam, jak bardzo go pragnę. Byłam gotowa zapomnieć o rozsądku i oddać mu się bez reszty. Uznałam, że nawet jeśli nie będzie delikatny, to i tak wolę to niż cztery lata pustki.

Wodził dłońmi po całym moim ciele, które spragnione dotyku, ożyło i zaczęło domagać się dalszych pieszczot. Wsunęłam palce w jego jedwabiste włosy i zaczęłam całować twarz, pragnąc nasycić się jego smakiem i zapachem.

Ale on się nie spieszył. Kazał mi czekać.

- Jeszcze nie, moja piękna. - Roześmiał się i odsunął moje niecierpliwe ręce. - Jeszcze nie - szepnął i zaczął pieścić moje piersi ustami i językiem. Robił to powoli, z rozmysłem, a ja nie byłam w stanie dłużej tego znieść.

- Burl... proszę - wyjąkałam, a on, jakby tylko czekał, aż wymówię jego imię, wszedł we mnie. Powolne, silne pchnięcia doprowadzały mnie do ekstazy. Czułam, że nie jestem już Helene, ten mężczyzna budził we mnie prymitywną płodną kobiecość, która jak matka Ziemia miała dawać plony. Moje łono, dojrzałe i spragnione jego nasienia, niecierpliwie czekało. Cały świat nagle zniknął, został tylko on.

Myślę, że oboje chcieliśmy, żeby to trwało dłużej, ale nie wzięliśmy pod uwagę stresu, jakim był dla nas ciężki wieczór i wcześniejsze nieporozumienia. Żadne z nas nie mogło się już zatrzymać. Burl nie starał się tym razem być szczególnie delikatny, ale muszę przyznać, że tak było dużo lepiej.

- Kochanie... wytrzymaj jeszcze - wyszeptał.

Myślał, że chcę protestować, ale ja tylko wbiłam mu paznokcie w plecy i jęczałam w zapamiętaniu. Rozkosz, jaką mi sprawiał, stawała się nie do zniesienia, aż w końcu eksplodowała tysiącem fajerwerków. Czułam, że unoszę się na falach, które kołyszą mnie coraz łagodniej i łagodniej, i w końcu odpłynęłam w sen.

Spaliśmy wtuleni w siebie jak dzieci. Jego ręce spoczywały na moich piersiach, twarz leżała na rozpuszczonych włosach i zaplątanych w nie perłach. Obudził mnie wiatr wyjący za oknem i tak jak przed laty poczułam jego ciepłe ciało przytulone do moich pleców. Pogłaskał moje biodro, a potem wsunął mi dłoń między uda.

Mogliśmy odtworzyć scenę sprzed lat, tyle że teraz nie byliśmy już obcymi ludźmi. Sen na nowo obudził w nas apetyt na miłość, tym razem bez żadnego poczucia winy. Burl musiał już nie spać od jakiegoś czasu, bo był niecierpliwy. Bez żadnych wstępów odwrócił mnie na plecy i przycisnął do materaca. Czułam, że mam prawo protestować, bo na takim etapie nie zaszkodziłaby mi odrobina uwodzenia, nawet jeśli kochanek nie mógł się już doczekać finału. Ugryzłam go więc w to, co akurat było najbliższe. Trafiłam na brodę. Odsunął się, a ja wykorzystałam sytuację i odturlałam się na bok.

Burl chwycił mnie za nogi i przyciągnął do siebie, a potem rozchylił mi uda i umiejscowił się między nimi. Przyznam, że do tej pory nie przyszło mi do głowy, że można to robić inaczej. Ale tej nocy Burl nauczył mnie, że tak długo, jak długo sprawa to przyjemność obojgu kochankom, można się kochać, obojętne jak, gdzie i kiedy.

Początkowo wcale mu tego nie ułatwiałam, protestując, że w lutym jest za zimno, żeby kochać się bez przykrycia. Problem jednak szybko się rozwiązał, bo to, co mi pokazał, było najwspanialszym i najbardziej podniecającym przeżyciem, jakiego doświadczyłam. Tym razem spełnienie przyszło nagle, a my mogliśmy się tylko śmiać.

- Moja piękna dzikuska - szepnął Burl, tuląc głowę do moich piersi. - Odniosłem kilka ran, ale chyba już cię poskromiłem. Jak myślisz?

- Jesteś pozbawionym manier brutalem... - mruknęłam, udając urażoną.

Objął mnie mocniej i zaśmiał się.

Śmiech w takiej sytuacji był dla mnie czymś nowym. Linas nigdy się nie śmiał. Kochał się z powagą, cicho i pośpiesznie, grzecznie i jakby z rezerwą. A potem od razu zasypiał. Nigdy ze mną nie rozmawiał, nie przytulał się do mnie ani nie żartował. Nie mówił mi komplementów ani mnie nie chwalił. A teraz w ciągu jednej nocy szlochałam i śmiałam się i na swój własny sposób wzięłam odwet i doświadczyłam więcej radości i rozkoszy niż przez te wszystkie minione lata.

Wyczerpani miłością, leżeliśmy ociężali, przekomarzając się i prawiąc sobie słodkie słówka. Ja zarzucałam Burlowi, że jest zbyt z siebie zadowolony, a on oskarżał mnie o impulsywność. Sugerował jednak, że małżeństwo i drugie dziecko mnie utemperują.

Otuleni kołdrą, słuchaliśmy, jak wyje wiatr za oknem.

- Tylko po to było to wszystko? Chodzi ci jedynie o drugie dziecko?

- Pani niewinność jest nadzwyczajna, panno Follet. Uważa pani, że jedynym moim celem było zapłodnienie pani? A może jednak chodziło o naszą wspólną przyjemność?

- Wiesz, o czym mówię. Ta noc. Czy to nie było wymuszenie?

- Nie zepsuj tego, kochanie.

- Dobrze. Miałam cię nie obwiniać. Ale zapytam cię o to samo za trzy miesiące.

- Nie będzie takiej potrzeby. Za trzy miesiące będziesz już moją żoną.

- Nie będę.

- Jesteś małą gąską. Śpij.

Nie zasnęłam od razu jak on. Leżałam, rozmyślając o tym, jak łatwo przyszło mi zapomnieć, że miałam go trzymać na dystans. Targały mną skrajne emocje, wiedziałam jednak, że już się zaangażowałam i że prędzej czy później poczuję się zobowiązana wyrazić zgodę na jego propozycję, jeśli można to tak nazwać. Miałam w ręku ostatnią kartę, był nią czas. Liczyłam się z tym, że po dzisiejszej nocy ponownie będę w ciąży. Postanowiłam więc utrzymać go w niepewności najdłużej, jak zdołam, a kiedy się wreszcie zgodzę, będę miała ku temu wyraźny powód.

Ale nie tylko to mnie martwiło. Uświadomiłam sobie, że kobiety, idąc do ślubu,

prawie nie znają swoich przyszłych mężów. Ja natomiast wiedziałam o Burlu rzeczy, które nie napawały mnie optymizmem na przyszłość. Burl brał to, czego chciał. Teraz chciał, żebym razem z Jamiem stworzyła mu w ekspresowym tempie rodzinę. Stąd to nagłe zainteresowanie moją osobą i kolejna namiętna noc. Sam się do tego przyznał. Oczekiwał, że to mi pochlebi? Że będę usatysfakcjonowana? A może oburzona? Czy teraz, kiedy znów osiągnie cel, przestanie się mną interesować, czy nadal będzie mnie pragnął? Wiedziałam, że to gra, ale czy powinnam się aż tak przejmować? Gdyby nie zależało mi na nim tak bardzo, łatwiej byłoby mi podjąć decyzję.

Następnego ranka obudziłam się, nim Jamie jak co rano wpadł od mojej sypialni. Burl leżał obok, ale nie spał.

- Nie chciałem wychodzić bez słowa, jak poprzednio. Obudź się i posłuchaj.

Był już ubrany i gotowy do wyjścia.

- Chcę wrócić do domu, zanim moi rodzice się obudzą. Przyślę powóz po ciebie i Jamiego.

- Nie ma potrzeby, mogę przyjechać swoim.

- Za bardzo wieje.

- Dobrze, ale najpierw muszę odwiedzić Prue.

- W niedzielę? Po co?

- Jej rodzice chorują na dyzenterię. Muszę jej pomóc.

- Kobieto, na litość boską! To bardzo zaraźliwe. Trzymaj się od niej z daleka.

- Nie będę się do niej zbliżać, ale muszę tam pojechać.

- Wyślij kogoś ze służby. Pomyśl o Jamiem, proszę.

- Dobrze... Skoro nalegasz, nie pojedę.

- Obiecujesz?

- Tak. Do południa będę gotowa.

- Ubierz się ciepło. Zostaniesz na noc?

- Dziękuję, ale nie - odparłam z uśmiechem. - Jutro rano muszę być w zakładzie.

Zrozumiał i skinął głową. Mieliśmy się spotkać za kilka godzin, ale na pożegnanie pocałował mnie tak namiętnie, że choć prawie spałam, poczułam pożądanie.

Chwilę później Jamie wpadł do mojej sypialni i wskoczył do łóżka.

- Łóżko jest takie ciepłe. Debbie spała u ciebie? - zapytał.

- Nie, kochanie. Dzisiaj jedziemy na obiad do Abbots Mere.

- Wspaniale! Chciałbym, żeby stryjek Burl był moim papą. Możemy go o to poprosić?

- Nie, skarbie. Jeszcze nie teraz. Od śmierci twojego papy minęło zbyt mało czasu. Na razie musimy się zadowolić tym, że stryj Burl jest twoim opiekunem. To prawie to samo.

- Ale ja chcę z nim zamieszkać. Tak jak Claude mieszka ze swoim papą. Przyjaciel Claude'a powiedział, że ja nie mam papy.

Czułam, że Jamie był tym urażony i skonsternowany.

- Jestem pewna, że przyjaciel Claude'a nie chciał być niegrzeczny - powiedziałam cicho, gładząc go po ciemnej główce. - Może po prostu tego nie rozumie.

- On chciał być niegrzeczny, mamó. Powiedział, że ja nigdy nie miałem papy i że ty nie byłaś jego żoną. Byłaś żoną papy, mamó, prawda?

- To, czy twoi rodzice są małżeństwem, czy nie, nie powinno obchodzić przyjaciela Claude'a. Jeśli jeszcze kiedyś o tym wspomni, porozmawiam ze stryjem Medworthem.

- Stryjek Medith o tym wie.

- Wie, jak niegrzecznie zachował się tamten chłopiec? I co zrobił?

- Powiedział, że ma na głowie ważniejsze sprawy niż to.

Rozdział dziesiąty

Najchętniej sama pojechałabym do Prue, ale nie chciałam ryzykować, że Jamie mógłby się ode mnie zarazić. Wysłałam więc Debbie z koszykiem jedzenia, każąc jej przed wyjściem z domu zawiązać chustkę na twarzy. Wróciła po godzinie i nie miała dobrych wieści. Rodzice Prue wciąż chorowali, a medykamenty, które im zawiozłam, nie pomagały. Z dnia na dzień byli coraz słabsi i to najbardziej martwiło Prue. Ona sama jakoś się trzymała.

Miałam być gotowa w południe. Nie chciałam sprawić zawodu Jamiemu ani trzymać na deszczu człowieka, który przyjechał zabrać nas do Abbots Mere. Głos sumienia mówił mi, że Prue potrzebny jest lekarz, ale stłumiłam go. Powiedziałam sobie, że do jutra sytuacja może się poprawić, a jeśli nie, to z samego rana wyślę do nich swojego doktora Biggsa, po czym z Jamiem i panią Goode ruszyłam do Abbots Mere na obiad. Drogi były tak zalane i rozmiękłe, że miejscami jechaliśmy zanurzeni w wodzie do połowy kół.

Jamie udawał, że płynie łodzią. Deszcz nieprzerwanie bębnił o dach i odbijał się od końskich grzbietów. Po wietrznej nocy na drodze leżało sporo połamanych gałęzi, a każde zagłębienie gruntu zamieniało się w jezioro, odbijające ciężkie ołowiane niebo.

Po podróży Abbots Mere wydało się nam ciepłe i przytulne. Na kominkach płonął ogień, a lampy oliwne i świeczniki dawały miłe, miękkie światło. Już w holu było czuć smakowity zapach pieczeni i puddingu. Usłyszałam czyjś śmiech i z obawą pomyślałam o spotkaniu z rodzicami Wintersona. Nie widziałam ich od pogrzebu Lina-sa.

Ubrałam się odpowiednio do sytuacji. Miałam na sobie suknię z długimi rękawami, uszytą z gładkiej srebrnoszarej tafty, a na niej ciemnoszary aksamitny bezrękawnik. Żadnej biżuterii ani wzorzystych tkanin. Włosy zczesalam do góry i przewiązałam czarnymi wstążkami, które zwisały mi na plecach. Nic nie zdradzało mojej obłudy ani tego, jak czułam się po nocy spędzonej w ramionach brata mojego zmarłego

go kochanka.

- Pięknie pani wygląda, panno Follet. Dobrze się pani czuje? - szepnął Winter-son.

- Tak, dziękuję. Chociaż jestem trochę zmęczona - odparłam, skromnie spuszcżając oczy.

- Naprawdę? Nie przywykła pani do tego, prawda? - Jego oczy śmiały się do mnie.

- Ciii... Jamie, kochanie. Claude przyszedł się z tobą przywitać.

Wykorzystałam Jamiego, by przerwać te szepty. Rodzice Burla odwrócili się w moją stronę. Nie byli wyniośli ani onieśmielający, ale kiedy byłam kochanką Linasa, traktowali mnie z pewną rezerwą. Teraz to się zmieniło. Myślę, że byli mi wdzięczni za oddanie, z jakim go pielęgnowałam, i że w pewnym sensie podziwiali mnie za to. Jeśli wierzyć Linasowi, przyjscie na świat wnuka ucieszyło ich i pewnie też wpłynęło na zmianę ich stosunku do mnie. W każdym razie teraz witali nas oboje z uśmiechem.

Lord i lady Stillingfleete stanowili piękną parę. Kiedy się pobierali, on był majorem kawalerii, a ona znaną pięknoscią. Dawna lady Frances Milton wciąż zachowała ślady urody. Dostojna i srebrnowłosa, jednym spojrzeniem czarnych oczu potrafiła okazać, w jakim stopniu kogoś akceptuje. Zastanawiałam się, czy dostrzegła we mnie coś, co sugerowałoby wczorajszą namiętą noc. Na wszelki wypadek postawiłam futrzany kołnierz bezrękawnika, tak by zakrywał mi szyję. Lord Stillingfleete oderwał nagle wzrok od syna, spojrzał na mnie i poprosił, bym podeszła bliżej ognia. Zrozumiałam, że właściwie odczytał mój gest. Nie powinnam była poprawiać kołnierza. Dygnęłam przed nim, ale nie stanęłam przy kominku, tylko zbliżyłam się do Cynthii i Medwortha.

Miałam wprawę w udawaniu, lecz los poskąpił mi talentów aktorskich. Czując, że zdradziecki rumieniec oblewa mi policzki, przywitałam się z nimi i zaczęłam słuchać opowieści o niebezpieczeństwach podróży z Osbaldwick. Dziadkowie tymczasem nie odrywali oczu od wnuka, którego ciemne włosy i oczy były identyczne jak u ich pierworodnego. Nagle zrozumieli, ale szybko otrząsnęli się z zaskoczenia i ode-

rwali wzrok od małego. Tymczasem Claude próbował dosiąść jednego z psów Wintersona, mimo że zwierzak wyraźnie nie miał na to ochoty. Medworth nie reagował na wyczyny swojego za grubego i potwornie rozpieszczonego syna. W jego oczach wszystko, co robił Claude, zasługiwało na pochwałę.

Podczas obiadu trudno mi było skupić się na rozmowie. Nie miałam apetytu na pieczeń ani na bażanta czy łososia. Chciałam tylko Burla. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się, co będę czuła, jeśli tamta noc sprzed lat się powtórzy, bo byłam pewna, że to nie nastąpi. Teraz nie umiałam sobie poradzić z kłębiącymi się we mnie emocjami i z tym, że moje wygłodniałe ciało nie zaspokoilo się kilkoma godzinami miłości. Wspominając wczorajszą noc, nie byłam w stanie wypowiedzieć w całości żadnego zdania. Jąkałam się i plątałam i Winterson nie raz musiał mnie ratować, patrząc mi z uśmiechem w oczy i czytając w nich jak w księdze.

Dzieciom pozwolono usiąść przy stole z dorosłymi, co było dość niezwykle, ale moim zdaniem przy szczególnych okazjach można było na to pozwolić. Jamie zachowywał się spokojnie i nie brudził, za to Claude rozrzucał jedzenie i bez przerwy absorbował Cynthię, nie pozwalając jej zjeść obiadu. Było mi bardzo przyjemnie, że mój syn zaprezentował dobre maniere, natomiast Medworth w ogóle nie dostrzegał problemu.

Siedzieliśmy w cieple, w blasku ognia, a płonące w kominku szczapy jabłoni wypełniały pokój słodkim aromatem. Szarlotka, kremowy pudding ryżowy z gałką muszkatołową i słodki pudding z rodzynkami i kremem były w taką pogodę doskonałym zakończeniem rodzinnego obiadu.

Winterson i jego ojciec podeszli ze szklaneczkami porto do okna i patrzyli na zalany wodą taras i brunatne wody rzeki płynące w poprzek pola.

- Kiedy tu ostatnio byliście, ludzie czyścili kanały, ale potem spadł śnieg, teraz pada i wszystkie się przepełniły. Zalało część pól i miną całe miesiące, zanim zejdzie z nich woda.

- Zaczynij uprawiać nieużytki.

- Tak właśnie zrobię - odparł Winterson. - Mam już plan. Chętnie ci go pokażę.

Jest w gabinecie.

- Zaraz ci powiem, gdzie chcesz popełnić błąd - odparł ojciec i obaj się uśmiechnęli.

Wyszli, zostawiając Cynthię i lady Stillingfleete odpoczywające w głębokich fotelach. Pani Goode siedziała z chłopcami na poduszkach przy oknie i czytała im książkę. Zostałam sama z Medworthem, który niepokoił się, czy zdąży na wieczorne nabożeństwo. Wyjął z kieszeni plik kartek, przysunął sobie świecznik i zaczął czytać na głos kazanie.

Nieświadoma tego, co robię, poszłam za Wintersonem. Nie zamierzałam podsłuchiwać, ale dźwięk jego głosu zwabił mnie pod drzwi gabinetu, gdzie co rano spotykał się ze swoim rządcą i ustalał zakres prac w gospodarstwie na dany dzień. Przez uchylone drzwi dostrzegłam stół pokryty mapami. Winterson i jego ojciec stali przy oknie i rozmawiali.

- Musisz się z nią ożenić, Burl. Niech to diabli, ani trochę cię nie winię. Ta kobieta daleko zajdzie. Ale Jamie jest twój. To jasne jak słońce, a im mały będzie starszy, tym bardziej będzie to widać. Wtedy będziesz musiał się tłumaczyć. Nie lepiej zalegalizować wszystko teraz, niż czekać kolejnych parę lat? Co cię powstrzymuje?

- Ona. Nie wybaczyła mi jeszcze tego, co się stało. Linas nie traktował jej tak jak powinien. Minie trochę czasu, zanim zdobędę jej zaufanie.

- Nie znam szczegółów waszej umowy. To nie moja sprawa, niemniej czas jest właśnie tym, czego w tym przypadku nie masz. Zrób z tym porządek, zanim ludzie zaczną plotkować. Skoro ja i matka to widzimy, to inni też.

- Staram się. Ale muszę poczekać, aż sama do mnie przyjdzie.

- Helene jest w tobie zakochana. To widać.

- Może tak być.

- To ci nie wystarczy? Chłopiec bardziej potrzebuje ojca niż opiekuna.

- Wiem. I ona także o tym wie. Daj mi czas do...

Mężczyźni odeszli od okna, a ja szybko wycofałam się w głąb korytarza. „Helene jest w tobie zakochana... to ci nie wystarczy?... Musisz się z nią ożenić, Burl”.

Wszystko się we mnie buntowało przeciwko temu, co przed chwilą usłyszałam. Ich poglądy były biało-czarne, nie mieli pojęcia, ile odcieni szarości mieści się między tymi skrajnościami. Żaden z nich nie wiedział, co zamierzam. Ojciec Burla uważał, że szybki ślub załatwi sprawę. Dobrze, że przynajmniej Burl rozumiał, iż poślubię go dopiero wtedy, kiedy sama uznam to za właściwe.

Kaszląc i narzekając na pogodę, ponownie podeszłam do drzwi gabinetu, a potem zapukałam i weszłam. Obaj mężczyźni pochyleni nad mapami unieśli ze zdziwieniem głowy. Kobiety rzadko zaglądały do męskich gabinetów.

- Mogę wejść? Nie chciałabym przeszkadzać...

Zerknęłam na mapę. Ziemie należące do posiadłości Abbots Mere były zaznaczone na szaro, a ciemniejszym szarym oznaczono tereny będące własnością lorda Slatterly'ego, które oddał w użytkowanie Wintersonowi. Na wschód od obu zaznaczonych terytoriów znajdował się duży obszar otoczony czerwoną linią.

- Co to jest? - zapytałam, choć znałam odpowiedź.

- To Foss Beck. Porzucone, odkąd pamiętam. Pora, żebyś się temu przyjrzał, Burl.

- Pojadę tam, jak tylko woda opadnie. Nie możemy już dłużej pozwalać, żeby nasze ziemie leżały odłogiem. Jestem pewien, że kiedyś były tam jakieś ruiny.

- Zburzysz ruiny, a z kamieni postawisz budynki gospodarcze.

- Foss Beck należy do pana? - zapytałam zszokowana, a ton mojego głosu sprawił, że obaj spojrzeli na mnie.

- Od wieków stanowi część tej posiadłości. Kiedyś była to kwitnąca wioska. Był tam dwór i kościół. Mieli nawet księdza. Z tego co pamiętam, cała wioska wymarła w czasie zarazy. Na pewno są tam jakieś pola warte rekultywacji.

- Skoro wioska jest opuszczona, to ziemia jest niczyja i każdy może...

- Nie każdy, panno Follet - przerwał mi lord Stillingfleete. - To, o czym pani mówi, dotyczy tylko terenów uznanych przez prawo za ziemie wspólne. Foss Beck nigdy nie było ziemią wspólną. Część naszych pól przez lata leżała odłogiem. Ale czasy się zmieniają. Rolnictwo się rozwija i dzięki nowoczesnym metodom nawet

gorsze gleby mogą dobrze rodzić. Mamy lepsze, odporniejsze na choroby ziarno i nowe, silniejsze gatunki owiec. Najwyższy czas, by Burl zajął się tą ziemią. Szczególnie po tak ciężkiej zimie jak ta.

Stałam jak oniemiała. Foss Beck było moim drugim domem, odkąd skończyłam czternaście lat. Moja rodzina gospodarowała tam najlepiej jak mogła. Zamierzali nawet odbudować zrujnowany dwór. Gdzie się podzieją, kiedy ludzie Wintersona przyjdą burzyć dwór? Przez głowę przelatywały mi różne myśli. Może powinnam im powiedzieć, że ruiny są zamieszkane? Ale jak wyjaśnić dlaczego? Co powie lord Stillingfleete, kiedy dowie się, że matką jego wnuka jest córka kryminalisty, której rodzina nielegalnie mieszka na terenie Abbots Mere i że jej ojciec jest tam pochowany?

Mężczyźni pochyliłi się ponownie nad mapami, a ja zrozumiałam, że muszę uprzedzić moich bliskich o planach Wintersona. Czekala mnie wyprawa do Foss Beck.

Cały dzień padało, ale wróciliśmy na Blake Street przed zmrokiem. Wcześniej Winterson znalazł okazję, by zostać ze mną sam na sam. Spytał, co mi dolega, czy to zmęczenie, czy chodzi o coś innego.

Skłamałam, że to tylko niewyspanie, choć nie wiem, na ile byłam przekonująca. Wydawało się jednak, że uwierzył. Gdyby nie obecność jego rodziców, może powiedziałabym mu, jaką katastrofą były jego plany dla mojej rodziny. Słyszac zawodzenie zmęczonego Claude'a, przypomniałam sobie o jego urodzinach i o tym, że mam zawieźć Jamiego do Osbaldwick. To dobrze, bo w tym czasie ja pojedę do Foss Beck.

Gdy Cynthia odjeżdżała, pomachałam jej na pożegnanie.

- Do zobaczenia we wtorek - krzyknęłam na wypadek, gdyby Winterson nie wiedział o zaproszeniu na urodziny.

Pragnęłam go do szaleństwa i niewiele brakowało, żeby zostala na noc w Abbots Mere. Nie zrobiłam tego, bo nie chciałam, by jego rodzice uznali, że Burl zajął miejsce Linasa. To nie było takie proste. Jeszcze niedawno twierdziłam, że nigdy nie zostanę jego kochanką. Wprawdzie on się tym nie przejął i znalazł sposób, żeby to obejść. Jednak w oczach jego bliskich pragnęłam uchodzić za kobietą stałą w uczu-

ciach.

Dość niezwykle było to, że ojciec Burla chciał go ze mną ożenić. Byłam przecież tylko zwykłą krawcową, a arystokracja zazwyczaj przywiązywała dużą wagę do odpowiedniego pochodzenia przyszłych synowych. Musiało być ono bez zarzutu i dobrze udokumentowane. O mnie, niestety, nie można było powiedzieć nic dostatecznie wzniosłego, tyle że na moją korzyść przemawiało urodzenie Jamiego. Mój syn był dzieckiem Burla i dziedzicem Stillingfleete'ów. Nikt nie zamierzał tego mówić oficjalnie, ale gdybyśmy wzięli ślub, nie robiono by z tego powodu problemów. Dlatego, wciąż urażona tym, jak mnie wykorzystano, nie czułam się zobligowana do natychmiastowego ślubu.

Spałam sama i dość niespokojnie. Wspominałam poprzednią noc i pytałam, czemu los pokarał moją rodzinę, zmuszając ją, by żyła w biedzie i zapomnieniu, i czemu ja musiałam się wyprzeć samej siebie.

Następnego dnia z samego rana zaniósłam Prue jedzenie i czystą pościel. Wstałam też do doktora Biggsa i poprosiłam, żeby zbadał jej rodziców. Dom zniszczony przez powódź znajdował się w opłakanym stanie, a matka i ojciec Prue byli tak osłabieni chorobą, że nie mogli się nawet poruszać. Doktor tylko pokiwał smutno głową. Zaproponowałam, że zabiorę ich do siebie, ale unieśli się dumą i nie chcieli nawet o tym słyszeć. Zrobiliśmy dla nich wszystko, co było możliwe. Zdaniem lekarza zostało im tylko kilka dni życia.

Pod nieobecność Prue nasz zakład funkcjonował tak sprawnie, jak gdyby cały czas w nim była. Zatrudniłyśmy praktykantkę z dobrą prezencją, chętną do pracy i skrupulatną. Dziewczyna przejęła sprawy administracyjne, które zawsze pochłaniają dużo czasu, dzięki czemu ja mogłam się spokojnie zająć listą klientek, projektowaniem sukni i rachunkami, a Betty z powodzeniem zastępowała Prue. Zamówienia były realizowane w terminie i wszyscy byli zadowoleni.

Wieczorem zajrzałam do Stonegate, żeby zamówić powóz na jutro. Kazałam go podstawić na Blake Street wcześniej rano, bez względu na pogodę. Upредиłam panią Goode, że nie zdążę odebrać jej i małego przed zmrokiem, więc czeka ich nocleg u

państwa Monktonów. Kiedy teraz myślę o tych przygotowaniach, widzę, jak desperacko próbowałam pogodzić wszystkie swoje obowiązki i jak tchórzliwie postąpiłam, nie mówiąc synowi, że znowu jadę do babci bez niego. Nie uprzedziłam go nawet, że będzie nocował w Osbaldwick, licząc, że pani Goode i Cynthia jakoś sobie z tym poradzą. Bałam się, że Jamie zrobi awanturę i nie chciałam go prowokować. W Yorkshire mamy takie powiedzenie: „Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”. Tyle że w przypadku Jamiego było to ewidentnie nieprawdziwe.

Jadąc do Medwortha i Cynthii, stwierdziłam, że tym razem rzeczywiście nie przesadzali, opowiadając w niedzielę o zalanych drogach do Osbaldwick. Mój powóz nie był jednym z tych modeli z najwyższym zawieszeniem, ale jego podłoga znajdowała się powyżej tylnych dużych kół, czyli dość wysoko. Mimo to, kiedy konie szły po brzuchy w wodzie, niewiele brakowało, by zaczęło się nalewać do środka. Pani Goode, która na ogół powstrzymywała się od komentarzy, tym razem narzekała, że pan Monkton nie pomyślał, aby wysłać po nas swój duży powóz i zapewnić nam bezpieczną podróż. Miała trochę racji, ale ja byłam zadowolona, że tego nie zrobił, bo w powozie ukryłam prowiant dla swojej rodziny.

Na przyjęciu urodzinowym Claude'a spędziłam dość czasu, by nikogo nie obrazić zbyt pospiesznym wyjściem. A potem, korzystając z tego, że Jamie był zajęty, wymknęłam się, nie mówiąc mu do widzenia. Cynthia zapewniła, że Jamie i opiekunka mogą zanocować. Umówiliśmy się więc, że odbiorę ich jutro przed zmrokiem. Ruszyłam na wschód. Ostatni raz jechałam wtedy, kiedy jeszcze leżał śnieg, i nie miałam pojęcia, że wszystko jest aż tak zalane. Robiłam sobie wyrzuty, że nie spojrzałam uważniej na mapy Wintersona. Nawet wyżej położone tereny były grząskie i rozmiękłe, a koła innych pojazdów zostawiały w takiej nawierzchni głębokie koleiny, z których nie można było wyjechać.

Zaczęłam się niepokoić, bo niebo robiło się coraz ciemniejsze. Patrzyłam, jak owce na pastwiskach zbijają się w ciasne stada, chroniąc się w ten sposób przed zaciągającym lodowatym deszczem. Z przydrożnych kamieni spływały brunatne strugi, wpadały do głębokich rowów, a potem przelewały się przez drogę, ponieważ przepu-

sty budowane pod drogami nie były w stanie pomieścić takiej ilości wody. Nagle dotarło do mnie, że niewielki strumyk w Foss Beck też musiał się powiększyć i wylać.

Moja wyprawa okazała się kompletną katastrofą. Kiedy dotarłam wreszcie do Foss Beck, zobaczyłam, że dwór aż do poziomu pierwszego piętra znajduje się pod wodą i jest całkowicie odcięty od świata. Stałam na brzegu nowo powstałego jeziora, ociekałam deszczem i krzykiem porozumiewałam się z braćmi. Dowiedziałam się, że Pierre opuścił ich po jakiejś awanturze i od tamtej pory go nie widzieli. Powiedziałam im tylko, żeby szykowali się do drogi, bo nie mogą tu dłużej zostać, a ja wrócę jutro z łodzią. Odparli, że matka nie zgodzi się wyjechać, czym mnie naprawdę rozzłościłi. Popatrzyłam na zmęczone konie i zaryty w błocie powóz i zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem wrócę do domu.

Droga powrotna była koszmarem. W zapadających ciemnościach konie, brnąc w głębokiej wodzie, nie mogły znaleźć traktu. W końcu powóz stanął i przechylił się na jeden bok. Zrozumiałam, że to koniec jazdy i dalej mogę iść jedynie pieszo. Drżąc z zimna, zaczęłam wyprzęgać konie. Nagle poprzez zawodzenie wiatru usłyszałam, że ktoś nadjeżdża. Mój powóz blokował drogę. Zbliżający się ludzie będą musieli zawrócić albo zepchnąć go na bok. Buty już dawno zgubiłam w błocie, więc bosa, przemoczona i zmarznięta, stałam po kostki w lodowatej brei i głośno szczykałam zębami.

Zobaczyłam światła powozu i ciągnące go potężne konie. Mężczyzna, który powoził, wydawał mi się ogromny. Z pojazdu wysiadło kilku ludzi. Nawołując się wzajemnie, od razu ruszyli do moich koni. Jeden z nich wyglądał znajomo i to on właśnie podszedł do mnie.

- Do diabła! - krzyknął, wyłaniając się z szarej wilgoci.

- Utknęłam... - wyjąkałam, machając rękami, żeby utrzymać równowagę.

Z ponurą miną i ze ściekającą po mokrych włosach wodą był szalenie przystojny. Chwycił mnie za rękę, pochylił się i wsunął mi głowę i bark pod ramię.

- Oprzyj się na moim ramieniu... dobrze... pochyl się... w porządku. Teraz cię pociągnę.

Myślałam, że mam się o niego oprzeć, a tu nagle znalazłam się w powietrzu, jak

ptak.

- Przyjechałeś po mnie... - wyszeptałam z ulgą, obejmując ukochanego za szyję i szlochając.

- Przyjechałem, ale im szybciej przestaniesz uganiać się po okolicy jak anioł miłosierdzia, tym lepiej będzie dla nas wszystkich. Foss Beck jest pod wodą, jakim cudem zamierzałaś tam dotrzeć?

- Wiedziałaś?

- Oczywiście, że wiedziałem - rzucił ostro. - To przecież moja ziemia. Muszę wiedzieć, kto na niej mieszka. Nie jestem taki tępy. Nie ruszaj się stąd i czekaj - powiedział, stawiając mnie ostrożnie na ziemi. Wyjął z powozu koc, starannie mnie otulił i wsadził do suchego wnętrza.

- Nigdy nie uważałam, że jesteś tępy - mruknęłam.

- Spróbuj myśleć głową, a nie sercem, bo inaczej co miesiąc będę musiał cię ratować z takich opresji - odparł i zatrzasnął drzwi pojazdu. Byłam tak zmęczona, że nie miałam siły się obrazić ani nawet pomyśleć nad jakąś ripostą.

Dla mnie sprawa była prosta. Musiałam ostrzec rodzinę i nie mogłam z tym czekać, aż poprawi się sytuacja na drogach. Ale komuś, kto tak jak Burl traktował dobroć jak towar, mogłam się wydawać aniołem miłosierdzia. Leżałam nieruchomo. Było mi zimno i kręciło mi się w głowie. Po jakimś czasie usłyszałam, że moje konie zostały wyprężone.

Burl zajrzał do powozu i okrył moje zabłocone stopy drugim kocem.

- Zostawcie powóz - krzyknął. - Wrócimy po niego jutro. Jedziemy do domu, wskakujcie.

Kiedy usiadł w pojeździe, posadził mnie sobie na kolanach, a moje nogi ułożył na siedzeniu. Przytuliłam się do jego nasączonego deszczem płaszcza i poczułam, że teraz już nic mi nie grozi.

- Jesteś cała mokra i nic na to nie poradzę, ale kusi mnie, żeby przełożyć cię przez kolano i raz na zawsze wybić ci z głowy takie pomysły.

- Nie rób tego, proszę.

Pocałował mnie w czoło, a potem wytarł mi twarz i oczy chusteczką i mocniej mnie przytulił. Powóz szarpał i kołysał. Powoli zaczynałam się rozgrzewać i leniwie myślałam o nawale problemów do rozwiązania.

- Muszę odebrać Jamiego z Osbaldwick...

- Nie musisz. Jamie i pani Goode są w domu.

- W domu? Jak się tam znaleźli? Medworth ich odwiózł?

- Nie. Sam po nich pojechałem, a potem zacząłem szukać ciebie. Nigdy nie mówisz, dokąd się wybierasz?

- Uprzedziłam kucharkę, żeby nie szykowała dziś kolacji.

- Wspaniale, ale to nie to samo.

- Zrobiłam, co mogłam. Nie wiedziałam, że wybierasz się na urodziny Claude'a.

- Całe szczęście, że tam pojechałem - mruknął pod nosem, ale i tak usłyszałam.

- Dlaczego? Co się stało? - Spojrzałam na niego, bo wyczułam, że za tym odwiezieniem kryje się coś więcej niż zwykła uprzejmość.

- Nic się nie stało - odparł i przytulił mnie do siebie. - Jamie jest w domu i pewnie już śpi. Ty niewątpliwie też tylko o tym marzysz.

Odetchnąłam, że dziecku nic się nie stało, ale wiedziałam, że kiedy dotrę do domu i zmienię ubranie, będę się musiała wytłumaczyć. Burl, jak widać, opiekował się nie tylko Jamiem, ale także mną, i traktował to nad wyraz poważnie.

Nie wiem, ile czasu jechaliśmy z powrotem. Na pewno krócej, niż zabrała mi droga w tamtą stronę. Kiedy dojechaliśmy na Blake Street, deszcz przestał padać. Obudził mnie turkot kół na bruku. Powrót do domu nigdy jeszcze nie napełnił mnie taką wdzięcznością. Pokojówka i gospodyni przygotowały mi gorącą kąpiel i ciepłe ubranie, a potem usadziły mnie przy płonącym ogniu i nakarmiły gorącą zupą i bułeczkami. Na stopy założyły mi najlepszą futrzaną mufkę, ale to już tylko dla większego efektu. Mokra włosy zostawiłam rozpuszczone, żeby szybciej wyschły.

Jamie spał słodko w swoim łóżku i na pierwszy rzut oka nie było na nim widać żadnych sińców ani zadrapań. Mimo to wypytałam panią Goode o przebieg urodzin, wiedząc, że od niej dowiem się o wiele więcej niż od Burla. Nie miałam dużo czasu,

bo Burl obiecał niedługo wrócić.

- Panicz Jamie szybko wpada w gniew - powiedziała pani Goode, kiedy za lokajem zamknęły się drzwi. - Nie była to wielka awantura, ale mały przyjaciel Claude'a zdecydowanie nie przypadł mu do gustu.

- O, nie! Znowu ten przyjaciel - jęknęłam. - O co chodziło tym razem?

- Chłopiec obraził Jamiego tak samo jak poprzednio. Tyle że tym razem Jamie nie zamierzał puścić tego płazem. Dzieci bawiły się nad stawem przy młynie. Obok stał pan Monkton i rozmawiał ze swoim przyjacielem. Nagle dwóch chłopców zaczęło się tarzać po trawie i okładać pięściami. Stoczyli się w stronę stawu, prosto w trzciny. Ja na pewno nie pozwoliłabym przebywać dzieciom w takim miejscu, bo woda jest tam teraz bardzo wysoka.

Pan Monkton i jego przyjaciel nawet nie zauważyli, co się dzieje. Na szczęście właśnie w tej chwili nadjechał lord Winterson swoim powozem. Myślę, że spodziewał się tam panią zastać i przyjechał zabrać panią do domu - dodała nieśmiało. - Psy lorda Wintersona musiały usłyszeć krzyki Jamiego i puściły się biegiem w stronę stawu.

- Co było dalej? - zapytałam przerażona. - Pan Monkton niczego nie zauważył?

- Nie. Chłopcy chwycili się psów. To bardzo silne zwierzęta. Doholowały ich do brzegu i zaczęły szczekać. Lord Winterson popędził biegiem do stawu, wskoczył do wody i wyciągnął dzieci. Wtedy dopiero przybiegłam ja i pan Monkton. To wszystko moja wina. Powinnam była ich pilnować.

- Proszę się nie winić, moja droga. Nie zostawiła pani dzieci samych. Byli tam przecież inni dorośli. Bardzo się zdenerwował?

- Jamie? Tylko trochę i nic mu się nie stało. Za to ten drugi chłopczyk był mocno wystraszony. Dopiero w drodze do domu Jamie powiedział nam, o co poszło.

- To znaczy, że Winterson już wie...

- Wspomniałam mu także o pierwszym incydencie. Uważam, że powinien o tym wiedzieć. Jamie trochę się pogubił i w końcu nie wie, czy ma ojca, czy nie. Och... proszę mi wybaczyć... - Pani Goode zarumieniła się.

- Nie szkodzi, droga Goode. Trzylatek tego nie zrozumie. Tym bardziej kiedy

ktoś podważa słusność tego, co słyszał w domu. Czy to pani Monkton zasugerowała, żebyście pojechali do domu?

- Nie. Lord Winterson chciał wracać. Chyba był zły na pana Monktona. Ja też nie miałam ochoty zostawać i nawet Jamie nie protestował, gdy odjeżdżaliśmy. Pani wybaczy, że to powiem, ale w domu państwa Monktonów panuje potworny chaos.

- Czy lord Winterson skrzyczał Jamiego za wszczynanie bójek?

- Eee... - Po twarzy pani Goode przemknął uśmiech. - W zasadzie nie. Ale obiecał, że w lecie nauczy go pływać. I pokaże mu, jak się bić i jak uderzać zaciśniętą pięścią.

- Jak uderzać? Dobry Boże! Co z niego za opiekun?

- Pożyteczny, mam nadzieję. Pukałem, ale panie nie słyszały.

- Proszę wejść, właśnie rozmawiamy o wydarzeniach dzisiejszego dnia.

- Chciałbym zrobić dokładnie to samo. Pani Goode wstała z fotela i dygnęła.

- Dobranoc panu. Pani pozwoli, że odejdę, muszę jeszcze coś pilnego zrobić...

- Oczywiście. Dziękuję za pomoc. Dobranoc.

Jak zwykle dyskretna pani Goode uśmiechnęła się i zostawiła nas samych. Winterson wiedział, że mam do niej pełne zaufanie, a mimo to nie zaproponował, by została. Kiedy wyszła, zamknął za nią drzwi.

- No, no... jednego dnia uratowałem dwoje Folletów od utonięcia. To chyba swoisty rekord. Zasłużyłem na jakiś medal?

Rozdział jedenasty

Za to, jak na mnie patrzył, z arogancją i zarazem niepewnością, dałabym mu wszystko, o co tylko by poprosił. Chciał jednak, żebym myślała głową, a nie sercem, więc opanowałam się i odpowiedziałam ze spokojem, przyjmując do wiadomości, że oczekuje nagrody.

- Nie mam dla pana medalu, ale pozwolę panu spędzić godzinę w moim towarzystwie. Czy to wystarczy za uratowanie jednego Folleta? To, i jeszcze moje podziękowanie. Słyszałam o incydencie przy stawie i jestem panu naprawdę wdzięczna.

Winterson oparł się plecami o drzwi i skrzyżował ręce na piersi.

- Jak bardzo? - zapytał, patrząc na mnie tak, że nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Byłam gotowa ofiarować mu wszystko, o co poprosi.

- Musimy tak od razu mówić o nagrodzie? - zapytałam, spuszcżając wzrok. - Jamiego też pan już poprosił?

- Nie. Jamie jest za mały. Wolę o tym porozmawiać z jego mamą.

Czując na sobie jego baczne spojrzenie, byłam coraz bardziej zakłopotana. Zauważyłam, że on też się przebrał. Miał szary surdut o wyrafinowanym kroju i kamiżelkę ze srebrzystego aksamitu, która połyskiwała przy każdym ruchu. Spojrzałam na szerokie ramiona, które mnie wyciągnęły z błota, i na wspaniałą głowę, która zdawała się wspierać na śnieżnobiałych fałdach fularu. Ciemne, wciąż jeszcze wilgotne włosy, niedbale przeczesane palcami, układały się w fale. Wyglądał niezwykle pociągająco. Byłam z nim sam na sam w swojej własnej jadalni, a on czegoś ode mnie oczekiwał.

- Jego mamie poradzono, żeby była bardziej rozsądna. Może mógłby pan jej jakoś w tym pomóc? Zechce pan usiąść?

- Miałem nadzieję, że mnie pani o to poprosi.

- Proszę o wybaczenie, dopiero trochę odtajałam.

Winterson odepchnął się od drzwi i usiadł w fotelu, który zwolniła pani Goode.

- Jeśli za wcześnie na rozmowę o nagrodach, to może powie mi pani, jakim cudem zdołała dojechać do Foss Beck. Czy pani matka lepiej się czuje?

- Nie udało mi się z nią zobaczyć. Prawdę mówiąc, nie udało mi się zrobić nic z tego, co zaplanowałam.

- A co takiego pani zaplanowała?

- Po rozmowie na temat Foss Beck to chyba łatwo odgadnąć. Gdybym wiedziała, że tak ich zalało, wzięłabym kogoś do pomocy.

- Jak pani myśli, po co zaznaczyłem ten teren na mapie na czerwono?

- Nie wiem... Oznaczył pan ziemie, które zamierza rekultywować?

- Tak, ale dopiero kiedy woda się cofnie. Czerwona linia otacza najgorsze tereny, chciałem pokazać ojcu, które miejsca będą wymagały najwięcej uwagi.

- Uwagi? Mówił pan o wyburzaniu starych zabudowań, tak jakby stały puste. Jeśli wiedział pan, że moja rodzina tam mieszka, to dlaczego pan tego nie powiedział?

- Wolę, żeby ojciec o tym nie wiedział. Chciałaby pani, żebym go wtajemniczył? Nie przypuszczałem, że popędzi tam pani jak szalony marcowy zając, nie konsultując się najpierw ze mną. Uprzedziłbym panią, że to niebezpieczne.

- Kilka dni wcześniej czy później, co za różnica, skoro i tak muszą się stamtąd wynieść. Zrujnowany dwór, w którym mieszkają, jest w okropnym stanie. Kończą im się zapasy i drewno na opał. Zwierzęta utonęły, a kury siedzą na dachu. Obiecałam braciom, że jutro sprowadzę pomoc. Muszę tam wrócić i spróbować coś zrobić. Od jak dawna pan wie?

- O pani rodzinie? Od czasu pani wyprawy w czasie śnieżycy. Popytałem trochę tu i tam. Rządca dawno już mi mówił, że ktoś mieszka w Foss Beck. Jego obowiązkiem jest wiedzieć, co się dzieje na mojej ziemi.

- Moi bracia zamierzali odbudować zniszczoną część dworu. Kochają to miejsce.

- Za pieniądze z przemytu?

- Oszczędzali i odkładali. Poza tym ciężko tam pracowali.

- A kuzyn Pierre Follet? Jego też trzeba ratować?

- Pierre odszedł.

- Naprawdę? I dokąd poszedł? Wrócił do Francji?

- Dlaczego pan tak mówi?

- Pomyślałem, że to prawdopodobne.

- Dowiem się więcej, jak sprowadzę rodzinę do siebie.

- Gdzie... tutaj? Do tego domu?

- Jeśli nie będzie pan miał nic przeciwko temu. Będzie trochę ciasno, ale tu będą przynajmniej bezpieczni i najedzeni.

- Anioł miłosierdzia znów wkracza do akcji?

- Nie musi pan ze mnie kpić. To moja rodzina. Kochamy się i pomagamy sobie, nie oglądając się na korzyści. Pan zrobiłby to samo dla swoich bliskich.

- Masz rację, kochanie. Naprawdę podziwiam twoje zasady i wcale się z ciebie nie wyśmiewam. Prawdę mówiąc, zawstydzasz mnie.

Byłam pewna, że ze mnie kpi, ale nie chciałam się z nim o to kłócić teraz, kiedy potrzebowałam jego pomocy.

- Opowie mi pani o nich, zanim się z nimi spotkamy? - zapytał.

- Mogę zrobić coś więcej. Wiem, że jutro zamierza pan wysłać ludzi po mój powóz. Przy okazji mogliby pomóc wydostać mamę i braci z zalanego domu. Dzięki temu mógłby ich pan szybciej poznać.

- Możemy tak zrobić - odparł bez namysłu. - Zadbam, żeby ich tu przywieziono, jeśli takie jest pani życzenie.

- Dziękuję. Bardzo mi pan pomoże. Powódź zdaje się działać na pana korzyść. Dzięki niej pewne rzeczy dzieją się szybciej, prawda?

- Owszem.

- Zgodnie ze swoimi zasadami, pan niczego nie robi za darmo. Zakładam więc, że oczekuje pan zapłaty za udzielenie im pomocy.

- Zna pani zapewne tutejsze przysłowie: „Nigdy nie rób czegoś za nic. A jeśli już robisz coś za nic, rób to dla siebie”. Przypuszczam, że nie obędzie się bez jakiejś formy zapłaty. W końcu to mój dom.

- Jaki rodzaj zapłaty ma pan na myśli?

- Zastanowię się. Proszę sobie tym nie zaprzętać głowy.

- Z przyjemnością. Mam nadzieję, że będzie ich na to stać. Z chwilą, gdy utracą swój dobytek, zostanie im tylko to, co zdołali oszczędzić.

- W takim razie muszę pomyśleć o czymś, na co będzie stać panią.

Wkraczaliśmy na niebezpieczny grunt. Wiedziałam, że w tym domu będzie nam wszystkim za ciasno. Miałam trzy sypialnie, ale były zajęte przez Jamiego, panią Gode i przeze mnie. W części domu zajmowanej przez służbę mieszkała kucharka, gospodyni, lokaj, moja pokojówka i dwie dziewczyny do pomocy. Potrzebowałam jeszcze co najmniej dwóch pokoi. Jednego dla matki i pary jej wiernych starych służących, drugiego dla braci. Jedynym rozwiązaniem było przerobienie salonu na sypialnię. Skąd jednak wezmę dla nich wszystkich łóżka? Gdzie zmieszczę rzeczy, które ze sobą przywiozę? Najlepiej byłoby ich ulokować w Stonegate, ale taka prośba nie przeszłaby mi przez gardło. Moja rodzina potrzebowała nie tylko ratunku, lecz także domu.

Jakając się, ze wzrokiem wbitym w podłogę zapytałam, czy nie mógłby im znaleźć jakiegoś miejsca do mieszkania.

- Moi bracia są silni. Mogą zacząć zarabiać. Matka wymaga mojej opieki i pewnie nie dożyje do przyszłego roku. Może ma pan jakiś niewielki dom, gdzie mogliby pomieszkać, aż...?

- Aż co?

Nie zamierzał mi tego ułatwiać. Zresztą dlaczego miałby to robić? Nie raz już proponował mi małżeństwo, a ja ciągle odmawiałam, licząc, że będzie ponawiał swoje prośby. Myślałam, że zdołam tę decyzję jeszcze odwlec, ale chwila, kiedy będę musiała oddać się w jego ręce, by ratować rodzinę, nadeszła wcześniej, niż przypuszczałam. Musiałam się zdobyć na odwagę.

- Lordzie Winterson, zaoferował mi pan kiedyś małżeństwo ze względu na dobro Jamiego. Czy pańska oferta jest nadal aktualna?

- Nie - odparł pozbawionym wyrazu głosem.

- Co takiego?

- Powiedziałem: nie. Nie składałem pani oferty.

- Rozumiem. Doszedł pan do wniosku, że ostatecznie nie chce się ze mną żenić.

- Tego nie powiedziałem.

- A co pan powiedział?

- Powiedziałem, że nie składałem pani oferty, panno Follet.

- Czy to nie to samo?

- Nie. Mimo to nie mam nic przeciwko temu, żeby to pani złożyła mi ofertę. Ale teraz to pani używa małżeństwa jako karty przetargowej. Jeśli proponuje mi pani swoją rękę w zamian za to, że pomogę jej rodzinie, proszę to powiedzieć wprost. Znając cenę, będę mógł się zastanowić i spróbujemy dojść do porozumienia.

Musiał dostrzec zażenowanie w moich oczach, a jednak ciągnął dalej.

- Wiem, że myśli pani o moich słowach sprzed tygodnia, kiedy powiedziałem, że nigdy nie przestanę pani pragnąć. To prawda, ale pani chyba myli ten sentyment ze słabością. Sama pani widzi, że kiedy przychodzi do ustalenia ceny za przysługę, oboje jesteśmy równie wymagający.

- Wtedy mówiliśmy o dobroci - odparłam oburzona. - Małżeństwo nie ma z dobrocią nic wspólnego.

- Ma pani jakieś doświadczenia w tej sprawie?

- Nie większe niż pan.

- A więc oboje jedziemy na tym samym wózku. Jeśli dobrze zrozumiałem, zaoferowała mi pani swoją rękę. Oczywiście nie ze względu na siebie, tylko dla wyższych celów.

Co za kłamstwa! Kogo spodziewaliśmy się oszukać? Uwielbiałam go i na pewno o tym wiedział. Ale moja duma ciągle jeszcze cierpiała. Nie mogłam tego zrobić inaczej, jak tylko traktując całą sprawę jak wymianę przysług. Oboje rozumieliśmy, że w tej chwili nie zdobędę się na nic więcej. Żadnych rozmów o uczuciach tak kruchych, abstrakcyjnych i przelotnych jak miłość. Pomylenie jej z czymś innym mogłoby być bardzo niebezpieczne. Cała nasza wielka mistyfikacja miała jednak pewne niedociągnięcia. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, widząc wzajemne pragnienia i żądze. Nasze dusze splotły się w szalonym tańcu do złudzenia przypominającym miłość.

Oczy Wintersona pociemniały, a ja wciąż nie byłam pewna, czy mogę swoje uczucia do niego wyrazić słowami.

- Dla dobra mojej rodziny jestem gotowa pana poślubić - skłamałam. - Jeśli znajdzie pan dla nich odpowiedni dom z kawałkiem ziemi, gdzie będą mogli zacząć wszystko od nowa. Do tej pory zostaną ze mną. Ale jutro trzeba ich wydostać z zalanego dworu. Obiecałam im, że po nich wrócę. Zgadza się pan na moją propozycję?

- Myślisz o potrzebach Jamiego i swojej rodziny. - Winterson ujął moje drżące dłonie. - A co z twoimi potrzebami, kochanie? Czego ty potrzebujesz? Co ci zostało oprócz urażonej dumy? Nie uważasz, że nadeszła pora, żebyś pozwoliła mi to naprawić? Może nie wiem o tobie wszystkiego, co powinienem, ale na temat twojej zranionej dumy wiem więcej niż ktokolwiek inny. Przyjmuję twoją ofertę, nawet na takich warunkach. Znajdę dla twojej rodziny dom i zadbam, żeby im niczego nie brakowało. Chciałbym jednak wiedzieć, czego mogę się w zamian spodziewać?

Wreszcie nie będziemy musieli udawać... dłużej już nie mogę tego znieść...

Marzyłam, żeby to powiedzieć, ale jak miałam zaufać mężczyźnie, którego chłód ranił mi serce od chwili, gdy go spotkałam? Potem była jedna cudowna noc i znowu lata całkowitej obojętności. A teraz to. W co miałam w końcu wierzyć? Czego ode mnie oczekiwał? Namiętnych nocy rozdzielanych długimi okresami lodowatej obojętności? Kiedyś musieliśmy udawać ze względu na Linasa, ale i wtedy mógł znaleźć jakiś sposób, żeby nie złamać mi serca. Naprawdę myślał, że pragnęłam tylko dziecka?

Zwlekałam z odpowiedzią tak długo, że Winterson stracił cierpliwość. Pociągnął mnie za rękę, a kiedy wstałam ze stopami wciąż uwięzionymi w mufce, chwycił mnie pod pachy i przyciągnął do siebie.

- W takim razie ja pani powiem, czego oczekuję, dobrze? Chcę tego samego, co dała pani mojemu bratu, i więcej. W ciągu dnia będzie pani ze mną siadać do stołu, a w nocy dzielić ze mną łóżko. Codziennie. Będzie pani przyjaciółką dla moich przyjaciół, matką moich dzieci, moją towarzyszką i moim wsparciem. I będzie mi pani całkowicie posłuszna. Czy to właśnie zamierzała mi pani oferować, panno Follet? A mo-

że o czymś zapomniałem?

Nie wspomniał o miłości, ale tego, jak widać, nie oczekiwał. To wszystko działo się za szybko. Przecież dopiero kilka tygodni temu zaczęliśmy w ogóle ze sobą rozmawiać. Nie miałam jednak wyboru. Rodzina była dla mnie najważniejsza.

- Rozmyśliła się pani? - szepnął.

- Nie. Zamierzam panu oferować dokładnie to, co pan wymienił. I nic więcej.

Zajrzał mi w oczy, szukając w nich jakichś wątpliwości, ale nic nie znalazł.

- Pani rodzina musi dla pani wiele znaczyć. A więc wszystko ustalone.

Chciałam przypieczętować tę umowę uściskiem dłoni, lecz nie zdążyłam, bo jak szalony rzucił się na moje usta. Był to zaborczy pocałunek zwycięzcy, który zupełnie pozbawił mnie tchu.

- Jesteś moja. Moja. Teraz, Helene Follet, należysz już tylko do mnie. Nareszcie

- szepnął i przytulił mnie do siebie.

Było to świadectwo zazdrości i rywalizacji pomiędzy nim i Linasem. Ale nie było w tym miłości ani tęsknoty. Miałam wrażenie, jakby cieszył się, że wreszcie spłacił jakiś dług. Nie liczyłam, że mając tak wiele własnych potrzeb, znajdzie czas, by zająć się moimi.

Było jednak za późno, by wprowadzać do umowy moje warunki czy zastrzeżenia. Mogłam mieć tylko nadzieję, że w przyszłości nie będę tego żałować. Rozsądek mówił mi, żeby nie żądać za wiele naraz. I o dziwo, to samo podpowiadało mi serce. Pociesz go - mówiło. On cierpi tak samo jak ty. Od ciebie zależy, czy dowiesz się dlaczego.

Bezwiednie przytuliłam jego głowę i kołysałam go jak małe dziecko, muskając ustami jego policzek i ucho. Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Myślę, że oboje staraliśmy się zachowywać w sposób, który uznaliśmy w tej sytuacji za właściwy. Zawarliśmy umowę i teraz próbowaliśmy się wzajemnie pocieszyć. Musiał mi jeszcze dużo wyjaśnić, zarówno swoje stosunki z bratem, jak i nasze nieporozumienia ciągnące się całymi latami. Czułam, że cierpiał, i zastanawiałam się, czy to nie z powodu nieprzyzwoitego pośpiechu ze ślubem. W końcu Linas zmarł zaledwie kilka tygodni temu. A

może chodziło o coś innego? Z pewnością nie była to pora na takie rozmowy. Oboje byliśmy zbyt zmęczeni.

W normalnej sytuacji poszłabym wcześniej spać, wiedziałam jednak, że nie będę umiała leżeć obok niego spokojnie. Za bardzo go pragnęłam. Chciałam się z nim kochać, ale nie w podziękowaniu za ratunek i pomoc dla mojej rodziny ani za to, że zapewni mi ochronę swojego nazwiska. Jestem pewna, że wyczułby różnicę między pożądaniem a zapłatą. Obsypując jego twarz pocałunkami, wyciągnęłam mu koszulę ze spodni i wsunęłam pod nią dłonie, szczerze i bezwstydnie pokazując, że go pragnę.

On też niczego nie udawał. Nie odgrywał zaskoczenia ani nie karmił pruderyjnie mojej nieskromności. Wziął mnie na ręce i podszedł do drzwi, żebym mogła je otworzyć. W drodze na piętro nikogo nie spotkaliśmy, dopiero pod drzwiami mojej sypialni zjawiała się nie wiadomo skąd Debbie. Otworzyła je bez słowa, a kiedy zostałam wniesiona do środka, zamknęła.

Ja pierwsza zaczęłam go rozbierać, więc pozwolił mi wystąpić w roli swojego lokaja. Zrywałam z niego ubranie dość pospiesznie, nie przejmując się specjalnie, w jakim będzie ono stanie, a każdy nowo odkryty kawałek ciała pokrywałam pocałunkami. Jak można opisać posmak męskiej skóry, zapach pożądania, atmosferę przesączoną seksualnością i obietnicą spełnienia? Jego ojciec widział moje uczucia i Burl też zapewne je widział. Mimo to, kiedy w świetle płonącego na kominku ognia obsypywałam jego ciało pocałunkami, nie wyczuwałam w nim ani fałszu, ani samozadowolenia, choć sprawy tak szybko ułożyły się po jego myśli. Wydawał się raczej wdzięczny za moje delikatne pieszczoty, tym bardziej że wcześniej byłam na niego oburzona.

Moje suknie były luźne i łatwo było mi się ich pozbyć. Sprawnie rozpięłam, rozsznurowałam i rozwiązałam co trzeba, żeby ułatwić mu zadanie, i chyba byłam naga wcześniej niż on. Całowaliśmy się i pieściliśmy, aż wreszcie nie mogliśmy już dłużej odsuwać zbliżenia, którego pragnęły nasze ciała.

- Jesteś moja. Moja. Nic już tego nie zmieni - szeptał, kładąc mnie na łóżku.

Miałam swoją opinię na ten temat i marzyłam, by się na nim odegrać, udając

kokietkę i gnębiąc go swoją niekonsekwencją. Ale po naszej ostatniej nocy było już za późno na taką grę.

Miałam za sobą koszmary, bardzo męczący dzień. Burl wziął to pod uwagę i był dla mnie czuły i delikatny, słodki i niewymagający. Usłyszałam, że nie umiałby sobie wymarzyć wspanialszej kobiety, że jestem spełnieniem jego marzeń i dlatego pragnął się ze mną ożenić. Trudno mi było w to uwierzyć, bo przed laty nawet nie próbował mnie zdobyć i zostawił Linasowi wolną drogę. Nie chciałam jednak teraz o tym myśleć. Burl pokazał mi, że nawet wtedy, kiedy kobieta jest bardzo zmęczona, ale ma czułego i współczującego kochanka, miłość może być cudowna. Dobrze wiedział, jak sprawić mi przyjemność. Zasnęłam w jego ramionach, zaskoczona, że dzisiaj było znowu całkiem inaczej niż poprzednio. Czułam, że takie porównywanie jest nie w porządku, ale nie mogłam się powstrzymać.

Było jeszcze ciemno, kiedy oboje obudziliśmy się i spragnieni siebie, zaczęliśmy się całować. Leżałam na Burlu, a moje włosy opadały w dół, tworząc nad jego twarzą gęstą zasłonę. Chwycił mnie za pośladki, przetoczył nas oboje tak, że teraz on był na górze, i wszedł we mnie. Tym razem nie było długich wstępów, jak tamtej pierwszej nocy w Abbots Mere, kiedy kochaliśmy się bez słowa, nienasyceń i spragnień pociechy. Teraz zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy starali się nadrobić stracone lata i przypomnieć sobie i innym, że umowa, którą zawarliśmy, jest niepodważalna. Jego siła i pewność, z jaką się ze mną kochał, podniecały mnie i coraz śmielej to okazywałam. Byłam szczęśliwa, wiedząc, że teraz już codziennie będę się budzić obok niego.

Po wszystkim, nasycona i rozleniwiona, leżałam w jego ramionach i zastanawiałam się, czy wyznać mu miłość. Ale Burl nie mówił o miłości, tylko o pożądaniu. W tej sytuacji duma nie pozwoliła mi na żadne wyznania. Pomyślałam, że mamy jeszcze dużo czasu na rozmowy o miłości. Byłam też pewna, że czeka nas niejeden trudny dzień, i chciałam wreszcie wyjaśnić, co Burl czuł do mnie przez te wszystkie lata.

Śniadanie zjedliśmy razem, zanim Jamie się obudził. Podał je mój lokaj z taką miną, jakby obecność Wintersona w moim łóżku była teraz czymś oczywistym.

- Nie będę cię ze sobą zabierał - oznajmił Burl, wyjadając resztki jajecznicy z talerza.

- Smakowała ci? W Abbots Mere robią ją trochę inaczej.

- Twoje towarzystwo wynagradza mi to z nawiązką. Słyszałaś, co powiedziałem?

- Tak, ale nie wyobrażam sobie, jak miałbyś to zrobić beze mnie. Moja matka nie przekaże całego swojego dobytku w ręce obcego człowieka i na pewno nie będzie chciała z tobą jechać. Ja na jej miejscu postąpiłabym tak samo.

- W to ostatnie akurat wierzę, ale twoja matka miała czas, żeby się przygotować, a poza tym nie jestem zupełnie obcy. Musiałaś o mnie czasem wspomnieć. Myślę, że twoi bracia ją przekonają. Poza tym jest chora.

- Myślisz, że dlatego będzie uległa jak owieczka? Nie doceniasz bojowego ducha mojej matki.

- Jaka matka, taka córka - mruknął, podstawiając filiżankę, żebym mu dołączyła kawy.

- Pozwól mi jechać, proszę. Zakład da sobie radę beze mnie.

- Wiem. Jesteś świetnie zorganizowana i skuteczna, ale jak zdołasz przygotować dom na przyjęcie gości, jeśli ze mną pojedziesz? Musisz ich przecież gdzieś położyć, a poza tym przywiozą ze sobą rzeczy, na które trzeba znaleźć miejsce. Tu będziesz bardziej potrzebna, kochanie. Pozwól Jamiemu włączyć się do przygotowań.

- Co on może zrobić?

- Więcej niż przypuszczasz. Pozwól mu pomóc.

Nie byłam zadowolona, że ktoś nagle zaczyna mi mówić, jak mam wychowywać dziecko, którym przez trzy lata zajmowałam się w zasadzie sama. Ale Winterson nie zrażał się moją kamienną twarzą.

- Moi ludzie w Abbots Mere są zawiadomieni i wezmą, co trzeba. Przywiozę ci twoją rodzinę i przy okazji zabiorę też powóz.

- Wiozłam dla nich jedzenie, sprawdź, czy nadal tam jest.

- W końcu zaczęłaś mi ufać. Muszę już iść. Myślę, że to zajmie cały dzień. Ty

lepiej opróżnij te komórki z tyłu domu. Będą potrzebne.

- Zjesz z nami kolację?

- Raczej nie. Pojadę do domu, bo moi rodzice jeszcze nie wyjechali. Będziesz za mną tęsknić?

- Tak - odparłam, nim zdążyłam pomyśleć.

Przestało padać i miejscami spod chmur prześwitywało błękitne niebo. Porozumienie zawarte z Wintersonem było kolejnym punktem zwrotnym w moim życiu. Wydawało się, że czeka mnie stabilizacja. Mama pomyśli, że to w końcu miłość, i będzie zachwycona. A my bez większego trudu powinniśmy ją w tym upewnić.

Decyzja, którą podjęłam, była jednak zbyt ważna, bym mogła tak po prostu przejść nad nią do porządku dziennego.

Wciąż rozpamiętywałam wczorajszy wieczór i noc i błąkałam się po domu jak lunatyczka. Przystawałam zagapiona w okno albo próbowałam uczesać Jamiego, robiąc mu przedziałek po niewłaściwej stronie głowy.

Pani Goode obserwowała mnie z uśmiechem, aż wreszcie bez żadnych słów doszliśmy do porozumienia. W obecnym stanie ducha nie nadawałam się do zarządzania przygotowaniem domu na przyjęcie nowych mieszkańców, więc zostałam oddelegowana do mniej skomplikowanych zajęć, niewymagających myślenia. Jamie oznajmił, że babcia Damzell powinna zamieszkać w jego pokoju, a on przeniesie się do Goode. Doceniając jego poświęcenie, nie śmiałyśmy się sprzeciwić. Po rozmowie z kucharką i gospodynią poszłam odwiedzić Prue. Nie widziałam jej od poniedziałku.

Prue nie należała do osób wylewnie demonstrujących swoje uczucia, ale kiedy mnie zobaczyła, rzuciła mi się na szyję i zaczęła płakać.

- Tak mi przykro, Prue. Kochana... moja kochana Prue. Naprawdę bardzo mi przykro. Mogę coś dla ciebie zrobić?

- I tak już dużo dla mnie zrobiłaś. Ale dziękuję ci. - Prue przestała płakać. - Dzięki twojej pomocy oboje umarli w spokoju. Dzięki Bogu już nie cierpią.

- I nadal są razem - dodałam. Czułam wyrzuty sumienia, że wcześniej nie wysłałam do nich swojego lekarza, choć nie byłam pewna, czy to by coś zmieniło. Ale tego

już się nigdy nie dowiem.

- Pierwsza odeszła mama, potem ojciec. Niecałą godzinę po niej. Byli razem przez czterdzieści lat.

- Kiedy pogrzeb?

- Pojutrze u św. Tomasza w Osbaldwick. Tam się urodzili, tam byli chrzczeni i brali ślub. Tam chodzili na msze.

- Nie wiedziałam. Czy pan Monkton ich odwiedził?

- Nie - prychnęła z niechęcią. - Nie on. Zawiadomiłam go, ale nie przyszedł. Pewnie był zbyt zajęty. Choć to tylko dwie mile za Walmgate. W dzisiejszych czasach młody wikary ma ciekawsze rzeczy do roboty niż odwiedzanie umierających parafian. Załatwianiem pogrzebu zajęli się grabarze.

- Pozwól, że zapłacę za pogrzeb. Proszę. W piątek zamknę zakład i przyjadę razem ze wszystkimi dziewczętami.

- To bardzo miło z twojej strony. Rodzice byliby dumni. - Prue wysmarkała nos i poprawiła koronkowy czepek na głowie. - Byli tacy słabi...

- Wiem, kochana. Inni także umierali podobnie.

- Tak. Ta zima jest okropna.

Z Lop Lane pojechałam prosto do zakładu, by poinformować dziewczęta o pogrzebie i o tym, że w piątek nie pracujemy. Zaprojektowałam poranną suknię dla zbyt pulchnej siedemnastoletniej córki lady Mirfield i wróciłam do domu, gdzie trwały przygotowania na przyjęcie gości. Pomyślałam o obojętności, z jaką Medworth Monkton potraktował rodziców Prue. Byłam wręcz zaszokowana. Do tej pory uważałam, że niezwykle sumiennie traktuje swoje obowiązki wikarego. Czemu ich nie odwiedził? Czyżby zatrzymały go urodziny synka?

Nie dłużej niż pół godziny po moim powrocie do domu odwiedził mnie pan Monkton. Sposób, w jaki potraktował umierających parafian, był oburzający i zamierzalam dać temu wyraz. Przyszedł w chwili, gdy rozważałam, w jakich słowach to zrobić.

Pan Monkton nigdy nie zwracał uwagi na rodzaj więzi łączących mnie z jego

rodziną i jak zawsze przywitał się ze mną grzecznie i przyjaźnie. Gdybym go miała krytykować, to chyba jedynie za niezdecydowanie w sprawach, w których jako osoba duchowna powinien mieć swoją opinię. Brak określonego zdania chronił go przed atakami zwolenników przeciwnych poglądów i był na pewno wygodny, lecz tym samym dyskredytował go w oczach tych, którzy czasem szukali rady i wskazówki. Poza tym był dobrym mężem, uczonym wikarym i człowiekiem przyjaznym, choć dosyć niepraktycznym. Nie wiem, co jeszcze można było o nim powiedzieć.

Uklonił się szarmancko i nie usiadł, póki ja nie usiadłam. Jego płaszcz i spodnie były dziś starannie oczyszczone z sierści, ale fryzurę miał jak zwykle niedbałą. Patrząc na niego, uznałam, że jest podobny do brata. Szczególnie zarys szczęki i nos. Ciekawe, że wcześniej nigdy tego nie zauważyłam.

- Przyjechał pan do miasta w interesach? - zapytałam, myśląc, że może wybiera się na Lop Lane. Lepiej późno niż wcale.

- Przyjechałem dowiedzieć się o zdrowie Jamiego i jeszcze raz przeprosić za ten wypadek. Polecono mi zająć się chłopcami - uśmiechnął się zakłopotany - ale jeden z przyjaciół wciąż mnie rozpraszał swoim gadaniem. Obawiam się, że zawiodłem i nie wywiązałem się z obowiązku.

Przeprosiny były miłym i szczerym gestem, nie zmieniły jednak mojej opinii o nim jako kiepskim opiekunie.

- Dziękuję. Na szczęście nic się nie stało. Jamie doszedł do siebie, a pana brat obiecał nauczyć go pływać.

- Wspaniale! Cały Burl! W każdej sytuacji umie dostrzec coś pozytywnego. Mój brat rzadko pozwala, by okazja przeszła mu koło nosa, prawda?

W tonie jego głosu było coś, co sugerowało, że nie jest to zwyczajne retoryczne pytanie. A kiedy się uśmiechnął, w jego oczach nie było śladu błyszczącej w nich zwyczaj chłopięcej figlarności. Czy naprawdę przyszedł spytać o zdrowie Jamiego, czy też chodziło mu o coś innego?

- Nie wiem. Nie znam lorda Wintersona zbyt dobrze. Pan na pewno zna go lepiej niż ja - odparłam przebiegle, bo przecież zamierzałam poślubić Burla. - Mogę jedynie

powiedzieć, że jest doskonałym opiekunem dla mojego syna.

- Przypuszczam, że tak będzie do chwili, gdy Jamie osiągnie wiek... w którym zacznie zadawać pytania... - Pan Monkton zniżył głos do konspiracyjnego szeptu i spojrzał na mnie, czekając na odpowiednią reakcję.

- Jamie już osiągnął ten wiek. Może pamięta pan, że wspominał o pytaniach, jakie zadawał mu przyjaciel Claude'a. To właśnie te pytania były powodem zamieszania nad stawem. Nie uważa pan, że to była okazja, by coś na ten temat powiedzieć?

Czułam, że wkraczamy na nowy grunt, i moje serce mocniej zabiło w oczekiwaniu, co z tego wyniknie. Pan Monkton umknął wzrokiem i skrzywił się.

- Dokładnie o tym mówię, panno Follet. Lepiej wyjaśnić wszystko teraz, zanim zrobi się za późno.

- Za późno? Na co? Na wytłumaczenie kwestii ojca Jamiego? Myślę, że to się z czasem samo wyjaśni.

- Jestem tego pewien. Teraz jednak chodzi mi o styl życia mojego brata i o to, jak może on wpłynąć na takiego malca. Nawet nie znając Wintersona zbyt dobrze, domyśla się pani zapewne, co mam na myśli. Sama była pani tego częścią od lat.

Jego słowa zaskoczyły mnie i oburzyły, ale nie dałam tego po sobie poznać.

- Drogi panie Monkton. - Uśmiechnęłam się do niego spokojnie. - Pragnę pana uspokoić, bo najwyraźniej ma pan błędne informacje na temat życia, jakie prowadziłam. Nigdy nie należałam do... nie byłam częścią... stylu życia pana brata... jeśli można to tak nazwać. Jeśli zaś chodzi o wpływ lorda Wintersona na Jamiego, to zapewniam, że nawet jeśli w ciągu następnych trzech lat będzie tylko w połowie tak oddany, obowiązkowy, kochający, szczodry i troskliwy, jak był od chwili urodzenia małego, to nie mam się o co martwić. I pan też.

Słuchając własnych słów, uświadomiłam sobie, że nigdy jeszcze nie mówiłam o Burlu w ten sposób. Pomyślałam, że to świetna okazja, aby ktoś z jego rodziny dowiedział się, co myślę.

Pan Monkton skinął głową, jakby moje pochwały sprawiły mu przyjemność, najwidoczniej jednak nie zamierzał zakończyć tematu.

- Zdarza się, że ojcostwo wydobywa z człowieka to, co najlepsze, nawet w najdziwniejszych okolicznościach. Nie umiem wyrazić, jak się cieszę, że mój brat tak dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków. Ale chciałbym wrócić do sprawy pytań, na które Jamie będzie w przyszłości szukał odpowiedzi.

- Ma pan na myśli coś konkretnego?

- Chodzi mi o dziecko miłości mojego brata i jego stosunek do niego. O to, kim jest jego matka i dlaczego...

- Panie Monkton... Obawiam się, że nie nadążam za panem. Co dokładnie... o czym pan właściwie mówi? Jaka matka?

Wikary wyprostował się i ze zdziwieniem zamrugał powiekami. Trudno było powiedzieć, czy udawał, czy nie. Cała nasza rozmowa była jakaś dziwna. Irytowało mnie, że ktoś, kto dotąd starannie unikał wyrażania jakichkolwiek opinii, nagle tak zdecydowanie sprzeciwia się czemuś, co jeszcze się nie wydarzyło. A może już się wydarzyło?

Medworth był wyraźnie zakłopotany. Jeden z policzków wykrzywił mu nerwowy tik, jakby temat rozmowy sprawiał mu ból.

- O Boże, co ja zrobiłem? - szepnął do siebie. - Myślałem, że pani o tym wie. Odniosłem wrażenie, że sobie ufacie.

- Owszem. Ale co takiego pan powiedział, panie Monkton? O czym miałabym wiedzieć?

- Chodzi o lady Slatterly... i... mojego brata.

- Mianowicie? - Nie wiedziałam, skąd wzięłam siłę, by zadać to pytanie.

- Zauważyła pani pewnie, że w zeszłym tygodniu na balu Veronique była trochę dziwna.

- Owszem, zauważyłam.

- Nie przyszło pani na myśl...? Widzę, że nie. Mój brat i lady Slatterly zawsze byli sobie bardzo bliscy. Trudno więc się dziwić.

- Czemu?

- Lady Slatterly jest w... błogosławionym stanie - szepnął.

Muszę sobie pogratulować, bo kiedy się odezwałam, mój głos brzmiał całkiem spokojnie.

- Nie jestem zaskoczona, że Veronique myśli o rodzinie - odparłam, licząc, że odrobina wulgarności sprowadzi tego drania na ziemię. - Tu ma pan rację. Dziwię się natomiast, że nie stało się to wcześniej. Było przecież ku temu wiele okazji.

- Rozumiem - odparł, wyraźnie wstrząśnięty moją bezpośredniością. - Ale chciałbym usłyszeć, co pani powie o skłonnościach Wintersona.

Na to nie zamierzałam odpowiadać.

- Mogę spytać, skąd pan o tym wie? Po Veronique nic jeszcze nie widać. Czy na tak wczesnym etapie nie jest to informacja poufna?

Ojciec trójki dzieci był zbyt nieśmiały, żeby spojrzeć mi w oczy.

- Sama pani zdaje sobie sprawę, jak wiele można ukryć za pomocą odpowiedniej sukni...

Miał rację... Wysokie talie, drapowania, marszczenia, szale i zimowe chusty pozwalały wiele ukryć. Cięża Cynthii też widoczna była tylko wtedy, gdy patrzyło się na nią z boku. Przypomniałam sobie reakcję Veronique na widok ciężarnej Cynthii. Myślałam, że jej zazdrości, tak samo jak ja. Ale, jak widać, ona nie musiała zazdrościć.

- Wiem, oczywiście. To jednak nie wyjaśnia, skąd pan wie o stanie lady Slatterly?

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Veronique zawsze mi się zwierzała. Miała do mnie zaufanie. Jestem nie tylko duchownym, lecz także bratem Burla. Jakiś czas temu przyszła do mnie po radę.

W takie bzdury absolutnie nie mogłam uwierzyć.

- Ilu osobom pan już o tym powiedział, w zaufaniu oczywiście?

Miał na tyle przyzwoitości, że odwrócił wzrok.

- Powiedziałem pani o tym, ponieważ mój brat i pani jesteście prawnymi opiekunami Jamiego. To wymaga wzajemnego zaufania, a jedna strona je zawiodła. Czułem się w obowiązku panią o tym poinformować i zrobiłem to, nie zważając na poufność posiadanej przez mnie informacji. Miałem nadzieję, że do tej pory Winterson

wyznał już pani, co się stało, choćby tylko po to, by pomówić o przyszłości. Małżeństwo z lady Slatterly wydaje się oczywistym rozwiązaniem. Stąd też moje obawy, że Jamie może poczuć się zagubiony i zdezorientowany.

- Widzę, że jest pan pewny stanu Veronique. Skąd jednak bierze się pana pewność co do osoby ojca jej dziecka?

Pan Monkton ponownie przybrał zboląły wyraz twarzy, zupełnie jakbym kwestionowała jego prawdomówność.

- Dała mi słowo, a ja bezwzględnie jej wierzę.

- W takim razie nie jest pan tak mądry, jak zawsze mi się wydawało. Jako zaufany powiernik Veronique wie pan zapewne, że Winterson nie był jej jedynym kochankiem. Skąd może mieć pewność, który jest ojcem? Prowadzi zapiski?

Moje wątpliwości wyraźnie złościły Monktona.

- Veronique jest tego absolutnie pewna. Przykro mi, że przynoszę tak denerwującą wieści, ale zakładałem, jak widać niesłusznie, że mój brat już panią poinformował o swoim ślubie z lady Slatterly. Przyszedłem, by zaoferować pani wsparcie i radę. Zdaję sobie sprawę, jakie to dla pani trudne, przecież tak niedawno odszedł od nas Linas.

- Jakiej rady chciał mi pan udzielić... w zaufaniu oczywiście?

Popatrzył na mnie niechętnie, jakby spoglądał z ambony na wierzących się w ławkach i rozmawiających wiernych.

- Mój brat nie lubi być zmuszany do rozmowy na kłopotliwe tematy. Jeśli zapyta go pani o Veronique, wyprze się, tak samo jak zrobiłaby to większość mężczyzn. Jak już mówiłem, Winterson ma niezwykły dar dostrzegania we wszystkim czegoś pozytywnego. Moim zdaniem powinna pani trzymać się od niego na dystans i dać mu czas, by zdecydował, jak rozwiązać problem. Może już to zrobił, ale lepiej poczekać, aż sam przekaże pani złe wieści.

- O wielkiej radości - powiedziałam, ale Monkton nie roześmiał się jak Burl i nie kazał mi przestać cytować Biblii.

- Słucham? - zapytał.

- Po tym wszystkim, co mi pan powiedział, mam milczeć i udawać, że o niczym nie wiem, a potem odgrywać zdziwienie? Poza tym nie rozumiem, dlaczego sprawy pana brata i lady Slatterly miałyby mnie w ogóle interesować? Winterson nie jest przecież moim mężem. Przypuszczam, że zanim Jamie zacznie pytać się o rodzinę ojca, będzie dostatecznie duży, by zrozumieć odpowiedź. To inteligentny chłopiec. O wyjaśnienie kwestii jego ojca już zadaliśmy. Jeśli zaś chodzi o ojców innych ludzi, będę mu radzić, żeby postępował tak, jak stara się to robić większość z nas.

- To znaczy?

- To znaczy, żeby nie wtrącał się w nieswoje sprawy. I nigdy, ale to nigdy nie zdradzał tego, co usłyszał w zaufaniu. Chyba że będzie to kwestia życia lub śmierci. A to nie jest przypadek Veronique, prawda?

- Dla małego Jamiego może mieć to wielkie znaczenie.

- I dlatego, kiedy któryś z pana gości go obraził, powiedział mu pan, że ma inne, ważniejsze sprawy na głowie?

Tego młody wikary nie zdołał już znieść. Przepisowe piętnaście minut jego wizyty dawno już minęło, zerwał się więc z fotela i zamierzał się uklonić. Nie mógł się jednak powstrzymać, by na odchodnym jeszcze mi nie dopiec.

- Będę się za panią modlił, panno Follet. Przyszedłem tu jako przyjaciel. Chciałem pani pomóc z dobroci serca i pokazać wyjście z tej kłopotliwej sytuacji, ale widzę, że nie potrzebuje pani mojej rady. Mimo to zapewniam, że w przyszłości zawsze może pani liczyć na moją pomoc.

- To bardzo miłe, dziękuję. Jak pan widzi, nie czuję się zakłopotana tym, co od pana usłyszałam. Przypuszczam jednak, że lady Slatterly mogłaby być skrepowana, wiedząc, że powtórzył mi pan jej zwierzenia. Zechce mi pan jeszcze raz przypomnieć, czy powinnam powiedzieć pana bratu o tej wizycie, czy też raczej nie?

Pełne wyrzutu spojrzenie wikarego przekonało mnie, że wizyta nie potoczyła się po jego myśli. Przyszedł tu, by poróżnić mnie ze swoim bratem, wyraźnie przekonany, że ciąża lady Slatterly najlepiej spełni to zadanie. Cała rodzina i wiele osób spoza niej znało stosunek Veronique do Wintersona, ale kim ja byłam, by ją za to winić? Na-

tomiast byłam pewna, że bez względu na to, czy Burl jest naprawdę ojcem jej dziecka, czy nie, nie traciłaby czasu, próbując go zmusić do ślubu. Nie liczyłaby też, że naciski osób postronnych mogą coś w tym względzie zdziałać.

Winterson kategorycznie zaprzeczył jakimkolwiek stosunkom z Veronique i ja mu wierzyłam, bo choć lista jego przewinień była długa, nie było na niej nieszczerości. Już prędzej mogłam mu zarzucić przesadną szczerłość, która rozdzieliła nas na całe lata. Nie wierzyłam Medworthowi i nie zamierzałam oskarżać Burla o romans z Veronique, na co pewnie liczył. Dlaczego jechał aż dwie mile, żeby mi powiedzieć coś, co, jak przypuszczałam, już wiem, skoro nie chciało mu się pokonać tego samego dystansu, by udzielić swoim umierającym parafianom ostatniego namaszczenia? Ale zanim pomyślałam, by go o to zapytać, był już w połowie ulicy.

Choć nie wierzyłam w jego słowa, ta wizyta wytrąciła mnie z równowagi. Nie wiedziałam, jakie mogą być jej skutki ani dlaczego chciał mnie skłócić z Wintersonem. Kiedy byłam z Linasem, nigdy nie wtrącał się w nasze sprawy. Jestem pewna, że nieraz już posądzano Wintersona o ojcostwo, ale do tej pory nikt go oficjalnie nie pociągnął do odpowiedzialności. Co więcej, ostatnie miesiące życia Linas spędził w Abbots Mere pod jego opieką. Trudno było sobie wyobrazić, by Winterson, zajęty umierającym bratem, nagle zechciał skorzystać z hojności Veronique, której nie dał się skusić przez tyle lat. Taka myśl wydawała mi się absurdalna. Nie chciało mi się w to wierzyć i postanowiłam, że nie uwierzę.

Ale co zrobię, jeśli się okaże, że to jednak prawda?

Rozdział dwunasty

Krótkie i ciemne dni lutego, mrozy, a potem powodzie zdawały się dodatkowo sprzyjać smutkom i kiepskiemu nastrojowi. Muszę jednak przyznać, że moja sytuacja poprawiła się znacząco pod wieloma względami. Jeszcze nigdy perspektywy nie rysowały się tak bezpiecznie. Problemy Jamiego zostały częściowo złagodzone. Moja rodzina miała lada chwila zostać przeniesiona na nowe miejsce, aczkolwiek nie byłam pewna, czy będą z tego zadowoleni. Skoncentrowana na tym, by za wszelką cenę im pomóc, nie pomyślałam, że oni mogli widzieć swoją przyszłość inaczej, i pocieszałam się myślą, że przynajmniej docenią moje wysiłki.

Jamie szalał z radości na wieść, że jego ukochana babcia Damzell, Greg i Finch nareszcie z nami zamieszkają. Podniecony trajkotał bez przerwy i co chwila zgłaszał jakieś propozycje, które kwitowałyśmy uśmiechem. Posłuchałam rady Wintersona i pozwoliłam Jamiemu pomagać w przygotowaniach, choć bałam się, że miną tygodnie, nim znajdę rzeczy, które on pochowa podczas sprzątnięcia. Malec biegał zaaferowany po całym domu, a ja zastanawiałam się nad absurdalnymi słowami Medwortha i nad biedną Veronique. Nie byłam pewna, czy powinnam powiedzieć Wintersonowi o tej wizycie, a jeśli już, to co.

Kiedy jeden problem zniknął, pojawiał się następny, trafiając bezbłędnie w najczulsze miejsca. Czy mogłam być pewna wierności Wintersona, wiedząc o nim tak dużo? Czy wieczne zwątpienie będzie ceną, jaką przyjdzie mi zapłacić za swoje uczucie do niego? Do tej pory uważałam wikarego za swojego sprzymierzeńca, ale w obliczu jego nagłej nadgorliwości i złamania etyki ogarnęły mnie złe przeczucia. Mogłam sobie pogratulować, że nigdy nie uczyniłam go swoim powiernikiem.

Stojąc z synkiem przy oknie, wpatrywaliśmy się w zapadający mrok, oczekując przyjazdu mojej rodziny. Za naszymi plecami nakrywano stół na osiem osób. Służba została poinformowana o wizycie, w kominku płonęło drewno, a na kredensie czekało już piwo i wino. Mama lubiła szczególnie słodkie białe wino Sauternes, które zdobywał dla niej Pierre.

- Stryjek Burl! - zawołał Jamie i pobiegł do holu.

Nie słyszałam innych wozów, pomyślałam więc, że Burl pojechał przodem. Poszłam za synkiem do holu, czując, jak serce szamoce mi się w piersi. Mały przyłgnął do Burla, nie pozwalając mu zdjąć nawet kapelusza i rękawiczek.

- Poczekaj, młody człowieku. Nie przyszedłem tu po to, żebyś mnie udusił.

Trzymając Jamiego na ramieniu, podszedł do mnie i na przywitanie pocałował mnie w oba policzki.

Miał chłodną twarz, a jego skóra pachniała świeżo wrzosowiskami.

- Czekałam na pana...

- Widzę... - Patrzył mi w oczy dłużej, niż przystało, i od razu poczułam się pewniej. - Jamie, nie wierć się. Zanim pójdę do domu, muszę porozmawiać z twoją mamą.

Słyszając poważny ton, domyśliłam się, że plany względem mojej rodziny uległy zmianie. Najwidoczniej wcale nie zamierzał ich tu przywieźć. W drodze z holu do jadalni targały mną sprzeczne emocje. Na szczęście nie zmierzał wyjść i zostawić mnie samej z rozgoryczonym i rozczarowanym dzieckiem.

Pani Goode też musiała wyczuć, że coś się zmieniło, i szybko naląła Wintersonowi kieliszek brandy. Winterson posadził sobie Jamiego na kolanach, przytulił go i chłopiec całkiem się uspokoił.

- Co się stało? Zmiana planów? Coś z moją mamą?

- Twoi bracia twierdzą, że matka od dawna nie czuła się tak dobrze. Co do jej charakteru, sama mnie uprzedzałaś... Niezwykła kobieta...

Zrozumiałam, że nie zdołał jej nakłonić do przeprowadzki.

- Nie chciała się ruszyć z miejsca? Co za uparciuch! Wiedziałam, że tak będzie.

- Poczekaj. Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Długo rozmawiałem z panią Follethorpe, z braćmi i z domownikami. Pływaliśmy wokół dworu i pozostałych budynków. Pokazali mi, co przy nich zrobili i gdzie uprawiali ziemię.

- Mówili ci, jak to wszystko było zniszczone?

- Więcej rozmawialiśmy o tym, co zrobili, niż o tym, co było zrujnowane. Dom ciągle jeszcze jest zalany, ale poziom wody powoli zaczyna opadać. Kiedy do nich

przyplłynęliśmy, od razu było widać, że nie zamierzają się stamtąd ruszyć. Moim zdaniem słusznie.

- Trzeba im było powiedzieć, że postanowiłeś wyburzyć budynki i na nowo zacząć tam uprawiać ziemię.

- Nie było powodu. Wziąłem ze sobą rządcę, chciałem, by poznał twoich braci. Razem doszliśmy do wniosku, że rozsądniej będzie ich zostawić na miejscu i niech tam gospodarują. Byliśmy pod wrażeniem tego, co dotychczas zrobili. Biorąc pod uwagę brak jakiegokolwiek pomocy i ciężkie warunki, w jakich żyli, poradzili sobie naprawdę doskonale.

- Mieli Pierre'a do pomocy. Co się z nim stało?

- Rozstali się, gdy wyszło na jaw, że mają różne poglądy.

- Pierre i moi bracia zawsze mieli różne poglądy. Chcę wiedzieć, o co poszło tym razem.

Winterson spojrzał na sennego chłopca. Przytulił go czule do piersi i pogłaskał po głowie.

- O ciebie. Pokłócili się po tym, jak monsieur Follet spotkał nas razem koło kawiarni. Pamiętasz?

Czy mogłam zapomnieć wyraz twarzy Pierre'a?

- Tak.

- Po powrocie do Foss Beck twój kuzyn pozwolił sobie na złośliwy komentarz.

- Domyślam się.

- Twoi bracia nie zdawali sobie z tego sprawy. Nigdy wcześniej mnie nie widzieli. Teraz wiedzą, że Pierre miał rację, ale wtedy, kiedy zaczął...

- Źle się o mnie wyrażać?

- Powiedzieli mu, że będzie lepiej, jeśli się wyniesie. Tak też od razu zrobił. Nie wiem, jakie były ich stosunki, ale nie wydają się zmartwieni jego nieobecnością. Martwi ich jednak jedna rzecz.

- Chodzi o to, co zazwyczaj przywoził z Brid?

- Gorzej - odparł. - Odchodząc, wziął ze sobą wszystkie oszczędności.

- O, nie! Wszystko?

Słyszając rozpacz w moim głosie, Jamie otworzył oczy, ale jego ciężkie powieki po chwili znowu opadły.

- Wszystko. Co do pensa.

Ciężko westchnęłam, czując, że to częściowo moja wina. Ale jak Pierre mógł tak postąpić? Nawet jeżeli zawiódł się na mnie, jak mógł zrobić coś takiego mojej mamie, której, jak twierdził, winien jest opiekę i wdzięczność za to, że przez lata o niego dbała. Dokąd poszedł i jak oni sami dawali sobie radę? Ciekawe, co mama na to powiedziała?

- Jestem pewien, że w głębi serca twoja matka jest zadowolona. Skończyły się wieczne nieporozumienia i wzajemna niechęć. Finch naprawdę robi wrażenie jako głowa domu. Dużo przebywałem z nim i z Gregiem sam na sam. Wiem, że zmartwili się utratą oszczędności. Chcieli za te pieniądze remontować dwór. Opowiedzieli mi, jak walczyłaś, by rodzina nie umarła z głodu. Są z ciebie bardzo dumni i dlatego nie mogli ścierpieć krytyki Pierre'a.

- Rodzinna lojalność działa w obie strony...

- Twoi bracia nie wiedzą, dokąd poszedł wasz kuzyn. Nie mieli czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Wyciągnęliśmy z błota twój powóz i dostarczyliśmy do dworu to, co dla nich wiozłaś. Przekazuję podziękowania.

- Dziękuję, ale co się teraz stanie? - zapytałam całkiem zdezorientowana. - Naprawdę pozwolisz im zostać i gospodarować w Foss Beck?

- Oczywiście. Ale żeby to miejsce zaczęło przynosić zyski, potrzebuje inwestycji i wielu rąk do pracy.

- Moi bracia już nie mają pieniędzy. Ani dodatkowych rąk do pracy.

- Ciii! - Winterson z czułością spojrział na dziecko śpiące na jego kolanach. Pocałował je w chłodne czoło i zamilkł.

- Zabrać małego na górę? - zapytała pani Goode.

- Nie - odparł Winterson i popatrzył na mnie z uśmiechem. - Widzę, że jest zmęczony. Jednak pozwoliłaś mu pomagać.

- Biegał prawie cały dzień. Ale to my jesteśmy zmęczone.

- Foss Beck wymaga wiele pracy. Do piątku woda trochę opadnie, a wtedy wrócę tam ze swoimi ludźmi i dokładnie obejrzę teren. Muszę się przekonać, co tam jest i co z tym można zrobić. Dom jest w opłakanym stanie. Trzeba też będzie zadbać o inne budynki, gdzie umieszczę dzierżawców, którzy będą pomagać na farmie. Jeśli od razu weźmiemy się do pracy, do lata farma będzie działać jak należy.

- Myślę, że pani Goode może już zabrać Jamiego na górę - powiedziałam, a Winterson bez protestu oddał dziecko piastunce. - Zaraz do was przyjdę - dodałam z uśmiechem.

- Dobranoc pani. Dobranoc panu.

Winterson zamknął za nimi drzwi i usiadł w fotelu, spodziewając się, że teraz zacznę wypytywać go o szczegółowe plany związane z pracami w Foss Beck.

- Wszystko się zmieniło - powiedział, biorąc mnie za rękę. - Widzę, że włożyłaś mnóstwo pracy, żeby przygotować dom na ich przyjęcie. Ale oni postanowili tam zostać. Spodziewałaś się przecież, że twoja matka nie zechce wyjechać.

- To przez ojca. Powiedziała, że nigdy go nie zostawi. Nie przypuszczałam jednak, że będzie się przy tym tak upierać. Poza tym, gdybyś zburzył dom i...

- Niczego nie będę burzył. Oni o tym wiedzą.

- Opowiedzieli ci także, dlaczego musieliśmy uciekać z Bridlington?

- Tak. Nie przyznałem się, że już to wiem. Muszę ci powiedzieć, że ten cały strach przed aresztowaniem za przestępstwo, którego przed laty dopuścił się wasz ojciec, to jedna wielka bzdura. Prawo nie działa w ten sposób. Ktoś was wprowadził w błąd.

- Jak to?

- Nikt was nie zamierzał aresztować. Niepotrzebnie się ukrywaliście. Nikomu z was nic nie grozi. I nigdy nie groziło. Kiedy skazany umiera, wina umiera wraz z nim. Ten, kto twierdził inaczej, nie miał racji. Albo celowo wprowadził was w błąd.

- Pierre utrzymywał, że oni muszą się ukrywać.

- W takim razie dobrze, że odszedł. Nawet jeśli przy okazji zabrał wasze pienią-

dze.

- Może uznał, że to on je zarobił. Mógł dokładnie nie wiedzieć, jakie są angielskie przepisy... może zakładał, że...

- Bzdury! - Winterson roześmiał i pocałował moje dłonie. - Francuskie prawo jest pod tym względem identyczne jak nasze. Zamierzam popytać trochę o waszego kuzyna.

- W takim razie powinieneś jeszcze coś wiedzieć, Burl.

- Powiedziałaś do mnie Burl! - Uśmiechnął się radośnie. - Powtórz to, proszę.

- Burl... ładnie brzmi.

- Dla moich uszu to wręcz anielskie chóry. Powiedz to jeszcze raz.

- Flirciarz. Mówiłam, że chcę ci jeszcze coś powiedzieć...

- Coś, co powinienem wiedzieć. Monsieur Follet chciał się z tobą ożenić. Wiem.

- Chodzi o mój zakład krawiecki. Kiedy zaczęły się powodzie, miałyśmy pewną wizytę... - opowiedziałam mu o wszystkim, a on patrzył na mnie z coraz większym zatroskaniem.

- Wiesz, dlaczego przyszli akurat do ciebie?

- Wspominali coś o ogłoszeniu w oknie. O tym, które widziałeś. To mogło wzbudzić ich podejrzenia. Teraz jednak zastanawiam się, czy ktoś celowo nie zwrócił im na mnie uwagi. Może Pierre, po tym jak zobaczył nas razem na mieście? Jak uważasz? Chociaż sama nie wiem. Nigdy nie był mściwy.

- Nie był mściwy... ale zabrał wasze oszczędności. Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Znam urzędnika zajmującego się kontrolą celną. On mi powie, kto i dlaczego przeszukał twój zakład.

- Przypuszczasz, że ktoś mógł na mnie donieść?

- Niekoniecznie. Ale zostaw to mnie.

Zauważyłam, że ostatnio z przyjemnością powtarzał „zostaw to mnie”. Tak też zrobiłam.

- Powiedziałaś, że moja rodzina nie musi się już ukrywać.

- Nigdy nie musieli tego robić, chyba że chcieli ukryć, że zajęli moją ziemię. By-

li przekonani, że jest niczyja, ale i tak starali się, by nikt nie wiedział o ich obecności w Foss Beck.

- Zgodnie ze swoim zwyczajem, zażadasz teraz rekompensaty za to wykroczenie?

- Chyba już to ustaliliśmy?

- Sam powiedziałeś, że wszystko się zmieniło. Postanowiłeś pozwolić im tam zostać. Ale jak mają odbudować dom i uprawiać pola, skoro nie mają pieniędzy?

- Nie mówiłem? Myślałem, że to wyjaśniłem.

- Niczego nie wyjaśniłeś.

- Musisz być bardzo zmęczona - stwierdził sucho i spojrzał na brandy, które podała mu pani Goode. - To też z przemytu?

- Nie. To brandy, którą trzymałam dla Linasa. I nie jestem aż tak zmęczona, żeby nie pamiętać, co mówiłeś.

- O czym?

- O odbudowie domu i rekultywacji pól.

- Teraz, kiedy okazało się, że twoja rodzina nie straci dachu nad głową, chcesz dokładnie wiedzieć, co otrzymają w związku z naszą umową. Twoi bracia nie wiedzą o naszej ugodzie, ale...

- Ja myślę!

- ...ale dużo z nimi rozmawiałem o tym, czego chcieliby od życia, gdyby świat był idealnym miejscem. Ty nigdy tego nie zrobiłaś.

- Kiedy ja tam byłam, lało jak z cebra i musiałam krzyczeć, stojąc po drugiej stronie jeziora.

- Niemniej jednak uznałem, że tak będzie bardziej demokratycznie...

- Och, powiedz wreszcie!

- ... i postanowiłem niczego z góry nie przesądzać. Usiedliśmy razem przy doskonałym bulionie z pierożkami i rozmawialiśmy o tym, czego by chcieli.

- Oni czy raczej ty?

- Najpierw mówiliśmy o nich, potem o mnie. Jeżeli będziesz mi ciągle przery-

wać, będę tu siedział do rana. O to ci chodzi?

- Nie będę już przerywać. Proszę, mów.

- Dziękuję. Cały czas próbowałem to robić... - Winterson wypił łyk brandy i uśmiechnął się. Wiedział, jak niecierpliwie czekam na szczegóły, i drażnił się ze mną.

- Nie było mowy o żadnej rekompensacie, moja droga. Ta ziemia należy do posiadłości Stillingfleete'a i to za jego pieniądze dom zostanie odbudowany i urządzony. Zainstaluje się im bieżącą wodę, urządzenia sanitarne, zrobi porządną kuchnię i co tam jeszcze będzie potrzebne. Twoi bracia zgodzili się pracować na powiększonej farmie za miesięczne wynagrodzenie. Pola zaorają i obsieją moi ludzie. Na pozostałych terenach będzie się odbywał wypas owiec i mlecznych krów nowej rasy. Farma dostanie konie i lepsze maszyny rolnicze. Zbuduje się zagrody dla drobiu i może budki dla bażantów. Będzie też potrzebny gajowy.

Musimy jeszcze zdecydować, które zabudowania gospodarcze remontować i które pola pójdą pod uprawy, a które na pastwiska. Większość gruntów ornych zostanie zmeliorowana, trzeba będzie też zmienić bieg strumienia, by w przyszłości nie groziły im powodzie. Kiedy to wszystko zostanie ukończone, odbudujemy kilka chat dla nowych pracowników. Może znajdziemy wikarego, który chciałby tam zamieszkać. Wtedy można by na nowo zacząć korzystać ze starego kościoła.

Słuchałam tego jak pięknej bajki i tylko czekałam, kiedy zabrzmiał pierwszy fałszywy ton.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęłam. - Co na to moja mama?

- Twarda kobieta. Chciała wiedzieć, dlaczego zamierzam to wszystko zrobić i czy najpierw cię poślubię i uznam Jamiego za swojego syna, co do czego nie ma żadnych wątpliwości, bo jesteśmy podobni jak dwie krople wody.

- Tak powiedziała? Mama jest zbyt bezpośrednia w słowach...

- Wcale nie. Ma prawo wiedzieć. Powiedziałem, że musi się pogodzić z tym, że zostanę jej zięciem. - Uśmiechnął się figlarnie jak chłopiec. - Wtedy trochę popłakała.

- Biedna mama. Była taka chora.

- Od kiedy twój kuzyn zniknął, matka czuje się lepiej. Przestała brać lekarstwo,

które jej przywoził z miasta, i od razu zaczęło się jej poprawiać. Twoi bracia powiedzieli mi... - Nagle przerwał i wziął do ręki szklaneczkę.

- Mają jakieś podejrzenia co do Pierre'a?

- Pewnie nie. To może być zwykły zbieg okoliczności.

- Bez względu na naszą umowę, jestem twoją dłużniczką. To, co dla nich robisz...

- Robię to dla ciebie.

- Dlaczego?

- Ponieważ mam ciebie i mojego syna. To bardzo proste

- Nadal nie mogę w to uwierzyć. Dałeś im wszystko, o czym marzyli. Nie zasługuję na tak wiele i nigdy nie zdołam ci się zrewanżować...

- Umówmy się, że w tej sprawie nie będziemy zgodni i więcej do tego nie wracamy. Nie mogę przecież poślubić kobiety, której rodzina będzie żyła jak wyjęta spod prawa w jakiejś zabytkowej ruinie na mojej ziemi. Tak nie może być. Zgadzasz się ze mną?

- Oczywiście. Tak nie może być - przyznałam i szybko zmieniłam temat. Powiedziałam mu o śmierci rodziców Prue i planowanym na piątek pogrzebie.

- W piątek pojedę do Foss Beck. Twój dom trzeba teraz doprowadzić do porządku, więc może jutro pojedź do Abbots Mere. Jamie i pani Goode zanocują, a piątkowe przedpołudnie spędzą z moimi rodzicami. Po południu odeślę ich powozem na Blake Street. Mam dla Jamiego niespodziankę, jestem pewny, że mu się spodoba.

- Czy ta niespodzianka ma cztery nogi i ogon? - spytałam, patrząc w jego uśmiechnięte oczy.

- To piękna klaczka rasy Exmoor. Będzie dla niego doskonała. Poprzedni właściciel już z niej wyrósł.

- Jamie oszaleje ze szczęścia.

- Łatwiej pogodzi się z tym, że babcia Damzell nie zamieszka w jego pokoju.

Przywieź ich jutro po śniadaniu i dopilnuj, żeby mały miał ze sobą jakieś mocne spodnie i porządne buty.

Winterson wstał z fotela.

- Muszę jechać. Przykro mi, że popsułem twoje plany, ale tak będzie lepiej. Wybaczysz mi?

Wyciągnął do mnie ręce, a ja radośnie rzuciłam mu się na szyję. Zaskoczyła go tak żywiołowa forma podziękowania. Mnie jednak wcale nie chodziło o wyrażenie wdzięczności. Chciałam się znaleźć w jego ramionach i poczuć się bezpieczna. Po tym, co usłyszałam dzisiejszego wieczoru, potrzebowałam tego najbardziej na świecie.

- Przytul mnie - szepnęłam.

Zrobił więcej, niż prosiłam. Jego usta smakowały brandy, a pocałunki były tak namiętne, że zakreśliło mi się w głowie. Czułam, że bez trudu mogłabym go namówić, żeby został na noc. Przeszliśmy do holu, gorączkowo szukając powodu, dla którego musiałby zostać. Gdy brał ze stolika kapelusz i rękawiczki, jego wzrok padł na leżące na srebrnej tacy karty wizytowe.

- Medworth? Kiedy był u ciebie?

- Dzisiaj.

- Nie wspomniałaś o tym.

- Zapomniałam. Był w mieście i zajrzał, żeby mnie przeprosić, że we wtorek nie dopilnował Jamiego.

- Doprawdy? Też uważam, że powinien to zrobić. Bóg jeden wie, jaki będzie z niego proboszcz, skoro nie potrafi dopilnować nawet swojego stadka. Slatterly zamierza mu powierzyć nowe stanowisko.

- Jakie stanowisko? I co lord Slatterly ma z tym wspólnego?

- Nie powiedział ci? Dziwne, myślałem, że już wszystkim się pochwalił. Lord Slatterly umieścił Medwortha w Osbaldwick i uczynił go wikarym, chcąc w ten sposób pomóc staremu proboszczowi. Staruszek przeszedł w końcu na emeryturę i na Wielkanoc Medworth ma zająć jego miejsce. Zabierz do Abbots Mere swój strój jeździecki i powiedz pani Goode, żeby zrobiła to samo. Przejedziemy się po posiadłości razem z moimi rodzicami.

- Dobrze. A co z moim powozem? Jest już naprawiony?

- Nie był zepsuty, tylko kamień zablokował koło w głębokiej koleinie. Do rana będzie czysty i gotowy do użytku.

- W takim razie nie będę musiała...

Lokaj stał niewzruszony przy drzwiach z jedną ręką na klamce. W tej sytuacji Winterson mógł tylko skinąć głową, choć widziałam, że chciał się roześmiać.

- Dobranoc, panno Follet.

Rano od razu zeszłam do kuchni, żeby przeprosić kucharkę za zamieszanie. Pracowała się, szykując ulubione potrawy mojej rodziny, a teraz cała jej praca miała pójść na marne. Na szczęście podeszła do tego filozoficznie. Widząc, jak bardzo byłam zawiedziona, stwierdziła, że wszystko, co przygotowała, można jeść na zimno i że starczy nam tego na tydzień.

Moja gospodyni, pani Carson, była równie współczująca i nie okazała niezadowolenia w związku z dodatkową pracą, jakiej wymagało przywrócenie domu do dawnego stanu. Obiecała, że jutro wieczorem wszystko będzie z powrotem na miejscu.

Wciąż jeszcze nie mogłam uwierzyć w szczodrość, jaką lord Winterson okazał mojej rodzinie. Poszłam do Jamiego, który leżał w swoim łóżku. Spał tak głęboko, że nie obudził się podczas przebierania, a teraz mocno tulił do siebie haftowany, pachnący lawendą pokrowiec na nocną koszulę. Uśmiechnęłam się do pani Goode i na palcach wyszliśmy z pokoju.

- Proszę iść ze mną do kuchni. Dziś wieczorem zjemy kolację z kucharką i z panią Carson.

Po kolacji zabrałam się za robienie porządków i położyłam się dość późno. Myślałam o swoich bliskich i o tym, że nareszcie poznali Wintersona. Poczęstowali go zupą, porozmawiali z nim i na pewno zrozumieli, dlaczego tak łatwo go pokochałam. Nie musieli znać szczegółów. Prawdę mówiąc, nie oczekiwałam, że będą o nie wypytywać.

Wydawało się, że wszystkie problemy są już rozwiązane, a jednak nie mogłam pozbyć się niepokoju, jaki wzbudziła we mnie dziwaczna i kłopotliwa wizyta Med-

wortha. Rozumiałam, że umowa, jaką zawarli Winterson i jego chory brat, była dość niezwykła. Nawet ich ojciec nie chciał znać szczegółów. Ale w jakim celu Medworth próbował zburzyć moje zaufanie do Burla? Może słyszał coś o naszym ślubie? Może chodziło o spadek? A może był zazdrosny, co do tej pory zρέcznie ukrywał. W końcu posada wiejskiego wikarego czy nawet proboszcza różniła się od pozycji, jaką zajmował utytułowany właściciel ziemski i przyszły spadkobierca rodowej posiadłości. Co prawda Medworth i Cynthia wyglądali na szczęśliwą parę, ale może były to tylko pozory, za którymi kryło się coś więcej, jak to często bywało w innych małżeństwach. W piątek po raz pierwszy miałam być na prowadzonym przez niego nabożeństwie i szczerze mówiąc, nie napęlniało mnie to wielką nadzieją.

Kiedy wreszcie zasnęłam, śniły mi się wielkie jeziora, łodzie i ogromne młyńskie koła. Jamie wołał do mnie, że potrafi pływać, jeździć konno i nawet latać. Ja też do niego wołałam, ale mnie nie słyszał.

Jamie był rozczarowany, że babcia nie zamieszka w naszym domu, kiedy jednak usłyszał, że jedziemy do Abbots Mere i spędzi tam noc, natychmiast się rozchmurzył. Wsiedliśmy do mojego wyczyszczonego do połysku powozu. Obie z panią Goode miałyśmy na sobie stroje do jazdy konnej i Jamie od razu to zauważył. Wyjaśniłyśmy mu, że w nocy był mróz i znów zrobiło się zimno. Ale kiedy zobaczył babcię Frances i dziadka też w takich strojach, postanowił wyjaśnić sprawę.

- Znowu będę jechał ze stryjkiem Burlem? - zapytał żałośnie.

- Chodź ze mną, Jamie. - Winterson wyciągnął do niego rękę. - Tam czeka ktoś, kto chce na ciebie popatrzeć.

- Popatrzeć na mnie? Kto chce na mnie popatrzeć? - zapytał, chwytając mocną dłoń.

- Pewna lady o imieniu Penny. Czeka na zewnątrz.

Poszliśmy za nimi, chcąc zobaczyć jego reakcję na widok ciemnobrażowej klaczy, która moim zdaniem była dla niego zdecydowanie za duża. Uważałam, że dla trzyletniego dziecka bardziej odpowiedni byłby zwykły kucyk. Ale Jamie nie miał takich obiekcji. Zaniemówił ze szczęścia i od razu zaprzyjaźnił się ze swoją klaczką.

Śmiało usiadł w siodle, chwytając wodze, tak jak to podpatrzył u Wintersona. Słuchał uważnie poleceń i starał się robić wszystko jak najlepiej. Mały jeździec uśmiechał się dumnie i ten uśmiech pomógł mi zrzucić ciężkie brzemię z serca. Patrzyłam ze wzruszeniem, jak ojciec i syn jadą obok siebie. Jeden wysoki jak kościelna wieża, drugi malutki, ledwo sięgający głową siodła ogiera. Pomyślałam, że jeżeli Winterson pokocha tylko Jamiego, a nie nas oboje, to nie będę się skarżyć i nie stanę się z tego powodu zgorzkniała.

Dziś pierwszy raz od chwili, gdy choroba przykuła Linasa do łóżka, jeździłam konno razem z Wintersonem i jego gośćmi. Przy poprzednich okazjach nie dostrzegali mnie, chyba że byłam w towarzystwie Linasa albo innych osób. Nigdy nie próbował zostać ze mną sam, z wyjątkiem tamtego kwietniowego dnia 1802 roku, kiedy mój kochanek zapomniał o moich urodzinach. Niemniej ktoś musiał przypomnieć Linasowi o tej okazji, bo następnego dnia po powrocie do miasta obok mojego nakrycia pojawiła się czerwona róża. Kładłam ją na stole przy śniadaniu, obiedzie i kolacji, dopóki nie zwiędła. To samo powtórzyło się za rok i w następnych latach. Linas nie lubił demonstracji, uznałam więc, że róża symbolizuje to, czego nie umiał wyrazić słowami.

Dziś było całkiem inaczej. Dziś byłam członkiem grupy, a nie kimś z zewnątrz, tolerowanym ze względu na związek z bratem. Rozmawiano ze mną, pytano o moje zdanie i liczone się z moją opinią. Choć oczywiście Jamie wolał słuchać instrukcji stryja niż moich.

- Musi się pani z tym pogodzić, panno Follet. Matki nie mają prawa znać się na koniach - oznajmił pocieszająco lord Stillingfleete. - Frances przeżywała to dokładnie tak samo jak pani i też była przekonana, że pierwszy koń Burla był dla niego za duży. Ale, jak widać, nic mu się nie stało.

- Chyba pamiętam, że pewien trzylatek miał przez jakiś czas bardzo obolałe siedzenie - dodał Winterson ze śmiertelnie poważną miną. - I tak jak powiedziałaś, nic mu się nie stało.

- Mój synu, jesteś w towarzystwie dam - upomniała go matka.

- Tak, mam - odparł i krzyknął do Jamiego: - Trzymaj ręce razem!

- Noga wypadła mi ze strzemienia, stryjku Burl. Winterson podjechał do małego i poprawił mu nogę.

- Nie uważa pan, że pora, aby Jamie odpoczął? - zapytałam.

- Racja. Na dziś wystarczy, a jutro potrenuje na padoku jazdę na oklep.

Popatrzyłyśmy na siebie z panią Goode. Zrozumiałyśmy, że Jamie właśnie wkroczył w męski świat i jego dzieciństwo miało się ku końcowi.

Kiedy inni poszli już do domu, podeszłam do pustego boksu. Zamierzałam przedyskutować z Wintersonem jutrzejsze zajęcia Jamiego. Byłam przekonana, że zechce omówić ze mną na osobności zmiany, jakie zachodziły w zachowaniu małego i kwestię coraz większego uwielbienia, jakim darzył go Jamie. Byłam zaborczą matką, toteż czułam się trochę niespokojna.

Winterson wszedł do stajni i powoli ruszył w moją stronę. Odłożył rękawiczki i szpicrutę i ująwszy mnie za ramię, odwrócił plecami do drzwi boksu.

- Domyślam się, że dziś wieczorem musi pani wracać do miasta? Nie wyobrażam sobie kolejnej nocy bez pani i w tej sytuacji będę zmuszony kochać się z panią tutaj, w stajni. Ma pani coś przeciwko temu?

- Lordzie Winterson, proszę! Czekałam na pana, żeby porozmawiać bez świadków - odparłam: Udawałam oburzenie i choć oboje wiedzieliśmy, że udaję, nie brałam jego słów poważnie. Ciekawe, co takiego było w atmosferze stajni, że od razu przychodziły na myśl takie rzeczy?

- Przepraszam, to ten dopasowany zakiet tak na mnie podziałał.

- W takim razie może pójdę się przebrać i włożę coś mniej obcisłego.

- Nie. Proszę zostać. Dobrze to pani zniosła. Wiem, że nie jest pani łatwo przekazać syna w inne ręce. Ale proszę się nie martwić o jutro. Mój ojciec będzie na miejscu, i mój główny stajenny, i pani Goode. Nie przemęczą małego. Pokażą mu, jak czyścić konia. Będzie bezpieczny.

- Dziękuję. Wiem, że nic mu nie grozi. Widziałam, jaki był szczęśliwy.

- Będzie w tym dobry.

- Tak jak jego ojciec - odparłam, nie mogąc uniknąć dwuznaczności.

Winterson wziął mnie w ramiona.

- Wiem, że myślała pani o dawnych czasach. Widziałem to w pani oczach. Nie ma po co do tego wracać. To już przeszłość. Trzeba pozwolić jej odejść.

- Chętnie bym to zrobiła, ale nie mogę, nie wiedząc, o co w tym wszystkim chodziło.

- Kiedyś to pani wyjaśnię. Proszę dać mi trochę czasu. Dla mnie to też niełatwe.

- Poczekam. Ale niech pan nie odwraca się ode mnie jak poprzednio. Wtedy, gdybym miała odwagę, mogłam odejść. Teraz to nie będzie możliwe, prawda?

- Nie będzie żadnego odchodzenia, bo nie będzie ku temu powodu. Koniec szalonych przyjęć z rozwiązłymi kobietami. Od tej pory będziemy zapraszać tylko te osoby, które oboje lubimy.

- Dużo było tych rozwiązłych kobiet? - zapytałam, choć jego przyjęcia były najmniejszym z moich problemów.

- Kilka. Ale żadnej z nich nigdy pani nie spotkała.

- Zabrzmiało to tak, jakby zależało panu na tym, kogo spotykałam. Trudno i w to uwierzyć, bo najczęściej w ogóle pan nie zauważał mojej obecności.

- Myli się pani, panno Follet. Zawsze dokładnie wiedziałem, gdzie pani jest. A najlepiej pamiętam osiemnasty kwietnia tysiąc osiemset drugiego roku między godziną...

- Niech pan przestanie! Wracajmy do domu, bo zaraz zaczną nas szukać. - Odśunęłam się od niego.

Nigdzie jednak nie odeszłam. Burl chwycił mnie w ramiona i znowu pocałował, udowadniając, że jego pożądanie wcale nie opadło. Nie wiem, czy dostrzegł sens ukryty w moich pytaniach, w każdym razie nie dał nic po sobie poznać. Chciałam go zapytać o Veronique, ale przyznam, że szkoda mi było tracić cenne chwile na rozmowę. Poza tym dysponowałam tylko plotkami, i to z trzeciej ręki.

Całowaliśmy się aż do utraty tchu, a kiedy wreszcie wypuścił mnie z objęć, świat wirował mi przed oczami. Wracając do domu, bardziej niż zwykle ślizgałam się

na oblodzonym bruku stajennego dziedzińca.

W domu przy ogniu czekały na nas ciasteczka i gorąca czekolada. Równie dobrze mogłam jeść trociny. Nie czułam nic poza dojmującą tęsknotą za jego bliskością. Rozmawiałam i uśmiechałam się, jakby nic się nie stało, ale jestem pewna, że Winterson doskonale wiedział, co się ze mną dzieje.

Moja pozycja nagle wzrosła do tego stopnia, że zostałam oprowadzona po domu. Winterson pokazał mi miejsca, których wcześniej nie miałam powodu oglądać. Obejrzałam wszystkie pokoje, kuchnie, pokoje kredensowe i wielkie spiżarnie, gdzie obok szynek i dziczyzny wisiały pęki drobiu i dzikiego ptactwa. Widziałam świeże ryby, czekające na przyrządzenie, kosze pełne jaj, misy śmietany, drewniane bańki na mleko, półki zastawione serami i osełkami masła, skrzynie wypełnione jarzynami i pęki ziół. Obejrzałam ogród warzywny z drzewami owocowymi i szklarniami, które widziałam po raz pierwszy w życiu. Winterson powiedział, że rosną w nim także piękne róże, kwitnące od wiosny aż do późnej jesieni.

Oprowadził mnie po długiej galerii zbudowanej w szesnastym wieku z okazji jednodniowej wizyty i noclegu króla Henryka VIII. Byłam tu raz lub dwa przy okazji jakiegoś przyjęcia czy balu, ale Linas nigdy nie opowiadał mi o swoich przodkach, których portrety wisiały na ścianach wyłożonych dębową boazerią. Winterson musiał się tego domyślić, bo nadrobił zaniedbanie brata. Wiedziałam lepiej od innych, że nie było ono celowe, lecz wynikało z jego choroby.

Kiedy wróciliśmy do salonu, odniosłam wrażenie, że Winterson zaczyna w końcu rozumieć, iż obojętność Linasa nie była dla mnie tak bolesna jak lodowaty dystans, z jakim on sam mnie traktował. Zaczęłam już zapominać o swojej urażonej dumie. Nie dlatego, że niedługo miałam zostać panią tego wspaniałego domu, ale ponieważ z jakichś powodów Burl Winterson naprawdę mnie pragnął.

Rozdział trzynasty

Wieczór w domu bez Jamiego i pani Goode wydawał mi się dziwnie pusty. Znikały już ostatnie ślady wczorajszych przygotowań na przyjęcie gości, ale część rzeczy ciągle jeszcze nie wróciła na dawne miejsce. Czułam, że dziś nie będę miała problemu z zaśnięciem. Konna przejażdżka dobrze mi zrobiła. Winterson miał znakomite konie, liczyłam więc, że teraz częściej będę mogła oddawać się tej przyjemności.

Leżąc w łóżku, zastanawiałam się, co jeszcze zostało do zrobienia i pomyślałam o brulionach Linasa, które wcześniej leżały w salonie na stoliku. Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie je przełożyłam, ale byłam pewna, że prędzej czy później się znajdą.

W piątek był pogrzeb rodziców Prue. Wczesnym rankiem pobiegłam do sklepu. Powiesiłam w oknie zawiadomienie, opuściłam do połowy żaluzje i przewięzałam kolorowe frędzle szeroką czarną kokardą. Ostatnio wciąż nosiłam żałobne suknie i przyznam, że zaczynałam mieć już dosyć szarości i fioletów. Tęskniłam za kolorem, ale reprezentując zakład krawiecki „Follet i Sanders”, musiałam być ubrana odpowiednio do okazji. Nie chciałam przynieść wstydu Prue, założyłam więc czarne boa z piór, czepek przybrałam czarnym strusim piórem, a mankiety rękawów wykończyłam strusim puchem. Wzdłuż rękawów przyszyłam ozdobny czarny galon i jeszcze dodatkowo wykonałam z niego dekorację na pelisie. Wiedziałam, że Prue zawsze zwraca uwagę na wygląd pracownic. Powinna być ze mnie zadowolona.

Było ślisko i ulicę posypano słomą. W drodze do Stonegate po powóz obie z Debbie ostrożnie stawiałyśmy nogi. Weszłyśmy wprost na tylny dziedziniec, skąd było bliżej do powozu i do stajennego, który miał nam towarzyszyć. Na dziedzińcu stał woźnica Wintersona i rozmawiał z młodzieńcem w zielono-szarej liberii. Obaj wydawali się zaniepokojeni.

- Dzień dobry. Możemy już jechać? - zapytałam.
- Oczywiście, proszę pani - odparli, dotykając czapek.
- Jakiś problem?

Mężczyźni wymienili pospieszne spojrzenie.

- Nie tyle problem, proszę pani... Pan Treddle ma niezręczną sytuację w domu. Jego lordowska mość zabronił wpuszczać kogokolwiek poza panią, gdy go nie ma. Ale czasem nie wiadomo, jak się zachować... kiedy ktoś... - Woźnica zamilkł, zastanawiając się, jak to grzecznie ująć.

- Kiedy ktoś domaga się, by go wpuszczono, tak? Znam tę osobę?

- To lady Slatterly. Kiedy się dowiedziała, że pana nie ma, była niezadowolona. Nie uwierzyła panu Treddle'owi i zaczęła pokazywać fochy.

- Lord Winterson pojechał do Foss Beck.

- Wiemy, ale jej nie powiedzieliśmy. Odjechała wściekła, jakby ją sam diabeł gonił. Zajeździ konie, jeśli będzie tak powozić.

Chciałam zapytać, czy nie pojechała przypadkiem do Abbots Mere, gdzie przebywał Jamie, ale to by była niedyskrecja. Mogłam sobie wyobrazić, jak bardzo lady Slatterly chciała się zobaczyć z Wintersonem. Bezpieczeństwo mojego dziecka obchodziło mnie jednak bardziej niż spokój jej duszy.

Droga do Osbaldwick była trudna. Powóz trząsł się na oblodzonych koleinach, musiałam więc jechać bardzo wolno, oszczędzając końskie kopyta. Pola i łąki były białe, a na suchych trawach połyskiwały w słońcu pajęczyny. Wkrótce na drodze zaczęły pojawiać się inne pojazdy i razem zdążaliśmy w kierunku bijących dzwonów. Kiedy dojechaliliśmy na miejsce, zobaczyłam sporo czarno ubranych ludzi idących w stronę kościoła św. Tomasza.

W kościele usiadłam razem z dziewczętami z zakładu. Moje miejsce wypadło obok szerokiej kamiennej kolumny, więc Medworth mógł mnie nie widzieć. Dzięki temu mogłam go swobodnie obserwować. Słuchałam jego słów i patrzyłam, jak drżącymi rękami przewraca kartki w książeczce do nabożeństwa. Raz o mało jej nie upuścił. Widziałam, że dzieje się z nim coś złego. Odprowadzenie trumny na cmentarz jest zawsze ponure i smutne. Przypomniłam mi się pogrzeb Linasa i najchętniej zostałamby z tyłu, ale obiecałam Prue, że będę przy niej. Stałam więc dzielnie u jej boku, obejmując ją ramieniem, tak samo jak ona obejmowała mnie, kiedy chowano Linasa.

Teraz Medworth musiał mnie już zauważyć. Nadal był zdenerwowany. Pośpiesznie wygłosił mowę nad trumną, tak jakby nie mógł znieść widoku cmentarza. Może ciągle jeszcze przeżywał śmierć brata?

Po pogrzebie Prue zajęła się rozmową ze znajomymi, a ja rozejrzałam się za Medworthem. Nigdzie go nie było, choć jako wikary powinien był zostać z rodziną zmarłego, jeśli nie z grzeczności, to z obowiązku. Postanowiłam poszukać go w kościele i pod pozorem gratulacji w związku z awansem przypomnieć, gdzie powinien się w tej chwili znajdować. Chciał mi służyć radą, ale teraz on posłucha mojej.

Z zakrystii dochodziły jakieś głosy, powinnam więc była zawrócić i wyjść. Kiedy jednak usłyszałam, jak ostrym tonem Medworth rozmawia ze zdenerwowaną lady Slatterly, ciekawość nie pozwoliła mi odejść.

- Nie powinnaś była tu przyjeżdżać w takim dniu, Veronique. Nie mogę się z tobą spotkać. Wracaj do domu.

Rozległ się szloch, a ja zamarłam. Nienawidziłam się za podsłuchiwanie i chciałam się wycofać, ale nie mogłam ruszyć się z miejsca. Czułam, że ta sprawa dotyczy także mnie. Veronique naprawdę źle wybrała porę, by zasięgać porady u swojego powiernika. Jego lodowaty ton nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości.

- Unikasz mnie. - Zaszlochała. - Wszyscy mnie unikają. Kłamałeś o swojej żonie.

- Ciii! - Medworth próbował ją uciszyć, ale zignorowała jego prośbę.

- Mówiłeś, że już nie jesteście blisko, a to nieprawda. Nie powiedziałeś mi, że ona jest w ciąży. Musiałam się o tym dowiedzieć na balu, kiedy nie mogłam... nie mogłam... - Znowu zaczęła szlochać. - Jesteś podły. Cynthia pewno nie ma pojęcia, że ja także jestem w ciąży?

- Bądź cicho, Veronique. To oczywiste, że Cynthia o niczym nie wie. Po co miałbym jej mówić? To przecież nie ma z nią nic wspólnego. I nie kłamałem, mówiąc, że już... że już ze sobą nie sypiamy. Wtedy, kiedy to mówiłem, tak było - odparł, przybierając taki sam świętoszkowaty ton, jakim przemawiał do mnie.

Miałam ochotę wbiec do zakrystii i zażądać, żeby potraktował ją poważnie, ale

nie było potrzeby, bo Veronique przestała szlochać i wpadła w gniew. Nie zamierzała dać się zbyć tylko dlatego, że wikary powinien pójść na stypę.

- Poczekaj! Nie odchodź! Musisz jej o tym powiedzieć. Ty także jesteś za to odpowiedzialny, dobrze o tym wiesz.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ją i Medwortha może łączyć coś więcej niż przyjaźń. Nawet po jego ostatniej wizycie nie zaczęłam niczego podejrzewać. Jej oskarżycielskie słowa raziły mnie jak piorun. Zrozumiałam, że Medworth wykorzystał córkę swojego protektora i zamiast pocieszać jej duszę, zajął się ciałem. Winterson nie miał z tym nic wspólnego.

- Nie jestem. I wcale cię nie unikam. Mam obowiązki, które z twojego powodu właśnie zaniedbuję. Już ci mówiłem, że to musi być dziecko Wintersona. On jest wolny, a ja nie. Jeśli razem z ojcem wyrzecie na niego odpowiednią presję, a ja i może jeszcze panna Follet was poprzemy, to mój brat będzie w końcu zmuszony pogodzić się z sytuacją. Pomyśl o tym. Będiesz lady Winterson. Przecież zawsze tego chciałaś.

- Nie za taką cenę. Zresztą twój brat nie ożeni się ze mną. On wie tak samo dobrze jak ja, że to dziecko nie może być jego.

- Dlaczego nie może? Co za bzdury! Oczywiście, że może.

- Nie może. Okłamałam cię.

- Nie rozumiem. Kiedy mnie okłamałaś?

- Nigdy nie spałam z twoim bratem. To twoje dziecko, nie jego.

W zakrystii zapanowała martwa cisza, a potem rozległ się pełen niedowierzania głos Medwortha. Na szczęście Linas nie zachował się tak podle, kiedy powiedziałam mu o Jamiem. Ja musiałam kłamać, że to on jest ojcem dziecka. Robiłam to ze względu na niego, nie na siebie, a mimo to od samego początku gryzło mnie sumienie. Czułam, że takie kłamstwo jest niewybaczalne, choć ochroniło mnie przed plotkami.

- Nie wierzę ci - powiedział zimno Medworth. - Mówiłaś mi, że ty i mój brat...

- Oczywiście. Mówiłam to, co chciałeś słyszeć. Ale teraz mówię prawdę - nigdy nie spałam z twoim bratem. Nigdy. Żadnego mężczyzny nie pragnęłam tak jak jego, ale on zawsze pilnował, żeby nie zostać ze mną sam na sam, i nie ukrywał, że nie

mam u niego żadnych szans. Nie tego chciałeś słuchać, gdy zacząłeś mnie pocieszać. A teraz nie chcesz słyszeć o dziecku. Ale nie uda ci się tego zrzucić na brata. On zawsze pragnął kobiety Linasa, a nie mnie... - Veronique zamilkła.

- Teraz też kłamiesz. Myślałem, że ty i mój brat...

- Nie kłamię. Naprawdę myślisz, że potrzebowałamby twojego pocieszenia, gdyby twój brat się mną zainteresował? Uważasz, że jesteś tak pociągający? Że nie można ci się oprzeć? Odmawiałam bardziej atrakcyjnym mężczyznom niż ty.

- W takim razie ojcem jest jeden z dżentelmenów, którym nie zdołałaś się oprzeć. Jestem pewien, że było ich wielu.

- Mylisz się, ostatnio byłeś tylko ty. To twoje dziecko i nie widzę powodu, by udawać, że tak nie jest. Mówiłeś, że twoja żona choruje, że zawsze mnie pragnąłeś i kochasz mnie nad życie. Nie wspomniałeś, że choroba Cynthii to poranne mdłości, na które ja też cierpiałam.

- O Boże, to straszne. Jeśli to się wyda, będę skończony.

- Powiedziałeś komuś o... moim stanie?

- Nie. Muszę już iść. Czekają na mnie krewni zmarłego. Zrobiłem dla ciebie wszystko, co mogłem. Naprawdę. Pozwól mi odejść... proszę!

Wyobrażałam sobie desperację Veronique i zatwardziałe tchórzostwo Medwortha, które każe mężczyznom widzieć białe tam, gdzie jest czarne, i górę tam, gdzie jest dół. Dlaczego, jeśli służy to ich celom, słyszą „tak”, kiedy ktoś mówi „nie”? Spodziewałam się, że jedno z nich za chwilę wybiegnie z zakrystii i czując się winna podsłuchiwania, cofnęłam się w cień.

Poprzez kotarę zobaczyłam Veronique rozkładającą szeroko ramiona. Próbowwała zatrzymać Medwortha, co naprawdę wymagało dużej odwagi.

- O, nie, panie Monkton - szepnęła, a w jej głosie brzmiała groźba. - Nie odejdziesz pan ode mnie, udając niewiniątko, tylko dlatego, że pana zdaniem świat uwierzy panu, a nie mnie. Tym razem za mną stanie także pański brat. Może mu pan wyznać, co się stało. Ciekawe, co powie, kiedy już przestanie się śmiać? Mojemu ojcu też niech pan opowie. On dobrze wie, że Winterson chce zdobyć kobietę Linasa i że nie

jest taki głupi, żeby mi zrobić dziecko, chociaż pan jest.

- Sama powinna pani powiedzieć swojemu ojcu o tym dziecku, lady Slatterly. Zobaczy pani, że wymieni przynajmniej pół tuzina potencjalnych tatusiów. Tak hojnie obdarza pani wszystkich wokół swoimi wdziękami, że mogłaby mieć pani już gromadkę dzieci. Gdyby nie pani głupia beztroska, nie byłoby teraz kłopotu.

Usłyszałam głośny policzek. Medworth syknął z bólu, a po chwili wyskoczył zza kotary, trzymając się za twarz. Przystanął przy jednej z ławek, spojrzął na swoją dłoń, a potem szybko wyszedł bocznymi drzwiami.

Z zakrystii dobiegał rozdzierający serce szloch. Nie mogłam tego słuchać. Zastanawiałam się, czy nie spróbować jej pocieszyć. Na tyle, na ile rywalka może w takiej sytuacji przynieść pocieszenie. Ale musiałam wybierać między Prue i Veronique. Wybrałam Prue.

Powiedziałam sobie, że gdybym to ja znalazła się na miejscu Veronique, wolałabym być w takiej chwili sama. Ona zapewne pragnie tego samego. Podsluchiwanie było ohydne i czułam się winna. Przez cały czas trwania wspominków po zmarłych myślałam tylko o tym, że nie powinnam była poznać sekretu Veronique. Pocieszało mnie jedynie to, że zachowam go dla siebie.

Prue podziękowała mi za przyjście matczynym uściskiem, nie wiedząc, że potrzebowałam tego tak samo jak ona. Kiedy zapytała mnie, czy nie widziałam wikarego, mruknęłam, że źle wyglądał i chyba poszedł od razu do domu. Postanowiłam nie mówić, że nie chciał się pokazać z czerwonym śladem ręki na policzku.

Prue nie miała pretensji, kiedy zaczęłam się zbierać do wyjścia przed zakończeniem uroczystości. Była wśród przyjaciół, którzy nie zostawią jej samej aż do późnej nocy. W drodze do domu myślałam o podsłuchanej rozmowie, próbując bez przekonania wmówić sobie, że to nie mój interes. Oczywiście była to nieprawda, bo gdyby sprawa mnie nie dotyczyła, nie podsłuchiwałabym. W rezultacie zapłaciłam za swoją ciekawość okropnym bólem głowy.

Po powrocie na Blake Street usiadłam przy ogniu w towarzystwie Jamiego i pani Goode. Pijąc herbatę i jedząc świeżo wyjęte z pieca bułeczki, słuchałam relacji synka

z jazdy konnej na oklep.

- Dzięki temu będę miał silniejsze uda - oznajmił dumnie mój trzyletni mężczyzna. - Teraz mnie boją, ale ludzie stryjka Burla powiedzieli, że to dobrze.

- Brawo, mój mały! - Przytuliłam go do siebie. Pachniał stajnią i sianem. - Powinieneś się wykapać, wtedy będziesz mniej obolały. Pokazali ci, jak czyścić Penny, żeby aż błyszczała?

- Tak. Musiałem wejść na skrzynkę, żeby sięgnąć jej grzbietu. Stała całkiem nieruchomo i była zadowolona. Nakarmiłem ją marchewką i zjadłem całe... - Jamie ziewnął - ...całe jarzyny.

Mały był zmęczony, ale nie chciałam, żeby zasnął zbyt wcześnie. Zabrałam go ze sobą do pustego zakładu i zaczęłam przygotowywać mieszkanie dla Prue. Teraz, kiedy nie musiała już opiekować się rodzicami, mogła zamieszkać nad sklepem. Za darmo. Trzeba było tylko zrobić tam porządek i zadbać o podstawowe wygody. Miałam nadzieję, że taki układ pomoże jakoś złagodzić cios, jakim będzie koniec współpracy z Pierre'em.

Po kolacji siedzieliśmy w salonie przy kominku, kiedy nagle rozległo się stukanie do drzwi. Spojrzeliśmy z nadzieją, że to Winterson, choć dziś go nie oczekiwałam, ale lokaj oznajmił wizytę lady Slatterly.

Przyznaję, że wciąż o niej myślałam, nie spodziewałam się jednak ujrzeć jej w swoim salonie. Moje zaskoczenie musiało być widoczne.

- Co za miła niespodzianka - powiedziałam, wstając w odpowiedzi na jej ukłon. - Proszę wybaczyć, że tak nieformalnie... Zechce pani z nami usiąść?

W ciągu minionych lat widywałam Veronique w przeróżnych okolicznościach. Pamiętałam jej pierwsze kwaśne komentarze na mój temat i wdzięczność w jej oczach, gdy ostatnio stanęłam po jej stronie. Mogłam śmiało powiedzieć, że dziś nie była szczęśliwa. Miała zaczerwienione oczy i brakowało jej zwykłej pewności siebie, ale i tak dzielnie się trzymała. Przywołała na twarz uśmiech i spojrzała na panią Goode i Jamiego.

- Pani Goode, mogłaby pani zabrać chłopca do kąpieli? - zapytałam.

Kiedy zostałyśmy same, Veronique spuściła smętnie ramiona i krokiem lunatelyczki podeszła do krzesła. Usiadła na brzegu wyraźnie niepewna, czy powinna była tu przychodzić. Takie zachowanie było do niej całkiem niepodobne.

Bawiąc się torebką, zerknęła na mnie, jakby szukała najlepszego usprawiedliwienia swojej wizyty.

- Wystąpiła pani kiedyś w mojej obronie...

- Na balu, pamiętam. Mężczyźni potrafią być czasem tacy gruboskórni.

- To prawda. Właśnie dlatego przyszedłam panią poprosić... o przysługę. O radę... Chodzi o moją przyjaciółkę. Ma problem. Powiedziałam jej, że może pani będzie wiedziała jak... że może zdoła pani jej poradzić, co powinna zrobić. Jestem jedyną osobą, do której może się zwrócić. Inni przyjaciele nie chcą się w to angażować. To bardzo... trudna sprawa.

Było mi jej żal. To, że przysłała do mnie, było najlepszym dowodem, jak bardzo była samotna. Czyżby nikt poza mną nigdy nie stanął w jej obronie? Nic dziwnego, że czuła się odtrącona i nieszczęśliwa.

- Chętnie jej pomogę, jeśli tylko potrafię. W jakim wieku jest pani przyjaciółka?

- W naszym, w moim. Znamy się od lat. Ostatnio... zrobiła coś głupiego. Bardzo... głupiego.

Walczyła ze łzami, więc dałam jej chwilę na uspokojenie i poszłam nalać kieliszek wina.

- Proszę się napić i powiedzieć, jak mogę pomóc pani przyjaciółce - poprosiłam, stawiając kieliszek na stole obok niej. - Domyślam się, że w tę sprawę zamieszany jest mężczyzna.

- On nie chce o niczym wiedzieć. - Pociągnęła nosem. Choć miała na sobie kolorowy wzorzysty płaszcz, wcale nie wyglądała wesoło. Kiedy uniosła głowę, stwierdziłam, że jest bardzo blada, co dodatkowo podkreślał biały futrzany kołnierz.

- O czym nie chce wiedzieć, Veronique?

- Że będzie matką - wykrztusiła i spojrzała na mnie. - Nie jest pani zaszokowana?

- Nie. Sama jestem niezameżną matką.
- Między innymi dlatego pomyślałam, że może pani będzie wiedziała, co robić...
- Jeśli mężczyzna nie chce postąpić w sposób odpowiedzialny, to bardzo komplikuje życie. Czy jej rodzice wiedzą o... o problemie?
- Nie. Ona ma tylko jedno z rodziców.
- Tak jak ja.
- Naprawdę? To chyba dodatkowo utrudnia sprawę?
- Niekoniecznie. Jeżeli rodzic ją kocha i stoi po jej stronie... Oczywiście, to będzie wstrząs. Jakoś zareaguje, wyrazi swoją opinię. Ale tylko raz. Potem, kiedy już będzie wiedział, wszystko stanie się prostsze. Czy pani przyjaciółka ma jakiś powód, dla którego nie chce porozmawiać z matką lub ojcem? Czy mieszka w domu rodziców? Chodzi o to, że w nieskończoność nie zdoła tego ukrywać. Lepiej, jeśli dowiedzą się od niej, a nie od obcych ludzi.
- Ale to go zrani... - szepnęła.
- Bardziej go zrani, jeśli dowie się przypadkiem. Jeżeli pani przyjaciółka najbardziej liczy na pomoc ojca, powinna mu jak najszybciej wszystko wyznać. Wtedy będzie jeszcze czas, by porozmawiać i zastanowić się, co zrobić. Czy ojciec pani przyjaciółki łatwo wpada w gniew?
- Jestem pewna, że nie będzie się złościł.
- Musi ją bardzo kochać.
- Kocha ją, ale będzie chciał wiedzieć, kto jest ojcem, a ona nie może mu tego powiedzieć.
- Nie może, bo...
- On jest żonaty. Dlatego nie chce o niczym wiedzieć. Tak myślę - dodała, jakby wcale nie była tego pewna.
- Skoro tak, to niech nie mówi - powiedziałam, choć myślałam dokładnie na odwrót. - Widzę, że to lojalna młoda dama, bardzo kochająca ojca swojego dziecka. Większość kobiet wolałaby, żeby ich kochanek się przyznał, tak samo jak większość rodziców chciałaby wiedzieć, kto spłodził ich wnuki. Ale decyzja należy do pani przy-

jaciółki.

- Sama musi zdecydować - powiedziała, patrząc niewidzącym wzrokiem w ogień. - Ale powinna porozmawiać z ojcem. Mimo że ta wiadomość go nie ucieszy.

- Ojcowie wiedzą, jak dochodzi do takich sytuacji, Veronique. Przekonasz się o tym. Może być zły, zdenerwowany i martwić się o twoją przyjaciółkę, ale jeśli ją kocha, tak jak mówisz, nie będzie chciał jej dodatkowo ranić. Poradziłabym jej, żeby, nie zwlekając, porozmawiała z ojcem. Niech go przeprosi za ból, jaki mu sprawiła, a potem niech prosi o pomoc. Bez hysterii, bez rzucania oskarżeń i gróźb, i bez słów, których potem będzie żałowała. I żadnego pakowania walizek. Proszę jej to powiedzieć.

- Powiem, dziękuję.

- Jeśli będzie pani chciała jeszcze o tym porozmawiać, chętnie posłucham i pomogę, na ile będę mogła. A teraz niech pani idzie do swojej przyjaciółki. I proszę dać mi znać, co postanowi, dobrze?

- Była pani dla mnie bardzo dobra - szepnęła. - Mężczyźni potrafią być tacy nieprzewidywalni, prawda? - Pocałowała mnie w oba policzki.

- Rządzą nimi inne siły niż nami, ale czasem zdarzają się wyjątki. Czy pani przyjaciółka ma jakiegoś dobrego przyjaciela wśród mężczyzn?

Veronique wyciągnęła palce lewej ręki i popatrzyła na nie, jakby już widziała tam ślubną obrączkę.

- Jest ktoś taki... od lat jest we mnie... w niej zakochany. Może on pomoże jej wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji. Ale czy to będzie w porządku?

- Tak, pod warunkiem, że ona powie mu o wszystkim i pozwoli, by sam zdecydował. Nie powinna jednak tego robić, jeśli nie jest absolutnie przekonana, że potrafi być dla niego wierną i lojalną żoną. Takie historie zdarzają się częściej, niż pani przypuszczali często dobrze się kończą. Nie czuję się na siłach doradzać akurat tu takiego rozwiązania, ale może warto wziąć je pod uwagę. Szczególnie w sytuacji, kiedy ojciec jej dziecka nie może jej zaoferować żadnej pomocy.

- Zasłużył sobie na to, żeby wszyscy poznali jego nazwisko - syknęła ze złością.

- Inaczej wyjdzie z tego czysty jak łoża.

- Pewnie ma pani rację. Ale wtedy nie tylko on ucierpi, prawda?

Veronique raz jeszcze spojrzała na swoją dłoń, a potem zacisnęła pięść.

- Tym zapewne nie zaprzętał sobie głowy. Pójdę już, Helene. Muszę powtórzyć przyjaciółce pani rady. Dziękuję. Właśnie w takich chwilach najbardziej jej brakuje mamy.

- Kiedy ją straciła?

- Kiedy miałam czternaście lat. Odeszła z innym mężczyzną i zostawiła ojca. Pół roku później umarła w Szkocji. Nigdy więcej jej nie zobaczyliśmy. Ojciec miał złamane serce. On też ją kochał - dodała z rozpaczą w głosie.

- Tym bardziej musisz mu zaufać. Daj mu odczuć, że go potrzebujesz. Wydaje się, że teraz oboje będziecie sobie bardzo potrzebować - powiedziałam, bo zauważyłam, że przestała już mówić o przyjaciółce.

- Masz rację. Nie wiem, jak mogłam tego wcześniej nie widzieć.

Zaskoczona tym, co robię, objęłam i przytuliłam tę nieszczęsną istotę pozbawioną matki, tak jakby była moją siostrą.

Kiedy wyszła, nogi miałam jak z waty. Nie wiem, czy z wysiłku, jaki kosztowało mnie ostatnie pół godziny, czy też z ulgi, jaką czułam, gdy potwierdziła prawdziwość Wintersona. Było mi przykro, że mój spokój ducha Veronique musiała opłacić własnym nieszczęściem. Tak czy inaczej byłam już uspokojona, a fakt, że to właśnie mnie wybrała na szczerego i obiektywnego doradcę, pochlebiał mi i sprawiał przyjemność. Przynajmniej tyle mogłam dla niej zrobić, choć chętnie uczyniłabym więcej. Postanowiłam milczeć, czego niestety nie potrafił jej kochanek.

Bez skrupułów zasugerowałam jej, by poślubiła jakiegoś wiernego wielbiciela. Bogaci ojcowie często tak właśnie rozwiązywali podobne problemy swoich lekko-myślnych córek. Przy odpowiedniej zachęcie na pewno znajdzie się kandydat. A jeśli będzie to ktoś, kto kocha ją od lat, to przy okazji wszystko będzie ładnie wyglądać. Veronique w zasadzie nie miała nic przeciwko takiemu rozwiązaniu. I chyba po raz pierwszy nie była zjadliwa ani się nad sobą nie użalała.

Patrząc w ogień, porównywałam swoje życie z życiem Veronique. Ja niewątpliwie miałam więcej szczęścia, choć ona opływała w dostatki i luksusy. Nie było mi łatwo, ale los nade mną czuwał, i choć zabrał mi ojca, to dał opiekuna, potem dziecko i w końcu obietnicę poślubienia ukochanego. Były trudne chwile, nie cierpiałam jednak tak, jak Veronique cierpiała przez Medwortha. Kilka lat spędziłam u boku mężczyzny, któremu byłam dość obojętna, ale nie przeżyłam odtrącenia, a ją odtrącił i Medworth, i Winterson.

Wspominając Linasa, przypomniałam sobie, że wciąż nie odnalazłam jego brulionów. Położyłam Jamiego do łóżka, opowiedziałam mu bajkę i zmówiłam modlitwę, a potem zostawiłam go z panią Goode i zeszłam na dół. Znalazłam je w końcu w kredensie razem z serwetkami i obrusami.

Przysunęłam sobie kieliszek wina, którego Veronique nie tknęła, po czym usiadłam przy lampie z brulionami na kolanach. Otworzyłam najmniejszy z nich. Tak jak przypuszczałam, zawierał rachunki. Pierwsze zapisy pochodziły z czasów, kiedy jeszcze nie byliśmy razem. Przewracałam kartki, aż doszłam do miejsca, gdzie pojawiły się wpisy dotyczące Jamiego. Łóżeczko, małe krzeselko i chodzik, pościel. Za ubranka nic nie płacił, bo wszystkie szyłam ja lub pani Goode. Swoją odzież również szyłam sama z materiałów ze swojego sklepu. Linas kupował mi jedynie buty. Przejrzałam rachunki do końca, ale nie znalazłam w nich niczego zaskakującego.

Drugi brulion zawierał spis książek znajdujących się w jego gabinecie. Była to imponująca kolekcja dzieł z różnych dziedzin wiedzy. Linas kochał książki i wśród nich był najszcześniejszy.

W trzecim były jego eseje na różne tematy. Napisał o kolekcji antyków Charlesa Townley'a, którą oglądaliśmy w jego domu przy Park Lane. Była to jedna z naszych ostatnich wspólnych wizyt w Londynie. Przewracając strony, znalazłam jeszcze tekst poświęcony greckim wazom z kolekcji sir Johna Soane'a i dysertację na temat wulkanów i trzęsień ziemi. Już miałam odłożyć lekturę, kiedy wpadło mi w oczy imię Helene. Pewnie pisał o Helenie Trojańskiej - pomyślałam, gdy nagle w tekście pojawiło się imię Burl.

Zaintrygowało mnie to, niemniej jednak poczułam się tak, jakbym znowu podsłuchiwała. Chyba wchodziło mi to w nawyk. Zamknęłam brulion, posłuszna głosowi sumienia, ale po chwili usłyszałam ciche słowa Linasa:

„Otwórz to, Helene. Przeczytaj. Napisałem to do ciebie”.

Pogładziłam dłonią strony, których kiedyś dotykał. Musiałam się dowiedzieć, czemu moje imię występowało obok imienia Burla. Ten ostatni tekst był adresowany do mnie: „Ukochana Helene”. Nie miał tytułu, tylko datę. 10 października 1805 roku. Zaledwie kilka dni przed wyjazdem do Abbots Mere, skąd już nie wrócił.

Ukochana Helene? Nigdy tak się do mnie nie zwracał. Mówił „kochanie”, co w Yorkshire uchodzi za formę grzecznościową, używaną w rozmowie z każdą znajomą osobą.

RS

Rozdział czternasty

Ukochana Helene! - Patrzyłam na te słowa pełna obaw i niepewności.

Wkrótce wyjadę do Abbots Mere i raczej już nie wrócę, nie zasnę więc, póki nie opowiem tej historii do końca. Wieczorem byłaś u mnie z naszym Jamiem i tak jak co dzień przygotowałaś mnie do snu. Wymaga to tak wielu intymnych czynności, że trudno sobie wyobrazić, by mógł je wykonywać ktoś spoza członków rodziny. Nigdy nie przypuszczałem, że dziecko da nam tyle szczęścia i że będzie przy mnie tak wspaniała kobieta jak ty. Twoja miłość i oddanie towarzyszyły mi aż do samego końca. Byłaś moim błogosławieństwem, ukochana Helene. Chciałbym powiedzieć, że tego nie żałuję, ale niestety nie mogę. Muszę ci to wyjaśnić, dopóki mam jeszcze siłę i czas. Wolałbym ci to powiedzieć, niż pisać, ale boję się zaplątać w słowach. Wiesz, że nigdy nie byłem spontaniczny. Nie działałem pod wpływem impulsów. Zawsze planowałem, rozmyślałem, byłem raczej typem naukowca.

Na pewno już wiesz, co mam na myśli. Postąpiłem wobec ciebie nie fair i włożyłem ci na barki ciężar, którego czasem nie mogłaś udźwignąć, a jednak nie zmieniło to oddania, z jakim się mną zajmowałaś.

Zmieniło. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Pewno mi nie wybaczysz, nawet jeśli wyjaśnię, dlaczego i jak do tego doszło, ale może Burl szepnie za mną dobre słówko, teraz kiedy wreszcie dostał to, co mu się od początku należało. Zastanawiasz się, skąd o tym wiem? Po prostu znam swojego brata. Wiem, że w tak ważnej sprawie nie będzie zwlekał ani jednego dnia i że na pewno już walczy, aby cię ponownie zdobyć.

Spotkaliśmy się na balu walentynkowym w Assembly Rooms. Miałaś wtedy siedemnaście lat. - Mylisz się, Linasie, siedemnaście lat skończyłam dopiero w kwietniu. - Byłaś jak cudowny kwiat, tak piękna, że przyćmiłaś wszystkie inne kobiety. Nawet teraz nie potrafię wyrazić zachwyty, jaki we mnie wzbudziłaś, a co dopiero wtedy. Nie byłem w stanie wykrztusić słowa. Wiedziałem, że nie mam u ciebie żadnych szans. Obaj z Burlem widzieliśmy, jak weszłaś do sali, i natychmiast wyczułem jego reakcję.

Naprawdę ją wyczułem. Nie pytaj mnie jak, bo nie umiem tego wyjaśnić. Nadal stał obok mnie zupełnie spokojny, ale jakoś inaczej. Nikt, kto go nie znał tak dobrze jak ja, nie byłby zdolny tego wyczuć. Oboje wiemy, że Burl nie lubi tłoku, prawda?

Mimo to prawie od razu poprosił cię do tańca, a kiedy tańczyliście, wszyscy, którzy was widzieli, czuli, że na ich oczach dzieje się coś ważnego. Potem Burl nas sobie przedstawił, ale ty pewnie nie słyszałaś ani słowa z tego, co powiedział. - Pamiętam to lepiej, niż myślisz, drogi Linasie. - Mimo to zatańczyłaś ze mną. Ale nie zwróciłaś uwagi, że byłem oczarowany tobą tak samo jak on. Pragnąłem cię i cierpiałem, bo wiedziałem, że z Burlem nie wygram.

Byliśmy braćmi i najlepszymi przyjaciółmi, ale gdy chodziło o kobiety, stawaliśmy się rywalami. Każda kobieta, która pojawiała się koło mnie, spotykała Burla i już była dla mnie stracona. Każda, której uwagę udało mi się przyciągnąć, na jego widok przestawała mnie dostrzegać. Obojętne, czy Burl był nią zainteresowany, czy nie, ja stawałem się niewidzialny. Z czasem się przyzwyczaiłem. Wiedziałem, że Burl nie robi tego celowo, a mimo to miałem do niego pretensje. Nie twierdzę, że nigdy nie udało mi się poflirtować, ale chętnie przeniosłem się do Stonegate, licząc, że z dala od brata moje szanse na utrzymanie przy sobie kobiety będą nieco większe.

Tamten walentynkowy bal był dla mnie kamieniem milowym. Tuż przed nim dowiedziałem się, że lekarz nie daje mi więcej niż trzy lata życia. Radził mi, żebym jak najlepiej wykorzystał to, co mi zostało, i nie przepuszczał żadnej okazji. Zawsze byłem słabowity, myślę jednak, że ta prognoza zaskoczyła nawet mnie. I wtedy właśnie ujrzałem kobietę swoich marzeń. Tę, której zapragnąłem najbardziej ze wszystkich, a która była już poza moim zasięgiem. Byłem wściekły, ale najbardziej złościło mnie to, że związki Burla z kobietami zawsze były przelotne. Pociągało go samo zdobywanie i kapitulacja damy. Potem szybko się nudził i zaczynał kolejne polowanie. Tamtej nocy pomyślałem, że ciebie też zdobędzie i porzuci, a ja będę stał z boku i patrzył, czując, jak życie przecieka mi między palcami. Mój brat się w tobie zakochał. Byłem tego pewny. Ale nie tylko on. Ja też się zakochałem. Wściekle, beznadziejnie i zupełnie fatalnie.

Tym razem miałem jednak przewagę nad Burlem. Wiedziałem, że rodzina ci nie pomaga, że pracujesz w zakładzie krawieckim na Blake Street i że dwukrotnie, choć zawsze krótko, byłaś czyjąś kochanką. Burl nie miał o tym pojęcia, a ja dowiedziałem się tego wszystkiego z plotek, które błyskawicznie obieły całą salę balową. Burl mógł ci zapewnić szalony romans trwający kilka tygodni, a może miesięcy, ja natomiast gotów byłem zaoferować ci bezpieczeństwo mojego domu i to wszystko, czego potrzebuje kochanka, która nie ma nic swojego. Wiedziałem, że zostały mi tylko trzy lata życia i na tyle chciałem cię skazać na swoje towarzystwo. Uznałem, że to nie tak długo i że lepsze to, niż zostać jedną z wielu kobiet porzuconych przez mojego brata. Byłem dokładnie tym, czego wtedy potrzebowałaś, najdroższa, a ja potrzebowałem ciebie. Wiedziałem, jak niewiele brakuje, byś wpadła w objęcia Burla, postanowiłem więc bez zwłoki wziąć sprawy w swoje ręce. To była najbardziej spontaniczna decyzja, jaką w życiu podjąłem.

Następnego dnia pojechałem do Abbots Mere, by powiedzieć bratu o diagnozie lekarskiej. Plakaliśmy jak dzieci, a potem Burl oświadczył, że musimy zawiadomić rodziców i Medwortha. Obiecał, że zadba, bym w ciągu tych trzech lat miał wszystko, czego tylko zapragnę. Wszystko. Po takiej obietnicy nie mógł mi niczego odmówić. A czego pragnąłem najbardziej? Pieniądzy? Podróży?

Nie, ukochana Helene. Pragnąłem tylko ciebie i dostrzegłem swoją szansę.

- Pragnę tylko Helene Follet - odparłem.

Och, Linas. A więc tak to się odbyło?

Pamiętam, że Burl stanął przy kominku i oparł głowę na ramieniu, jakby nie był jej w stanie utrzymać. Milczał tak długo, że gotowy już byłem zrezygnować. I wtedy nagle się odezwał.

- Dlaczego? Dlaczego właśnie ona?

- Potrzebuję jej. Bez niej te trzy lata nic nie będą warte. Nie zniosę widoku was obojga razem. To ponad moje siły. Nie dożyję nawet tych trzech lat.

Ale to, o co go poprosiłem, było także ponad jego siły. Wiedziałem o tym, lecz byłem pewien, że jego uczucie nie przetrwa i wkrótce porzuci cię ze złamanym sercem,

i tak samo jak przedtem bez grosza. Jak wiesz, nie miałem racji.

Burl stał w milczeniu i wyglądał, jakby nagle zgasło w nim światło.

- Czego ode mnie chcesz? - spytał ponuro.

- Zostaw ją w spokoju. Zostaw ją mnie. Ona przyjmie moją propozycję, choćby tylko dlatego, że jestem twoim bratem. Poza tym nie może sobie pozwolić na odrzucenie tego, co jej zaoferuję. Ta dziewczyna potrzebuje opiekuna. Pamiętaj, że mam niewiele życia przed sobą. Jeśli potem nadal będziesz do niej czuł to samo co teraz, możesz wszystko zacząć na nowo. Dokładnie w tym miejscu, w którym teraz przerwiesz. Będzie miała dopiero dwadzieścia lat. Pragnę mieć dziedzica, Burl. Nie masz pojęcia, jak smutno umierać ze świadomością, że nie zostanie po tobie absolutnie nic. Nigdy jeszcze nie zapłodniłem żadnej kobiety, ale z nią to się uda. Wiem, że się uda.

- Skąd masz pewność, że cię nie odtrąci? - zapytał.

- Mówiłem ci, dziewczyna potrzebuje własnego miejsca i stabilizacji. Jeżeli urodzi mi dziecko, będzie zadowolona z mojej opieki.

- Ma mieszkać w Stonegate? Lepiej dajmy jej ten dom przy Blake Street. Miałaby do ciebie tylko kilka minut spacerem.

Tyle pamiętam z tamtej rozmowy. Burl stanął po mojej stronie. Dom przy Blake Street należał do niego i to on zaproponował, że możesz z niego korzystać, tak jakby był mój. Nie chciał ode mnie pieniędzy za dom, za koszty jego utrzymania ani za służbę. Zawsze był szczodry. Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że fakt, iż mieszkałaś u niego, mimo że o tym nie wiedziałaś, sprawiał mu przyjemność.

Postawił natomiast pewne warunki co do naszych ewentualnych dzieci. W przypadku gdybyś urodziła syna, miałem go uczynić w testamencie prawnym opiekunem dziecka. Zgodziłem się, bo to by was związało na wiele lat po mojej śmierci. Wybacz mi, Helene. Zrobiłem to dla twojego dobra. Gdybym wtedy wiedział to, co wiem teraz, nigdy nie zażądałbym od Burla tego wyrzeczenia. Ale jak mogłem przewidzieć, że po latach wciąż będzie cię tak samo kochał? Burl starał się mnie do ciebie zniechęcić, mówił, że nie można na tobie polegać, że to byłoby zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Ale moje serce należało już do ciebie, ukochana. Zaczynałem najszcześniejsze

lata mojego życia.

Wiedziałam już, dlaczego Burl powiedział, że nie można na mnie polegać. Nie mogłam jednak uwierzyć, że mnie kochał.

Zgodził się zostawić cię w spokoju, trzymać się od ciebie z daleka i zachowywać się w sposób, który pozbawi cię jakichkolwiek złudzeń i nadziei na jego uczucie. Przyjęłaś moją ofertę, choć widziałem, jak starałaś się ukrywać swoje cierpienie i ból. Nigdy do końca nie zrozumieję, czemu to zrobiłaś. Chyba tylko po to, by widywać tego, który tak zręcznie ukrył przed tobą swoje uczucia.

Przyjęłam twoją ofertę, bo jak sam powiedziałaś, wzajemnie się potrzebowaliśmy. Poza tym dom na Blake Street był tuż obok zakładu, w którym pracowałam razem z Prue. Natomiast widywanie Burla było najtrudniejszą częścią naszego układu.

Powiedziałem ci, że mam przed sobą trzy lata życia. Przyjęłaś to nadspodziewanie spokojnie i może dzięki temu byłaś w stanie tak dzielnie przy mnie trwać. Nie mógłbym sobie wymarzyć bardziej oddanej, troskliwej i kochającej kobiety niż ty. Nigdy nie umiałem ci tego powiedzieć, moja ukochana, najdroższa Helene, ale życie z tobą było rajem. Rajem, który wytargowałem od brata. Dawno już powinienem był do ciebie napisać i wyznać ci swoje uwielbienie.

Chcesz wiedzieć, kiedy zacząłem żałować tego, co zrobiłem? Oczywiście, nie w czasie naszych nocy wypełnionych czułą miłością, ale podczas wizyt w Abbots Mere, kiedy Burl tak ściśle trzymał się warunków naszej umowy i ostentacyjnie cię ignorował. Czasami miałem ochotę wszystko odwołać i błagać go, by był dla ciebie trochę miłszy, bałem się jednak ryzykować. Byłem egoistą i chciałem mieć cię tylko dla siebie. Teraz wiem, że mimo mojej opieki byłaś bardzo nieszczęśliwa, i jeszcze bardziej tego żałuję.

Minęły dwa lata, a dziecko ciągle się nie pojawiało. Po konsultacji z lekarzem doszliśmy do wniosku, że na skutek choroby musiałem stać się bezpłodny. Nie żeniłem się z tobą, bo prawdę mówiąc, nie widziałem sensu takiego kroku. Wiedziałem, że kiedy umrę, Burl zaopiekuje się tobą i naszym synem. Zadbał o to na długo, zanim dziecko w ogóle pojawiło się na świecie. Poza tym wdowieństwo pociąga za sobą wiele

komplikacji. Uznałem, że jeśli pozostaniesz panną, ty i Burl łatwiej się ze sobą zjedziecie. Ze względu na was oboje modłę się, żeby to już nastąpiło.

Wiedząc, że nie mogę mieć dzieci, poprosiłem Burla o rozmowę i w efekcie o pomoc. Nie muszę ci chyba mówić, jak bardzo się sprzeciwił. Wiedział, że będzie to oznaczać ostateczne zerwanie jakichkolwiek stosunków między wami. Żadna kobieta nie przebaczy mężczyźnie, który porzuci ją po raz drugi, i to w tak brutalny sposób. Wiedział, że kiedy zrozumiesz, jak zostałaś wykorzystana, będziesz się czuła oszukana, a do tego będą cię dręczyć wyrzuty sumienia, że mnie zdradziłaś. Musiałem wytoczyć najcięższe działa, żeby go do tego zmusić. Powiedziałem, że minęły już dwie trzecie czasu, który mi pozostał, i jeżeli nie zajdziesz z nim w ciążę w najbliższej przyszłości, nie zdążę zobaczyć swojego dziecka. Zapytałem, czy naprawdę odmówi mi tej radości? Czy pozbawi was oboje tej jednej nocy rozkoszy, która będzie przedsmakiem waszego przyszłego życia? Zapytałem, czy jego zdaniem zyski nie będą większe niż straty i czy uważa, że wpuścisz go do swego łóżka?

Powiedział, że na pewno go nie wpuścisz, bo masz swoją dumę... Wpadł w złość, że mówię o tobie jak o jakiejś dziwce, która idzie z każdym, który jej się podoba. Naprawdę się wściekł.

Błagałem go, żeby się zgodził. Uwierz mi, Helene, nie chciał tego. Obiecałem, że nigdy nie będę miał żalu do żadnego z was, że przyjmę dziecko jak swoje i będę je kochał jak własne. Powiedziałem, że nie chcę wiedzieć, gdzie i kiedy to zrobi, i że spokojnie poczekam, aż sama powiadomisz mnie o ciąży. Byłem pewien, że wam się uda. Nie oczekiwałem od niego natychmiastowej odpowiedzi. Prawdę mówiąc, nigdy nie powiedział na ten temat ani słowa. Ale zrobił to, o co go prosiłem. Nie wiem, jak ci to wyjaśnił ani czy w ogóle się tłumaczył. Nie muszę chyba mówić, że konieczność dzielenia się tobą z bratem, nawet na krótko, była jak nóż wbity prosto w serce.

Drogi Linasie, zaczynam się zastanawiać, czy ty w ogóle miałeś serce, a jeśli tak, to gdzie je ukrywałeś? Jak można tak wykorzystać kobietę, nie uprzedzając jej o swoich zamiarach?

Pojawienie się na świecie Jamiego było dla mnie prawdziwą radością, ale wi-

działem w twoich pięknych oczach smutek, upokorzenie i wstyd. Widziałem też chłód, z jakim w dalszym ciągu traktował cię Burl. Od tej pory nie było dnia, żebym nie próbował usprawiedliwiać ciężaru, jaki przez swój egoizm zrzuciłem na wasze barki. Ratując moją twarz, kłamałaś, mówiąc wszystkim, że Jamie jest moim synem. Schowałaś swoją dumę i ukryłaś ból, i nikt prócz mnie i Burla nie wiedział, jak cierpisz. A mimo to żadne z was nigdy nie powiedziało mi jednego złego słowa. Nie mogłem cię pocieszyć, droga Helene. Żeby to zrobić, musiałbym się przyznać do zdrady, a wtedy nasz związek zostałby zatruty brakiem zaufania. To były ostatnie miesiące mojego życia, chciałem je przeżyć w spokoju. Radość, jaką dało mi ojcostwo, przedłużyła mi życie. To był dar od ciebie, Burla i Jamiego. Dar, na jaki nie zasługiwałem.

Teraz już wszystko wiesz, a moja historia nareszcie dobiega końca.

Wybacz mi, najdroższa, ukochana Helene. Za dużo myślałem o sobie i o swoich potrzebach, a za mało o twoich. Ale może, kiedy już odejdę, zdołasz zrozumieć moją miłość do ciebie, choć żądała więcej, niż miała prawo. Nigdy nie przypuszczałem, że Burl będzie cię tak bardzo kochał przez tyle lat. Przysporzyłem wam obojgu dosyć bólu i cierpienia, ale błagam cię, jeśli Burl kiedyś ci o tym opowie, uwierz mu. On także cierpiał z mojego powodu.

Niech Bóg błogosławi cię, najdroższa Helene, i naszego syna.

Linas Monkton.

Łzy przesłoniły mi oczy. Drżącymi rękami odłożyłam brulion na kolana i rozplakałam się. Tak pięknie pisał, a za życia nie powiedział ani słowa o swoich uczuciach. Nigdy nie pamiętał o rocznicach ani innych okazjach, nigdy nie dał mi odczuć, co kryje się w jego sercu. Jednak bezwzględne wykorzystanie miłości brata było dużo gorsze. Oskarżałam Burla, że mnie wykorzystał, a to Linas zmusił go do tego. Znając jego dobre serce i szczodrość, wyciskał go jak gąbkę. Bezwzględnie grając na jego uczuciach, wymuszał na nim wszystko, czego pragnął. Choć kochałam syna, to sposób, w jaki Linas doprowadził do jego poczęcia, nie zważając na cenę, jaką oboje z Burlem za to zapłacimy, był niewybaczalny. Prosił mnie o zrozumienie, lecz po tym,

co wycierpiałam, nie mogłam znaleźć w sobie ani odrobiny zrozumienia.

Zegar wybił dziewiątą. Próbowałam się opanować, ale łzy płynęły mi po policzkach i nie mogłam przestać płakać.

Zatkałam usta chusteczką, żeby służba nie słyszała, jak szlocham.

Po chwili pani Goode zapukała do drzwi i cicho weszła do pokoju. Bez słowa wzięła mnie w ramiona i pogłaskała po plecach. Dotyk jej rąk przywrócił mnie do rzeczywistości.

- To przez ten pogrzeb - powiedziała cicho. - Wróciły wspomnienia. Może zrobię pani filiżankę gorącej czekolady? Powiem Debbie, żeby nagrzała łóżko. Ma pani za sobą ciężki dzień.

Podniosła z podłogi brulion Linasa i położyła go na pozostałych. Może podejrzewała, że to jego zapiski tak mnie rozstroiły.

- Nie chcę czekolady. Przynieś mi płaszcz. Muszę iść do Stonegate.

- Czy ta sprawa nie może poczekać? - zapytała, przytrzymując mnie za rękę.

Pokręciłam przecząco głową, licząc, że nie zapyta dlaczego.

- Mam pójść z panią?

- Nie, proszę zostać z Jamiem. Chcę tylko... - Przerwałam, bo łzy znów zaczęły mi płynąć po policzkach.

- Już dobrze, wiem. Ale nie powinna pani wychodzić sama.

- To niedaleko. Niedługo wrócę.

Przyniosła mi płaszcz, pomogła zmienić buty i groźnym spojrzeniem uciszyła osłupiałego lokaja. Trzymając się kurczowo poręczy, zesłam po oblodzonych schodach i zataczając się na śliskim bruku jak pijana, ruszyłam w stronę Stonegate. W dawnym domu Linasa wszystkie okna były ciemne.

Tylko przy drzwiach wejściowych metalowy koksownik połyskiwał żarem.

Pan Treddle otworzył drzwi i doskonale kryjąc zaskoczenie na widok mojej zapłakanej twarzy, podał mi rękę i pomógł wejść do holu, tak jakby moja obecność tutaj nie wymagała żadnych wyjaśnień.

- Proszę wejść do środka, droga pani - powiedział.

Jego słowa były bardzo nieformalne, wręcz poufale, ale właśnie takiej zażyłości było mi potrzeba.

Gdyby zapytał, po co przyszłam, mogłabym mu powiedzieć tylko tyle, że muszę chwilę побыć w miejscu, w którym siadywałam z Linasem, i postarać się zrozumieć sens spędzonych przy nim lat. Chciałam spróbować uporządkować różne wydarzenia i usprawiedliwić ból i cierpienie, jakie zadał swemu własnemu bratu. Wskazałam ręką na piękną kutą balustradę schodów prowadzących na piętro.

- Na górę - szepnęłam.

- Proszę pozwolić, że pani poświecę. - Pan Treddle wziął ze stołu lampę i ruszył pierwszy. Zatrzymał się na piętrze i czekał, aż wskażę drzwi, za którymi kiedyś mieścił się mój pokój. Ściany zostały odświeżone, a poza tym wszystko było jak dawniej.

- Zaciągnąć zasłony? Może rozpalę w kominku. Zajmie mi to tylko chwilę.

- Nie trzeba. Nie zostanę długo. Dziękuję, panie Treddle.

- Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, jestem na dole.

- Zadzwoń - odparłam.

Pokój pachniał wilgocią, stęchlizną i pustką.

Kiedy zostałam sama, ciężko opadłam na poduszki przy oknie i tak jak robiłam to tysiące razy, patrzyłam na obludzoną ulicę. Próbowałam zebrać myśli. Byłam przekonana, że to mnie najbardziej skrzywdzono, że to ja najbardziej cierpiałam przez swoją beznadziejną miłość i najwięcej poświęciłam dla Linasa. Nie wiedziałam, że Burl kochał mnie przez tyle lat. Myślałam, że traktował mnie jak potencjalną zdobycz, którą odtrąci, kiedy się nią znudzi. W świetle ostatniej woli Linasa, który chciał, bym po jego śmierci nadal była panną, cały chłód, z jakim się do mnie odnosił, stawał się zrozumiały.

„Jesteś moja. Moja. Teraz, Helene Follet, należysz już tylko do mnie. Nareszcie...”

Pamiętam, jak gwałtownie Burl wyszeptał te słowa w mój policzek. Prześladowały mnie przez wiele dni, bo uważałam je za tryumf zdobywcy, a nie wyznanie miłości. Dobrze jednak wyczułam, że wtedy potrzebował pocieszenia. Potrzebował go

od lat, ale ukrywał cierpienie lepiej niż ja.

Westchnęłam i owinięta płaszczem, położyłam się na swoim dawnym łóżku. Myśląc o tej całej historii, nie umiałam znaleźć nic na usprawiedliwienie Linasa. Jedyną okolicznością łagodzącą mogła być jego ciężka choroba, desperacja i pewnie strach. Żył ze świadomością bliskiego końca, zazdroszcząc Burlowi powodzenia u kobiet, i w końcu postanowił odegrać rolę Boga. Zanim będzie za późno.

Z dołu dobiegł jakiś hałas, ale nie zwróciłam na to większej uwagi. Potem ktoś wszedł do pokoju. Poczulałam ostry zapach zimnej nocy, koni, skóry i mokrych morderzewi.

- Burl! - Chciałam krzyknąć, ale głos mnie zawiódł. - Och, Burl... najdroższy... ukochany - wyszeptałam.

Na zasłony przy łóżku padł cień, a potem Burl porwał mnie w ramiona. Przytulił policzek do mojej mokrej od łez twarzy i oboje jednocześnie zaczęliśmy szeptać czułe słowa.

- Nie wiedziałam, Burl. Nie miałam pojęcia, jak on cię dręczył. Kocham cię... zawsze cię kochałam. Nie powinieneś być pozwolić, żeby nam to zrobił. To było takie okrutne. Jak ty musiałeś cierpieć, kiedy...

- Ciii... kochana. Moja jedyna miłości, moja ukochana Helene. - Jego słowa otulały mnie jak ciepłe futro. - Nie płacz nade mną. Dostyc już łez. To przeszłość. Jak długo już tu siedzisz i płaczesz?

- Odkąd o tym przeczytałam. Przepraszam, Burl.

- Za co, kochana?

- Za moje oskarżenia. Mówiłeś, że zrobiłeś to dla Linasa, ale nie wierzyłam. Podejrzewałam, że to był wasz wspólny, na zimno uknutny spisek, który miał dać Linasowi syna. To było takie krzywdzące i egoistyczne z mojej strony.

- Jeśli chodzi o mnie, to na pewno nie na zimno. Sprzeciwiałem się, ale on znalazł sposób, by mnie zmusić. Tamtego dnia w Abbots Mere byłaś taka nieszczęśliwa. Pomyślałem, że to dobra okazja i że ta jedna noc pokaże ci, jak może być cudownie. Przyznaję, to był błąd, ale pragnąłem cię i czułem, że ty też mnie pragniesz. Nigdy nie

chciałem cię skrzywdzić. Wybaczysz mi?

- Nie wiedziałam, że mnie kochasz. Czemu nie dałeś mi jakiegoś znaku?

- Miałaś o tym nie wiedzieć. To był jeden z warunków umowy. Błagał, bym dał mu szansę. Myślał, że pożyje trzy lata, a potem żył jeszcze kolejne trzy. Kto mógł to przewidzieć? Nie mogłem tego znieść. Nie chciałem jego śmierci, ale odchodziłem od zmysłów, nie mogąc się doczekać, kiedy będziesz moja.

- Mogłam od niego odejść. Byłam z nim ze względu na ciebie i ze strachu, że odbierze mi syna. Jamie był moim pocieszeniem, jedyną Częstką ciebie, jaką miałam. Gdybym wiedziała, że mnie kochasz, łatwiej byłoby mi czekać, ale on kazał ci trzymać się ode mnie z daleka.

- Nie mogłem pozwolić, żebyś zaczęła coś podejrzewać. Nie umiesz ukrywać uczuć, Helene. Ale powiedz, jak się dowiedziałaś? Zostawił jakiś list?

- Tak. Znalazłam go dziś wieczorem. Może powinieneś go przeczytać.

- Biedny Linas. Wyjaśnił, co nim kierowało?

- Tak. Ale teraz, kiedy go już nie ma, nie powinnam go przy tobie krytykować. Był twoim bratem i moim kochankiem. Myślę, że dał nam więcej, niż zażądał w zamian. Czy nam się to podoba, czy nie, to dzięki niemu byliśmy razem.

- Nie bój się, bez niego też bym znalazł na to sposób. Nigdy w życiu nie czekałem sześciu lat na żadną kobietę - szepnął, a kiedy mnie pocałował, poczułam całą tęsknotę i samotność tych lat. Poczułam ból pożądania i ogrom miłości, której wreszcie nie musieliśmy ukrywać.

- Wiedziałem, że niełatwo będzie cię na nowo zdobyć, ale nie przypuszczałem, jak pomocna okaże się w tym twoja rodzina i ta straszna pogoda. Targowałem się z tobą, mówiłem o cenach i nagrodach tylko po to, żeby wciągnąć cię w pułapkę i zmusić do przyjęcia mojej propozycji. Musiałem coś zrobić, żebyś się w końcu zdecydowała. Nie wracajmy już do tego. Dla ciebie uczyniłbym wszystko. Tak samo jak Linas. Nie osądzaj go zbyt surowo. Wiedział, że umiera i że to jedyna szansa, aby zostać dumnym kochankiem panny Helene Follet. Gdybym był na jego miejscu, nie wiem, czy nie postąpiłbym tak samo.

- Na pewno nie. Masz za dobre serce i zawsze grasz fair. Dla Linasa liczyło się tylko osiągnięcie celu.

- Mamy sporo do nadrobienia. Może odprowadzę cię do domu i od razu zaczniemy nad tym pracować? Czy teraz poślubi mnie już pani bez żadnych dodatkowych warunków i opóźnień, panno Follet?

- Tak - odparłam, szczęśliwa do utraty tchu. Przytuliłam jego głowę do piersi i dotknęłam dłonią jego twarzy, tak samo jak pewnej kwietniowej nocy przed laty. Musiałam się upewnić, że to nie sen. Burl pocałował końce moich palców i już wiedziałam, że nie śnię. - Zabierz mnie do domu. Chcę ci coś pokazać.

- A może wolisz zostać tutaj, w swoim własnym pokoju?

- Najpierw trzeba go pomalować. Na żółto. Pan Treddle odprowadził nas do drzwi.

- Dobranoc, panno Follet. Dobranoc panu. Schody są śliskie, proszę pani. Proszę uważać i trzymać się poręczy.

Zasadniczy problem został rozwiązany. Prawie wybaczyłam Burlowi tamtą noc i to, że wtedy nie wyjaśnił mi sytuacji. Oboje drogo za to zapłaciliśmy, ale w zamian zyskaliśmy wspaniałego syna i wspomnienia, które dodawały nam sił do życia. Jamie związał nas ze sobą w sposób nieodwracalny.

Nadeszła pora, by przestać obwiniać Burla i zapomnieć.

Miałam za sobą dzień pełen wydarzeń, choć niektóre musiałam zachować w tajemnicy, Burl zaś od rana trudził się w Foss Beck i na pewno chciał mi o tym opowiedzieć, ale w zaciszu mojej sypialni mieliśmy do załatwienia ważniejsze sprawy. Nasza miłość nabrała innego wymiaru, napełniając mnie pewnością, że czekają nas długie lata w szczęściu i wzajemnym zaufaniu.

Odsuwając na bok skromność, wzięłam na siebie obowiązki lokaja. Kiedy Burl był już nagi, posadziłam go w fotelu przy ogniu i podałam mu kieliszek wina. Potem stanęłam na granicy cienia i powoli zaczęłam się rozbierać, tak jakbym była sama w pokoju. Burl siedział spokojny i zrelaksowany, wiedziałam jednak, że nie odrywa ode mnie wzroku i że podnieca go to, co robię. Cały dzień pracował dla dobra mojej ro-

dziny, należała mu się chwila odprężenia.

Nie spieszyłam się, wciąż udając, że jestem sama w pokoju. Powoli rozpiniałam haftki i guziki, rozwiązywałam wstążki i tasiemki. Potem rozpuściłam włosy i pozwoliłam im opaść na ramiona. Oglądałam swoje ciało, tak jak robi to każda kobieta podczas rozbierania. Zdjęłam suknię, a potem cal po calu zsuwałam z bioder koszulę, zasłaniając nią jednocześnie tę część swojego ciała, która nigdy nie wydawała mi się szczególnie atrakcyjna. W końcu całkiem ją zdjęłam, choć nadal kryłam się za nią jak za tarczą. Spojrzałam na Burla zza zasłony swoich rozpuszczonych włosów. Dalej nie mogłam już udawać.

- Syrena - szepnął, zrywając się z fotela. - Zawładnęłaś moimi marzeniami. Skąd wiedziałaś, czego pragnę, czarnowłosa wiedźmo? Czytasz w moich myślach? - Wyjął mi z rąk koszulę i rzucił ją na fotel. - Teraz wreszcie mogę cię nazywać moją. Po tych wszystkich latach. Jesteś moja duszą i ciałem. A ja jestem twój.

Po urodzeniu Jamiego moje ciało utraciło dziewiczą szczupłość. Biodra i brzuch zaokrągliły się, a piersi stały się pełniejsze, choć wciąż jędrne. Burl patrzył na mnie, wodził po mnie dłońmi i ustami, a ja stałam, czując, że nogi się pode mną uginają. Drżąc jak młoda dziewczyna, objęłam go za szyję. Wiedziałam, że teraz zanieś mnie do łóżka i sprawi, że przestanę myśleć. Oboje byliśmy zmęczeni i kochaliśmy się z cudowną powolnością, dając sobie rozkosz, która jeszcze bardziej rozbudzała namiętność i rozpaliała żądze. Mieliśmy przed sobą całe lata miłości. Wśród namiętnych jęków i westchnień szeptaaliśmy czułe słowa, dotąd skrywane głęboko w sercach, bez nadziei na to, że kiedyś będziemy je mogli wypowiedzieć.

- Nie zostawiaj mnie, Helene... nigdy.
- Kochany, jestem twoja. Zawsze byłam. Nawet wtedy, kiedy...
- Nie mów tego, kochana. Co mam zrobić, żebyś wreszcie zapomniała?
- To łatwe. Proszę o rodzeństwo dla Jamiego.
- Myślę, że to się da załatwić, lady Winterson. Zostaw to mnie.
- Teraz?
- Oczywiście. Natychmiast. Proszę tylko o odrobinę współpracy.

Nie musiał mnie do tego namawiać. Staralam się tak dobrze, że zasnęliśmy całym wyczerpani i obudził nas dopiero Jamie, kiedy rano razem z Debbie przynieśli tacę ze śniadaniem. Widok stryja Burla w moim łóżku wcale go nie zdziwił. Uśmiechnął się zadowolony, jakby to była jego zasługa, wskoczył na łóżko i ułożył się pośrodku, między nami.

Rozdział piętnasty

Teraz, kiedy wiedzieliśmy już, że się kochamy i że wkrótce zostaniemy rodziną, inne sprawy zaczęły się wydawać mniej ważne niż przedtem. List Linasa sporo wyjaśnił, choć Burl miał do niego pewne zastrzeżenia.

Siedzieliśmy przy kominku w moim domu przy Blake Street. Burl czytał list brata.

- Cały Linas. Zrobił z tego esej i zdał się na los. Równie dobrze mogłaś znaleźć to za dziesięć lat. Albo wcale. Ryzykował, że nigdy nie poznasz jego punktu widzenia. Dlaczego sam ci tego nie powiedział?

- Nie był pewien, jak to przyjmę i czy naprawdę chce mi o tym powiedzieć. Poza tym pisał dużo lepiej, niż mówił. Nie wracajmy do tego. Teraz to już bez znaczenia. - Wyjęłam mu brulion z ręk. - Powiedz lepiej, czego dowiedziałeś się o moim kuzynie.

- Tajemnicę wyjaśnili twoi bracia. Szykując dom do remontu, znaleźli notatki, które Pierre zapomniał w pośpiechu zabrać. Była to lista nazwisk francuskich więźniów, przetrzymywanych na więziennych statkach u wybrzeży Essex. Niektóre z nich znam z listów gończych, które otrzymuję jako sędzia pokoju. Część z tych ludzi zdołała zbiec. Wiemy, że od pewnego czasu ktoś pomaga francuskim zbiegom przedostać się przez Kanał i wrócić do domu. Nie przypuszczałem, że odważą się zapuścić aż tak daleko na północ Anglii. Wydaje się jednak, że niektórzy z nich docierają nawet do Yorku i tu właśnie spotykał się z nimi twój kuzyn.

- W kawiarni? Kiedy raz w miesiącu jechał do miasta dostarczyć mi towar i zabrać lekarstwo dla mamy?

- Na to wygląda. Kawiarnia to doskonale miejsce do takich spotkań.

- Ten, którego widzieliśmy w towarzystwie Pierre'a, był wyraźnie zaniedbany i zmęczony. To pewnie jeden z nich.

- Twój kuzyn zawiózł go do Bridlington, skąd statek przemysłników zabrał go z powrotem do Francji. Ci, którzy przyjeżdżają tu po więźniów, dobrze za nich płacą. Pierre robił to prawdopodobnie od lat i musiał odłożyć niezłą sumkę.

- To stąd miał dodatkowe pieniądze.

- Pewnie tak. Ale sprawy zaczynały się za bardzo komplikować, więc uciekł. Zrozumiał, że za niego nie wyjdiesz, a poza tym mógł podejrzewać, że wiem co nieco o przemycaaniu więźniów. Kto wie? A twoi bracia wcale się tym nie martwią. Nie chcieli go w rodzinie.

- Nie ma Pierre'a, nie ma lekarstwa dla mamy.

- Na twoim miejscu nie ubolewałbym z tego powodu. Twoja matka z każdym dniem czuje się coraz lepiej. Być może dlatego, że nie bierze tych leków uśmierzających ból.

- Nie sugerujesz chyba... To niemożliwe!

- Rozważam różne możliwości, kochanie. Ale może lepiej zostawmy tę sprawę. Co osiągniemy, znajdując odpowiedź? Twoja matka niczego nie podejrzewa.

- Nadal uważasz, że to Pierre na mnie doniósł?

- Nie. To nie on - odparł tak zdecydowanie, że nie miałam wątpliwości, iż czegoś się dowiedział.

- Powiesz mi o tym?

- Nie wiem, czy powinienem.

- Zrobił to ktoś, kogo znam, i nie chcesz mnie denerwować, tak?

Burl wziął głęboki oddech i zwlekał z odpowiedzią, co było do niego całkiem niepodobne.

- To ja się zdenerwuję - odparł. - Okazuje się, że nie tylko Linas widział we mnie rywala. Medworth też próbuje zrobić wszystko, żeby zniszczyć moje szczęście. Ale kiedy patrzę na panią, panno Follet, na pani potargane włosy i nieskromnie roz-

piętą suknię...

- Sam pan ją rozpiął, mój panie!

- ...którą sam rozpiąłem, jestem gotów raz na jakiś czas przebaczyć im obu, że próbują mnie wysadzić z siodła. Jednak jest mi dosyć nieprzyjemnie, łagodnie rzecz ujmując...

- Och, powiedz to wreszcie, Burl. Co takiego zrobił Medworth...? Nie chcesz chyba powiedzieć, że to on... To on?

- Obawiam się, że to właśnie chcę powiedzieć. Poinformowano mnie, że czynił pewne aluzje w towarzystwie dwóch urzędników skarbowych, jak tylko zaczęły się powódzie. Dopóki byłaś kochanką Linasa, nie miał nic przeciwko tobie, ale jako moja żona i matka mojego syna już mu się nie podobasz. Nie wiem, czego mi bardziej zazdrości, ciebie czy spadku? Chociaż jest duchownym, ulega tym samym pokusom, co wszyscy. Trudno mi jednak uwierzyć, że stracił nad tym kontrolę. A wszystko na to wskazuje.

- Chciał, żeby mnie aresztowano? Nie wierzę.

- Wątpię, by zastanawiał się nad konsekwencjami swojego donosu. Chyba bardziej zależało mu na tym, aby nas rozdzielić, niż żeby cię zamknęli w więzieniu. Tak czy inaczej, to, co zrobił Medworth, jest dużo groźniejsze od tego, co próbował uczynić Linas. Zazdrość to okropna rzecz.

Była teraz sposobność, by wyjawić kolejny podstęp Medwortha, mający nas rozdzielić, ale milczałam, nie chcąc dodatkowo pogarszać i tak już nie najlepszych stosunków między braćmi. Moja dyskrecja została wynagrodzona.

- Przy okazji chciałem ci powiedzieć, że mój brat się przeprowadza i nie będziemy go tak często widywać. Ojciec zaproponował mu nieduży dom w pobliżu Harrogate. Mama oczywiście bardzo się ucieszyła, bo teraz będą prawie sąsiadami.

- To chyba dosyć nagła decyzja? A co z posadą proboszcza w Osbaldwick?

- Przepadła. Lord Slatterly znalazł na to miejsce kogoś starszego i bardziej odpowiedniego. Nowy proboszcz wprowadzi się w przyszłym tygodniu.

- Medworth jest pewnie rozczarowany?

- Podeszedł do tego z filozoficznym spokojem, ale Cynthia nie chce się przenosić, choć jako żona wielebnego musi podążać za mężem. Mam też wieści, które sprawią pani przyjemność, panno Follet. Chodzi o córkę lorda Slatterly'ego.

- Veronique? Wszystko u niej w porządku? - zapytałam ostrożnie, bo nie pamiętałam, co powinnam wiedzieć, a czego nie.

- Według jej ojca, jak najbardziej. Wkrótce wychodzi za męża.

- To dopiero dobra nowina! Znam tego dżentelmena?

- Szczęśliwym wybrankiem jest jeden z synów hrabiego Wetherclough. Kochał się w niej od lat i nie może uwierzyć, że w końcu uśmiechnęło się do niego szczęście. Wiem, jak się czuje.

Przytuliłam go, bo to naprawdę była dobra wiadomość.

- Muszę jej złożyć wizytę. Mamy teraz bardzo dobre stosunki.

- Okazałaś jej dużo serca i zrozumienia. Jesteś najwspanialszą kobietą, a ja jestem najszczęśliwszym mężczyzną. Jeśli przytulisz mnie jeszcze trochę mocniej, góra twojej sukni całkiem opadnie i będę się musiał z tobą ożenić. O to ci chodzi?

Zamruczałam jak kotka.

- Poczekaj, rozpustnico - szepnął i wsunął rękę do kieszeni na piersi. - Mam tu dla ciebie obrożę. Nie ruszaj się, założę ci ją na szyję, póki jesteś przy mnie na wpół naga.

Burl otworzył płaskie pudełko z czerwonej skóry. W środku na białej satynowej wyściółce leżał wisiołek na złotym łańcuszku. Była to największa szara perła w kształcie łzy, jaką kiedykolwiek widziałam, a u jej podstawy błyszczał brylant.

- Dziękuję, Burl. Dziękuję, że czekałeś.

- Czekałbym w nieskończoność, ukochana. Ale cieszę się, że nie musiałem.

Sześć lat to i tak za długo.

Osiemnastego kwietnia 1806 roku na stoliku w holu pojawiła się moja piąta urodzinowa czerwona róża. Teraz musiałam się już pogodzić z faktem, że to nie Linas dawał mi je w minionych latach. Położyłam ją na stole w jadalni i czekałam na komentarz.

- Znowu dostałaś różę, mamó? - zapytał Jamie.

- Tak.

- Wiesz, stryjku, że mama co roku dostaje na urodziny różę? Chyba powinna poślubić księcia, który je przysyła. Co ty na to, mamó?

- Masz rację, kochanie. Myślę, że najwyższa pora, by to zrobić.

- Tak od razu? - zapytał Burl, patrząc na mnie z pożądaniem.

- Jak najszybciej - odparłam.

Burl sięgnął do mojej dłoni i pogłaskał ją pieszczotliwie. Uśmiechnął się jeszcze czulej, bo zrozumiał, co chciałam przez to powiedzieć.

- Tym razem będę przy tobie przez cały czas. Chcesz pojechać do Foss Beck i powiedzieć swojej rodzinie? Możemy zanoćować w Fridaythorpe, żebyś się za bardzo nie zmęczyła.

- Odwiedzimy babcię Damzell - krzyknął ucieszony Jamie. - Czy kiedy poślubisz stryjka Burla, to on będzie moim nowym papą?

Spojrzeliliśmy z Burlem na siebie, ale nic nie odpowiedzieliśmy. Jamie chciał jednak poznać odpowiedź.

- Będiesz moim papą, stryjku? Papa się zgodzi, jeśli mama da mu czerwoną różę, prawda? Powiemy mu o tym i on się zgodzi.

- Tak właśnie zrobimy. Odwiedzimy go i dasz mu różę. Będzie zadowolony.

Tak też uczyniliśmy i od tamtej pory powtarzamy to co roku w moje urodziny. Mimo że w tym czasie nasza rodzina znacznie się powiększyła. Oprócz przystojnego dwunastoletniego młodzieńca, podobnego do ojca jak dwie krople wody, mamy jeszcze dwóch młodszych chłopców i dziewczynkę.

